

Lucyna Olejniczak

DAGEROTYP
TAJEMNICA CHOPINA



*Moim dzieciom, Magdzie i Tomkowi.
Autorka*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Ładnie mnie wrobiłaś, nie ma co... - Tadeusz dał wreszcie wyraz swojej frustracji. Przez całą drogę od Centrum Pompidou aż do najbliższej stacji metra nie odezwał się do mnie ani słowem.

- Widziałaś tych Japończyków z kamerami? Wszystko filmowali.

- Noo, nie... Nie chcesz chyba powiedzieć, że rozpoznają cię teraz w Tokio albo - o zgrozo - na całej Honsiu...?!

Odpowiedź Tadeusza zagłuszył łoskot wjeżdżającej na stację kolejki jadącej w kierunku Châtelet. Gwałtowny podmuch powietrza sprawił, że instynktownie odsunęliśmy się na bezpieczną odległość od białej linii kończącej peron. Drzwi wagonika otworzyły się z sykiem i z wnętrza wysypała się grupa turystów, a tuż za nimi młody mężczyzna z ogromnym jak szafa instrumentem na kółkach. Instrument przykryty był pokrowcem, ale sądząc po kształcie, można się było domyślić, że to harfa. Chwilę później mężczyzna wmieszał się w kolorowy tłum i byliśmy chyba jedynymi osobami, które oglądnęły się za nim ze zdziwieniem. Reszta pasażerów zdawała się nie widzieć niczego nadzwyczajnego w nim i jego bagażu.

Może gdyby ciągnął za sobą fortepian koncertowy, ten i ów zwróciłby nań uwagę. Ale harfa? Nie, harfa była tu najwyraźniej zupełnie na miejscu.

Cóż, byliśmy przecież w mieście zakochanych i artystów.

- No to jak, nadal martwisz się tymi Japończykami? - spytałam, kiedy już usiedliśmy wygodnie pod oknem.

- Może ciebie to śmieszyło, ale mnie nie - odparł naburmuszony. - Zrobiłem z siebie idiotę i tyle. Ciebie to oczywiście bawi.

- Kochanie - zaczęłam łagodnie, jak do dziecka - przecież to była tylko zabawa. Pewnie, że mnie to bawi, powiem więcej: żałuję, że nie miałam ze sobą aparatu, bo teraz nikt mi nie uwierzy, że graliśmy w scence ulicznej. Taka okazja rzadko się przytrafia.

Tadeusz sapnął trochę jeszcze rozdrażniony, ale dało się już poznać, że przechodzi mu pierwsza złość. W końcu nie wytrzymał i roześmiał się na samo wspomnienie.

- Aktorka od siedmiu boleści. Wiktor Hugo przewrócił się z pewnością w grobie. Bo to był chyba kawałek z *Nędzników*, prawda?

- Tak, z *Nędzników* - odetchnęłam z ulgą, wyciągając przed siebie zmęczone nogi. Za oknami migały światła tunelu, wagonik kołysał się lekko. - Zawsze miałam ochotę się przyłączyć, ale jakoś brakowało mi odwagi. Teraz miałam wreszcie okazję i musiałam ją wykorzystać. Kto wie, kiedy się tu wybierzemy następnym razem.

- To ten facet często robi takie przedstawienia? Wyglądało to na spontaniczną akcję.

- Nie - zaśmiałam się - to ma jedynie sprawiać takie wrażenie, a jest starannie wyreżyserowaną scenką. Widziałam te występy już parę razy i zawsze wyglądały w ten sposób.

Rzeczywiście, wciąż zastanawiało mnie, jak temu człowiekowi udawało się zebrać za każdym razem tylu chętnych do zabawy na placu pod Centrum Pompidou.

Najpierw chodził sam, niedbałym krokiem, z rękami w kieszeniach długiego czarnego płaszcza. Potem zaczepiał jedną, dwie osoby, niby to o coś pytając, a w chwilę potem już rozdawał role w swoim przedstawieniu. Śmiechy zwabiały następnych gapiów i w ten sposób szybko robił się spory tłum otaczający grupkę wygłaszających z różnym powodzeniem swoje kwestie „aktorów”.

- Ciekawe, z jakiego powodu właśnie tobie zaproponował rolę obrzydliwej karczmarki? - zastanowił się ze złośliwym uśmieszkiem Tadeusz.

- Pewnie z tego samego, dla którego ciebie wziął do roli karczmarza - odczułam się z satysfakcją. - Obrzydliwego karczmarza, żeby nie było wątpliwości.

- No właśnie, na dodatek musiałem robić z siebie kretyna. - Przypomniał sobie nagle. - Przecież wiesz, że nie znam francuskiego, ale ani okiem nie mrugnął, kiedy mnie wyciągnął na środek.

- A ty co, dziecko? Mogłeś się przecież nie zgodzić.

- A jak miałem mu to powiedzieć? Przecież nie znam języka.

- Takie kręcenie głową z prawa na lewo - zaprezentowałam ten ruch ku uciesze małej dziewczynki z mnóstwem warkoczyków na czarnych, kręconych włosach - w prawie każdym języku świata oznacza „nie”. Miałbyś pecha tylko wtedy,

gdyby ten człowiek okazał się Bułgarem lub Hindusem, bo u nich to znaczy „tak”.

- Ale... - Tadeusz zmieszał się na chwilę - ale ja nie wiedziałem, że będzie trzeba coś mówić. Myślałem, że wystarczy stać i robić miny.

- Toteż je robiłeś kochanie, i to z dużym powodzeniem. Wszyscy się dobrze bawili, bo naprawdę byłeś zabawny. A kiedy mruczałeś coś tam pod nosem, to i tak nie można było się zorientować, jaki to język. Zresztą nawet dobrze to wyglądało: karczmarka była pyskata, a jej mąż burczał i wymachiwał rękami. Gdybyś tylko nie miał przy tym takiej obrażonej miny...

Kolejka zatrzymała się na stacji Hôtel de Ville.

- Wsiadamy. - Podniosłam się niechętnie z siedzenia.

- Teraz albo wyjdziemy z metra i przespacerujemy się kawałek w stronę domu, albo przesiadamy się na następną linię i pojedziemy znów jeden przystanek.

- Nie mam już siły na żadne spacerki, ale z drugiej strony pewnie trzeba będzie znowu kupić bilet... Trudno, wsiadamy.

- Kochanie, dopóki nie wyjdiesz na powierzchnię, jeździsz cały czas na tym samym bilecie i przesiadasz się tyle razy ile tylko masz na to ochotę. No to jak? Nadal chcesz wsiadać?

- Naprawdę?... Nie, to w takim razie przesiadamy się, oczywiście. Ruchy... ruchy... moja ty przemądrzała karczmareczko.

Parę minut później wyjeżdżaliśmy na powierzchnię ruchomymi schodami na stacji St. Paul.

Rue Ferdinand Duval, mała uliczka, skracająca z zatłoczonej i gwarnej Rivoli, była niemal pusta o tej godzinie. Nieliczni

przechodnie przystawali przed wystawami sklepików sprawiających raczej wrażenie małych galerii sztuki. Przeznaczenia niektórych, wystawionych tam przedmiotów trudno się było nieraz domyślić, ale z całą pewnością były one ciekawe i niepowtarzalne.

Tadeusz zatrzymał się przed jedną z wystaw.

- Zobacz, jakie śmieszne. Połączenie żelazka z lusterkiem i trąbką. Co to może być?

- Nie wiem. Może to żelazko dla kierowcy, żeby mógł sobie odprasować spodnie w czasie jazdy, zerkając przy okazji na drogę w lusterku. To wsteczne, czy boczne?

- Trudno wyczuć. Ale dlaczego takie wściekle zielone? I jeszcze ma tu oko. Z tyłu. - Tadeusz aż skulił się ze śmiechu, usiłując zerknąć na spód „żelazka”.

- Czym mogę służyć? - chłodny ton właściciela galerii przywołał nas do porządku. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy pojawił się na wąskich schodkach. Spoglądał na nas z góry z wyrazem dezaprobaty w oczach.

- Nie... dziękujemy... - speszyła się - my tylko oglądamy. Pociągnęłam Tadeusza za rękaw i ruszyliśmy w stronę

bramy domu naszych przyjaciół. Z nerwów nie mogłam wystukać prawidłowo kodu wejściowego.

- Ale zrobiliśmy z siebie prostaków... A z drugiej strony, skąd mogliśmy wiedzieć, że nas obserwuje zza szyby?

- No właśnie - Tadeusz przystanął na zakręcie drewnianych, stromych schodów dla złapania oddechu - poza tym, powinien się już przyzwyczaić do różnych reakcji na swoją sztukę. Co, myślisz, że tylko my tak...? Eeee... nie wierzę. Poza tym, to chyba był jakiś żart Taki „humor na wesoło”. Nie sądzisz?

Do Paryża przyjechaliśmy poprzedniego dnia wieczorem na zaproszenie naszych francuskich przyjaciół Sophie i Clau-de'a. Powitanie było bardzo serdeczne, najgoręcej jednak witała mnie chyba Chutney - czekoladowej maści wyżeł niemiecki. Zachwycona suka podskakiwała wokół mnie szaleńczo, machając przy tym długimi uszami i starając się za wszelką cenę polizać mnie po twarzy.

- Poznała mnie, patrzcie, poznała! - ucieszona nachylałam się do psich pocałunków, gładząc przy tym pieszczotliwie aksamitnie miękki pysk.

- Psy mają dobrą pamięć - zaśmiał się Claude. - Zaraz zaprowadzi cię do kuchni, bo wszyscy wiemy, za co cię kochała najbardziej.

- Tak - potwierdziła jego słowa Sophie. - Po twoim wyjeździe musieliśmy przestawić ją na lekką dietę odchudzającą...

Po kolacji gospodarze zaprowadzili nas do pokoiku na poddaszu, tego samego, który zajmowałam kiedyś, będąc nianią ich dzieci. Było to małe, przytulne pomieszczenie z kominkiem i niewielkim balkonem wychodzącym na szerokie podwórze z atelier malarskim w głębi. Grube mury siedemnastowiecznego budynku nie przepuszczały niemal żadnego hałasu i tylko przy otwartym oknie dochodziły czasem odgłosy z żydowskiej restauracji na dole, a wieczorami tęskne dźwięki pieśni *Oczy cziornyje*, wygrywane na skrzypkach przy stolikach gości. Teraz słyhać było tylko szcęknięcie talerzy i sztućców / kuchni, znajdującej się od strony podwórza.

- Wezmę prysznic i muszę się trochę zdrzemnąć przed kolacją. - Tadeusz usiadł ciężko na łóżku. - Od rana przeganiaasz mnie po Paryżu, a to już nie ten wzrok...

- Nie ten wiek, kochanie. Nie ten wiek...

- Wzrok brzmi lepiej. Jak go zwał, tak zwał, ale padam ze zmęczenia, a dzisiaj czeka nas wystawna kolacja i byłoby wielkim nietaktem, gdybym zaczął usypiać za stołem.

Wczoraj, po przyjeździe, zjedliśmy tylko coś w pośpiechu i gospodarze wyprawili nas na górę z zaproszeniem na dzisiejszą kolację. Rano oboje zajęli się swoimi sprawami, a my mieliśmy czas dla siebie i na zwiedzanie Paryża.

Sophie i Calude mieszkali już na stałe w swoim zamku w Szampanii, do apartamentu w dzielnicy Le Marais przyjeżdżali tylko wtedy, gdy mieli coś do załatwienia w Paryżu. Tak jak teraz. Następnego dnia wracali już z powrotem, a my planowaliśmy spędzić w Paryżu jeszcze parę dni, aby pod koniec tygodnia dojechać do nich do Szampanii.

Przez uchylone drzwi balkonu napływało ciepłe, popołudniowe powietrze. Wyszłam na zewnątrz i oparłam łokcie o żelazną, misternie kutą balustradę, spoglądając w zamyśleniu na brukowane podwórze. Za szybami atelier, w głębi, widać było rozstawione sztalugi i kręcących się wokół nich młodych ludzi w jasnych fartuchach.

Kiedyś chciałam się zapisać na organizowany tam kurs rysunku, niestety, okazał się zbyt drogi. Szkoda. Miałam wtedy sporo czasu na rysowanie, Nicolas był malutki, Alexandra nie było jeszcze na świecie. Zamiast tego zapisałam się na kurs języka francuskiego, był mi o wiele bardziej potrzebny niż rysowanie.

A jednak żal.

Szkoda, że nie zobaczę się z chłopcami, przeskoczyłam myślami na inny temat. Zaczął się wrzesień i pojechali już do szkół. O ich postępach w nauce byłam na bieżąco informowana przez Sophie, z którą miałam stały kontakt przez Internet.

Wiedziałam więc, że w tym roku zaczynają naukę w elitarnej szkole z internatem w Anglii. Nicolas najbardziej cieszył się z faktu, że będzie mógł grać w drużynie rugby, Alexander martwił się, czy będą lekcje z jego ukochanego instrumentu - fortepianu.

- O czym tak myślisz, kochanie? - Tadeusz wyszedł spod prysznica okręcony dużym, puszystym ręcznikiem. Wróciłam do pokoju.

- O chłopcach, tak dawno ich nie widziałam. Ile to już będzie? - Zaczęłam liczyć na palcach. - Chyba ze trzy lata. To spory kawał czasu jak na dzieci w ich wieku, szkoda, że ich nie będzie.

Tadeusz znał chłopców tylko z moich opowiadań. Byłam ich nianią przez półtora roku, niemal od momentu, gdy Sophie przywiozła maluchy do Francji z Polski. Potem przyjeżdżałam już tylko sporadycznie na wakacje, żeby zastąpić inną opiekunkę.

- Szkoda - przyznał - ja też miałem nadzieję, że wreszcie poznam ich osobiście.

- No, dobrze - westchnęłam ciężko, odrywając się od wspomnień. - Zdrzemnij się teraz trochę, a ja idę pod prysznic.

ROZDZIAŁ DRUGI

Mała, wyłożona niebieską boazerią jadalnia paryskiego mieszkania Sophie przygotowana była do wytwornej kolacji. Świece w ozdobnych lichtarzach rzucały blask na wiszące na ścianach obrazy, w tym na mój ulubiony portret kobiety o smutnym, zamyślnym spojrzeniu. Migotliwe światło świec sprawiało, że kobieta zdawała się do mnie mrugać porozumiewawczo.

Odwróciłam wzrok od obrazu i zajęłam się jedzeniem. Sophie przeszła samą siebie, przygotowując tę kolację, więc nie mogłam sprawić jej przykrości, zwracając uwagę na coś innego niż bogato zastawiony stół. Przez większość wieczoru wspominaliśmy stare czasy. Rozmowa, ze względu na Tadeusza, toczyła się w języku angielskim.

- A jak tam wygląda sprzedaż twojej książki? - zapytał w końcu Claude, uzupełniając nasze kieliszki winem.

- Zupełnie nieźle - przyznałam. - Okazuje się, że ludzi interesują tematy związane z poszukiwaniem swoich przodków.

- Z tego, co się orientuję, to była historia twojego pradziadka?

- Może nie tyle jego, co pewnego wydarzenia z nim związanego. Muszę przyznać, że miałam mnóstwo frajdy, przekopując przy tej okazji stare papiery i roczniki gazet z końca dziewiętnastego wieku.

- I bez problemu znalazłaś wszystkie materiały do swojej książki?

- No, prawie. Najmniej było niestety tych dotyczących samego pradziadka, ale poradziłam sobie. Natrafiłam jeszcze na coś albo raczej na kogoś wśród tych starych dokumentów... -Tu spojrzałam wymownie na Tadeusza.

- Naprawdę? - Gospodarze wykrzyknęli unisono. - Poznaliście się w archiwum?

Musiałam natychmiast opowiedzieć okoliczności, w jakich nastąpiło nasze pierwsze spotkanie. Sophie i Claude zaśmiewali się z przedstawianych przeze mnie scenek rozpisanych na role dla mnie i Tadeusza.

- Mówiłem, że aktorka od siedmiu boleści? - Tadeusz przypomniał też nasze występy pod Centrum Pompidou, co wywołało jeszcze większe salwy śmiechu.

Zza okna dobiegały do nas odgłosy ożywionej wieczorem ulicy. Głośne rozmowy przechodniów, restauracyjny gwar. Claude zamyślił się przez chwilę i odłożył sztucę na brzeg talerza.

- Powiadasz, że ludzi interesują takie sprawy? Hm... Spojrzałam na niego pytająco.

- Pewnie, że interesują. Przecież to pasjonujące - odpowiedziałam, wzruszając ramionami.

- To zabawne, bo i u nas odkryliśmy niedawno ciekawą historię rodzinną. Chcecie posłuchać? A nawet jak nie chcecie, to i tak opowiem - uśmiechnął się i sięgnął po kieliszek dla prze-

płukania gardła. - Sprawa dotyczy Marie, odległej przodkini Sophie, ze strony matki. To jakaś jej prapraprababka, a raczej siostra tejże. Bardzo to skomplikowane, ale nie jestem genealogiem, nawet amatorem, i zawsze gubię się w koligacjach i wszystkich tych praprapra. W każdym razie, jakkolwiek by to brzmiało, siostra prapraprababki mojej żony była nie tylko utalentowaną i piękną kobietą, co widać na tym tutaj autoportrecie - wskazał palcem na wiszący nad nami obraz - ale również kimś w rodzaju czarnej owcy w rodzinie, bo związała się w młodości z paryską cyganerią i... Zresztą, posłuchajcie, co było dalej. Ta historia to też dziewiętnasty wiek, a dokładniej: pierwsza jego połowa.

- To autoportret Marie? - zdziwiłam się. - Przecież zawsze mówiliście, że nie wiecie, kogo ten obraz przedstawia.

- Bo i nie wiedzieliśmy, to prawda, ale od jakiegoś już czasu wiemy. Podczas wymiany starej, zniszczonej ramy w zeszłym roku odkryliśmy podpis Marie, częściowo ukryty pod starą oprawą. - Sophie podsunęła mi półmisek z pieczoną kaczką. Złote krople tłuszczu spływały z zarumienionej, chrupiącej skórki, nawilżając pokrojone równiutko plastry mięsa. Miałam już dość, ale nie umiałam się oprzeć temu widokowi i zapachowi.

- Taak...?

- Otóż na strychu naszego domu w Szampanii znalazłem - zaczął Claude dobrze znanym mi, gawędziarskim tonem - stary sekretarzyk z czereśniowego drzewa, dość zniszczony, ale wart konserwacji. Mam znajomego restauratora zabytków, który potrafi robić cuda z powierzonymi mu antykami...

Teraz już wiedziałam, dlaczego wszystkie antyki w domu moich przyjaciół były w idealnym stanie, niemal nienaruszone

zębem czasu. Inna rzecz, że dawniej stolarz był jednocześnie artystą i bardzo poważnie traktował swoją pracę. Staralam się nie myśleć przy tym o moich rozsyhajających się szafkach w kuchni i niedomykających się drzwiach od szafy. Skupiłam znów uwagę na gospodarzu.

- Tak więc, jak już wspomniałem, zawiozłem do niego ten sekretarzyk i ku mojemu zdumieniu okazało się, że pod jedną z licznych szufladek była przemyślnie skonstruowana skrytka, a w niej kilka paczek starych listów. Listy adresowane były do tej praprababki Sophie... Słuchajcie - przerwał nagle - wiemy już, o kogo chodzi, będę ją więc nazywał prababką, żeby nie komplikować, dobrze?

Zgodziliśmy się szybko, zaintrygowani historią, a Claude kontynuował.

- Nadawcą tych listów była jej rodzona siostra, kobieta z naszego dagerotypu. Pamiętasz ten dagerotyp?

Tak, pamiętałam go doskonale. Stał w salonie na kominku, wśród innych starych zdjęć, najbardziej z nich wszystkich zniszczony. Na metalowej, pokrytej plamami płytce, w czarnym, welwetowym obramowaniu i ozdobnej, srebrnej ramce widniała ledwie rozpoznawalna podobizna młodej kobiety w staroświeckiej sukni. Sophie wiedziała tylko, z przekazów rodzinnych, że to siostra jej odległej praprababki, ale nie interesowała się tym zbytnio. W starym zamku, jak zawsze w takich miejscach, pełno było portretów i innych pamiątek po przodkach.

- I co, przeczytaliście te listy? - zapytaliśmy niemal jednocześnie z Tadeuszem.

Nie wszystkie, jest ich sporo, ale jeden lub dwa mam tu gdzieś, jeśli chcecie zobaczyć...

- Kochanie, może nie teraz... - Sophie zatrzymała gestem męża, który wstawał właśnie od stołu. - Zjemy kolację i przeniesiemy się do salonu, wtedy będzie można spokojnie przejrzeć te papiery bez obawy, że je poplamimy tłustymi palcami.

Claude odruchowo wytarł palce w lnianą serwetkę, ale usiadł z powrotem na krześle.

- Chyba masz rację - przyznał. - Nie pomyślałem o tym.

Zapowiadało się interesująco. Poczułam przyjemny dreszczyk emocji, jak zawsze wtedy, gdy stykałam się z jakąś tajemnicą z przeszłości. Skrzypki za oknem grały teraz jakby głośniejsz, dźwięk sztuców przypominał niemal odgłosy z kuźni; miałam bardzo wyostrome zmysły. Z trudem doczekałam końca kolacji.

- O, proszę. - Pół godziny później Claude wszedł do salonu z kilkoma pożółkłymi kartkami papieru. Odstawiłam przyniesione przez Sophie wino na malutki intarsjowany stół i sięgnęłam niecierpliwie po listy.

Listy, z wyblakłym miejscami atramentem, pokryte były równym, starannym charakterem pisma. Mogłam w zasadzie bez trudu odczytać większość wyrazów. W pierwszym dziewczyna opisywała jakieś wydarzenie w drodze z lekcji rysunków. Przebiegłam tylko wzrokiem jego treść, całość zamierzałam przeczytać dokładnie po powrocie do naszego pokoju. Wolałam mieć przy tym jednak słowniki pod ręką.

Dwa następne listy, na pierwszy rzut oka nie zawierały niczego szczególnego. Ot, jakieś tam informacje o ostatnich zakupach, tęsknocie za domem, ale przede wszystkim o zauroczeniu Paryżem i otaczającymi kobietę ludźmi.

- To wszystko? - spytałam lekko zawiedziona. - Spodziewałam się większej sensacji niż zwykłe listy...

- Jest i sensacja. - Claude zrobił tajemniczą minę. - Wszystkich listów nie zdążyłem jeszcze przejrzeć, ale i tak dowiedzieliśmy się dużo, dużo więcej...

- Na przykład?

- A choćby tego, że Marie miała wtedy romans, a może i dziecko z pewnym młodym cudzoziemcem. Skandal jak na tamte czasy.

- Rozumiem, że kochankiem był jakiś malarz z tej cyganerii właśnie?

- upewnił się Tadeusz. - A jakie to były lata, dokładnie?

- Lata trzydzieste dziewiętnastego wieku. I to wcale nie był żaden malarz, myślimy raczej o jakimś młodym muzyku, który przyjechał wtedy do Paryża.

- Cóż, to trochę komplikuje sytuację - nie udało mu się ukryć zawodu w głosie - bo, o ile mi wiadomo, w tamtych czasach do Paryża przyjeżdżało sporo młodych artystów z całej Europy. Choćby Liszt, Chopin czy ... - zamilkł nagle zaskoczony, widząc minę Claude'a. - No nie, chyba nie chcesz powiedzieć, że to był Chopin?

- Nie, nie sądzę. - Claude machnął ręką. - Chociaż nie jest to wcale wykluczone. Wprawdzie biografowie nie wspominają o żadnym takim romansie z wczesnego okresu paryskiego, co wcale nie znaczy, że go nie było. Ale moim zdaniem to chyba mało prawdopodobne.

- Szkoda - westchnęłam z żalem. - Pomyśl, co by to była za sensacja!

- Oj, tak - uśmiechnął się na samą myśl. - Sądzę jednak, że to był raczej jakiś podrzędny muzyk, jeden z całej rzeszy głodnych artystów, jakich pełno było w tamtych czasach w Paryżu. Ale historia i tak smakowita, nie uważacie?

- Zaintrygowałeś mnie, nie powiem...

- Taki właśnie miałem zamiar - Claude z przebiegłym uśmiechem sięgnął po cienki, kryształowy kieliszek i zwrócił się do mnie. - A może przyjechalibyście do Trigny w najbliższy weekend? Przeglądniesz sama te listy i, kto wie, może znajdziesz w nich temat na następną książkę?

- Kusząca propozycja... - Spojrzałam pytająco na Tadeusza, który pogroził żartobliwie gospodarzowi palcem. - Chyba jestem trochę zazdrosny - powiedział. - Mnie zwykle więcej czasu zabiera namówienie jej do czegokolwiek...

- A zatem za pomyślność waszych poszukiwań w Trigny - Claude z uśmiechem wznosił kieliszek w górę. - I za nową książkę.

Kiedy po kolacji, w drodze do naszego pokoiku na poddaszu, przechodziliśmy z Tadeuszem przez pokój muzyczny, jak zwykle nie umiałam sobie odmówić podejścia do stojącego wrogu fortepianu. Był to koncertowy bechstein - czarne błyszczące pudło, masywne i ciężkie, a zarazem eleganckie niczym najnowszy model luksusowego samochodu. Ten instrument zachwycał mnie od zawsze: przede wszystkim kształtem, linią, a przy tym solidnością wykonania, no i -oczywiście - mocą czających się pod otwartą klapą strun. Z nabożnym niemal skupieniem podniosłam politurowane wieko. Uderzyłam akord c-moll w niskim rejestrze. Młoteczki opadły bezwładnie na struny. Mechanizm złożony z drewna, metalu oraz filców odpowiedział niemal natychmiast współbrzmieniem, które rozwibrowało całe pomieszczenie. Poczulałam przechodzący po plecach dreszcz.

- Umiałabyś jeszcze coś zagrać? - spytał Tadeusz, z uśmiechem obserwując moje zabiegi.

- Raczej nie.
 - Przecież skończyłaś szkołę muzyczną, prawda?
 - Dawno temu.
 - Takich rzeczy się chyba nie zapomina?
 - To nie rower kochanie. - Ostrożnie opuściłam wieko. - Kiedy nie ćwiczysz regularnie, zapominasz. Zupełnie jak z nauką języków.
- Prawdę mówiąc, niewiele miałam do zapomnienia. Nigdy nie wyszłam poza poziom ćwiczeń i najprostszych szkolnych utworów. Chociaż trzeba przyznać, że w dzieciństwie uchodziłam za prawdziwą gwiazdę, nadzieję polskiej pianistki. To był okres mojej chwały. Na odziedziczonym po dziadku czeskim pianinie bębniłam sonatiny zapomnianych włoskich kompozytorów, etiudy Czernego i inwencje Bacha. W każde Boże Narodzenie prócz kolęd odgrywałam przeróbkę Ave Maria Schuberta, wzbudzając szczery entuzjazm pośród babć, wujków, ciotek i - nieco mniejszy - wśród kuzynek i kuzynów. Ale to było wszystko, co umiałam wydobyć z tego przeklętego instrumentu. Mój sztywny nadgarstek, napięte barki, trzęsące się dłonie i krótkie palce nie potrafiły sprostać prawdziwym wyzwaniom. W wieku siedemnastu lat rzuciłam fortepian, a rodzice musieli pogodzić się z myślą, że nie jestem nową Martą Argerich. Nigdy nie żałowałam tej decyzji, zbyt wielu moich kolegów, którzy zamierzali podbić największe sale koncertowe świata, skończyło, ucząc dzieci garnek i pasaży albo przygrywając do tańca w szkołach baletowych.
- To musiała być jednak trudna decyzja? - powiedział Tadeusz.
 - Bardzo trudna, zwłaszcza że wyrastałam w rodzinie muzyków i jako dziecko byłam święcie przekonana, że wszyscy

ludzie grają na fortepianie - roześmiałam się. - Gra na tym instrumencie była dla mnie tak naturalna jak jedzenie czy spanie. Pamiętam własne zdziwienie, kiedy później okazało się, że wcale tak nie jest. I że niektóre z moich koleżanek nie mają nawet w domu pianina.

- A nie ciągnie cię czasem do tego, żeby coś jednak zagrać? - rozbawiony Tadeusz drążył temat.

- Brzdąkam sobie od czasu do czasu jakieś łatwiejsze kawałki, ale wolę posłuchać muzyki w wykonaniu prawdziwych pianistów. Za to chętnie czytam nuty przy pianinie.

- Masz ochotę coś zagrać? - spytała stojąca za naszymi plecami Sophie. Rozmawialiśmy po polsku, więc nie zrozumiała naszej wymiany zdań.

- Wiesz - zwróciła się do Tadeusza - ona całkiem nieźle gra na fortepianie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po powrocie do naszego pokoiku na drugim piętrze zabraliśmy się natychmiast do przeglądania listów. Obłożona słownikami, których u Sophie było sporo, jako że od pewnego czasu uczyła się polskiego, usiadłam wygodnie na łóżku. Tadeusz przysunął się bliżej, zerkając mi przez ramię.

- Patrz, jaki śliczny rysunek - dotknął ostrożnie kartki, lekko przetartej na zagięciach. - Oszczędna kreska, ale zdradzająca wprawna rękę. Podoba mi się.

W liście, datowanym z 20 listopada 1832 roku młoda kobieta na rysunku, wyraźnie przestraszona, oglądała się przez ramię. Za nią, w świetle gazowej latarni, wylaniał się z mroku jakiś mężczyzna wymachujący cienką laseczką.

Moja droga siostro! - Pisała Marie z Paryża.

Czas teraz nieprzyjemny, zimno, deszcz i smutno jakoś. Próbuję trochę malować, cioteczka zadowolona, że tak mi lekcje rysunku służą. Gdybyż ona wiedziała, że wczoraj pozowałam w pracowni malarskiej! Ale nie nago, nie obawiaj się, to był portret młodej dziewczyny, wcale nieudany.

Nnno, proszę, ciekawie się zaczyna...

Tadeusz odłożył na bok przeglądane właśnie kartki i spojrzał na mnie pytająco. Wróciłam do listu.

Malarz, śmieszny człowieczek z potarganą brodą i długimi włosami, ciągle był niezadowolony z mojej pozy. Krzyczał na naszą kuzynkę, która mnie tam zaprowadziła, że jest sztywna jak kołek i nie życzy sobie takich modelek. No i dobrze, bo ja mu więcej pozować nie mam zamiaru. Wyszliśmy stamtąd szybko i całą drogę śmiałyśmy się, przypominając jego miny. Wielki pan artysta! To ja już lepiej bym taki portret wymalowała, chociaż szkół żadnych, jak on, nie kończyłam.

Ha! Dziewczyna z charakterem. Podoba mi się. Mmmm... No tak... Posłuchaj tylko tego:

Juliette obiecała, że pozna mnie z innymi jeszcze malarzami i muzykami, bo to wszystko jej znajomi. Żeby tylko cioteczka się nie dowiedziała, bo zaraz do tatki napisze, a on każe mi wracać do domu. A tu tak ciekawie, moja kochana! Szkoda, że nie mogłaś przyjechać ze mną.

No tak... Tu cię mamy! Teraz już wiadomo, w jaki sposób i kiedy zetknęła się z paryską cyganerią. To ta kuzyneczka, jak jej tam - zaszeleściłam listem - o, już mam: Juliette, to ona ją w to wszystko wciągnęła. Musiało być z niej niezłe ziółko...

Życie tu zupełnie inne niż u nas na prowincji. Ale też i bardziej niebezpieczne.

A jednak...

Kiedyśmy wracały wczoraj wieczorem (na szczęście cioteczki tego dnia nie było, bo wyjechała do swojego domu na wsi) zaczepił nas jakiś podpity mężczyzna na ulicy. Juliette ucie-

kła przodem, a ja ze strachu nie wiedziałam, co robić. Ale pomamrotał coś tam pod nosem, powymachiwał przy tym laseczką, a jak mu ona na bruk upadła i się schylił, wykorzystałam ten moment i pobiegłam za Juliette.

Aaaa... to... Trzeba było nie chodzić wieczorami po ulicach.

Ale dlaczego chodziły na te niby-lekcje rysunku same, bez opieki? Przecież wtedy panienki eskortowane były zwykle przez służące lub przyzwoitki. I dlaczego wieczorem?

- Wychodzi z ciebie matka-kwoka. - Tadeusz uchylił się ze śmiechem przed moim kuksańcem. - Może służąca miała po nie przyjść później, a pozowanie skończyło się wcześniej? Sama czytałaś, że nieudane. A może, korzystając z nieobecności ciotki, w ogóle nie brały ze sobą służącej? Weź pod uwagę, że to były młode dziewczyny, a te chętnie łamią wszelkie zakazy. Tak, wiem, ty byś w ogóle nie puściła swojej Magdy samej do Paryża...

- A żebyś wiedział, że nie. Wracajmy do listu.

Na szczęście wcale mnie nie gonił i nic mi się nie stało. Narysowałam Ci to wszystko, sama zobacz, jaki on był śmieszny w tym pogniecionym cylindrze.

Całuję Cię milion razy. Pokłoń się Tatkowi, do którego osobny list poślę. Wszystkich w domu też pozdrów i powiedz, że o nich myślę.

Twoja Marie.

Odłożyłam list na stolik i zamknęłam oczy. Usiłowałam sobie wyobrazić dziewczynę uciekającą przed jakimś pijakiem na pustej ulicy. A później spotkanie z tajemniczym kochankiem...

- Ciekawe, kim był ten młody muzyk? Myślisz, że uda się nam go znaleźć?

- Mmmm... - spod kołdry dobiegło mnie senne mruknięcie. - Śpij kotku, jutro porozmawiamy.

- Może w tych innych listach będzie jakaś wskazówka... Jediną odpowiedzią było lekkie pochrapywanie mojego

mężczyzny. Była już prawie północ, nic zatem dziwnego, że usnął, ale ja czułam się zbyt podekscytowana, żeby choć na chwilę zmrużyć oczy.

Wstałam cicho i podeszłam do otwartego szeroko balkonu. Księżyc w pełni oświetlał dużą część starego, siedemnastowiecznego podwórza i kawałek pracowni malarskiej w głębi. Widmowo oświetlone okna wyglądały, jakby w środku ktoś zapalił świecę lub lampę gazową. Może o tej godzinie zbierają się tam duchy malarzy, żeby pracować nad swoimi niedokończonymi za życia płótnami?

Co to za ciemna smuga przesunęła się w kącie podwórka i co robi tam mężczyzna w cylindrze na głowie? Chmura przesłoniła na moment księżyc. Zrobiło się zupełnie ciemno i zimno. Zamknęłam drzwi balkonu i wróciłam do łóżka.

Jak to było w tym liście...?

„Kiedyśmy wracały wczoraj wieczorem (na szczęście cioteczki tego dnia nie było, bo wyjechała do przyjaciółki na wieś z wizytą), zaczął nas jakiś podpity mężczyzna na ulicy...”

PARYŻ, ROK 1832

Wieczór był piekielnie nudny, dopóki nie podano wina.

Do tej pory wyglądało na to, że gospodarze, hrabia i hrabina de Bourdeilles, poprzestaną tylko na wodzie. Ostatnio stawało się to jakimś przykrym zwyczajem.

Nawet potraw nie podano tyle, co podczas wspaniałego soiree w zeszłym tygodniu, pomyślał młody Polak, ziewając dyskretnie w kącie. Gdzie im tam do tego pysznego risotto po mediolańsku i karpia a la łośoś. A potem zupa zaprawiana parmezanem i natychmiast do tego kieliszek madery... Mężczyzna przełknął głośno ślinę. A tu? Ech, rozejrzył się zniechęcony dookoła. I to towarzystwo jakieś takie nieciekawe. Blade kobiety w prostych, muślinowych sukniach, prawie bez ozdób, snujące się po salonie w towarzystwie swoich przyzwoitek i te stare ciekawskie matrony w ciężkich krynolinach z tiurniura-mi, jakie nosiły kiedyś, bywając w Wersalu.

- A więc to pan jest tym fortepianistą z Polski? - zachwyciła się nagle głośno jedna z nich, wysoka kobieta z brodawką na policzku i wyraźnymi, ciemnymi wąsami pod nosem. - Jakież to słodkie! Taki młody a taki zdolny!

Zanim jednak zdążył cokolwiek odpowiedzieć, spojrzała ponad jego ramię i zawołała afektowanym głosem: Och, hrabino, jak cudnie pani dziś wygląda! Istna bogini!

Istna bogini, przypominająca stóg siana na niewidocznych kółeczkach, sunęła właśnie majestatycznie w ich stronę. Młody człowiek cofnął się przezornie o krok w tył, ale i tak nie

zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Po chwili usłyszała, jak obie panie z pasją i drobiazgowo omawiają szczegóły haftów i koronek na komży wikarego, żeby zaraz płynnie przejść na ulubiony przez wszystkich starszych ludzi temat chorób, lekarzy i szpitali.

- Słyszałam, droga hrabino, że jej szacowny małżonek chorował ostatnio? Mam nadzieję, że to nic poważnego? - przesłodzony ton wąsatej kobiety aż zemdlili na chwilę młodego muzyka. Spojrzał na nią z uwagą, z jaką patrzy się na ciekawego, ale wstrętnego robaka. Jej brzydka twarz aż promieniała radością, że może wprowadzić w zakłopotanie swoją rozmówczynię.

- Ach, nie... - Hrabina machnęła lekceważąco ręką, chociaż przez grubą warstwę białego pudru na twarzy przebijały wyraźne rumieńce. - Nic poważnego, w istocie. Doktor nawet stwierdził, że było to na tyle ciekawe, choć, zaręczał, niegroźne schorzenie, że musiał je przedstawić swoim studentom. Spytał najpierw o zgodę, ale mój mąż nie widział w tym żadnego problemu, bo przecież młodzi muszą się na kimś uczyć, prawda? Jesteśmy oboje bardzo postępowi i nowocześni w tej materii. Doktor stwierdził potem, że to była wyjątkowo piękna wysypka i wszyscy studenci byli nią zachwyceni - dodała z pewną dumą.

Zachwyceni, hm... młodzieniec uśmiechnął się w duchu. Słyszał o wykładach tego doktora, który naśladowując rozmowy Platona w gaju Akademii, prowadził letnie wykłady dla studentów medycyny, przechadzając się po ogrodach szpitala. Wszystkie, nawet te najbardziej odrażające dla zwykłych śmiertelników zmiany chorobowe były dla niego i jego studentów „wyjątkowo piękne”.

- I jak, wyleczył pana hrabiego z tej... pięknej wysypki? - spytał babsztyl z podejrzanym błyskiem w oku. Dla nikogo w towarzystwie nie było bowiem tajemnicą, że choroba hrabiego należała raczej do tych wstydliwych schorzeń, których panowie nabawiają się w kontaktach z „pannami miłosiernymi”.

- Naturalnie! - wykrzyknęła hrabina zbyt entuzjastycznie, żeby można było w to zapewnienie uwierzyć. - Ten lekarz to cudotwórca, powiadam pani. Przepisał mojemu drogiemu Hectorowi pijawki, kąpiele stóp, plastry gorczyczne i napary z arniki. No, i, oczywiście puszczenie krwi i maści rtęciowe -przerwała na chwilę, zmęczona opowiadaniem i powachlowała się czarnym wachlarzem. - A jak pani zdrowie, moja kochana? - spojrzała przenikliwie na swoją rozmówczynię. - Czy z tą naroślą na twarzy nie powinna pani udać się do jakiegoś specjalisty? - Kobieta z brodawką, przestraszona, dotknęła jej odruchowo. - Wygląda - ciągnęła dalej hrabina - jakby się powiększyła od ostatniego razu, kiedy ją widziałam. I jakaś taka ciemna... Nie przeżyłabym, gdyby to było coś poważnego. - Położyła dłoń na wyniosłej piersi, dla podkreślenia, jak bardzo ją to przejmuje.

Ha, paradne!, uśmiechnął się w duchu młodzieniec, pobiła babsztyla jego własną bronią. Dobrze jej tak.

Znudzony podsłuchiwaniami kobiet przeszedł dalej, w głąb salonu. Goście podzielili się na grupki - młodzi i starsi stali osobno. Muzyk nie mógł znaleźć przyjaciela, który go tu przyprowadził, pewnie ten dokonywał podbojów miłosnych w jakimś ciemnym kącie albo w innym pomieszczeniu. Niech go diabli!, pomyślał ze złością. Gdyby nie to, że kawaler cierpiał aktualnie na „suchoty woreczkowe” polegające na braku pieniędzy w tymże woreczku, nigdy nie dałby się zaciągnąć na

taki nudny wieczór. A do tego, kto mógł przewidzieć, że będzie tak marne jedzenie. Te ostatnie wspólne obiady z przyjaciółmi na mieście, gdzie każdy kolejno płacił za wszystkich, mocno nadwyrężyły jego finanse. Wprawdzie ostatni, w Palais Royal, nie był aż tak bardzo drogi - zaledwie dwa franki od osoby, a w zestawie zupa, trzy lub cztery potrawy do wyboru i deser z pół butelką zwyczajnego, ale szkaradnego wina. Pomnożone jednak przez parę osób... Dobrze, że trafiło mi się teraz kilka uczennic, pomyślał z ulgą. Ale i tak trzeba będzie znowu napisać list do ojca z prośbą o pomoc. Wprawdzie niedawno dostał jakieś pieniądze z domu, ale... Kiedyś im przecież zwróć, rozgrzeszył się szybko.

Coraz bardziej nudziło go obecne towarzystwo. Jak nie w chorobach, to o polityce rozprawiają, skrzywił się poirytowany. Zupełnie nie potrafią się tutaj bawić. To nie to, co w Polsce, westchnął i aż uśmiechnął się do swoich wspomnień. Przymknął oczy, a pod powiekami pojawiły się te wszystkie gry i zabawy w rodzinnym domu, przedstawianie „żywych obrazów”, zagadki. I wieczór, kiedy zagrał na jednostrunnej, rzępolącej basetli na wiejskich dożynkach. Jak ci ludzie potrafili się wtedy bawić. Kobiety śpiewały piszczącymi głosami, a wszyscy tańczyli dosłownie do upadłego na dziedzińcu, bo jedna z dziewczyn zawadziła bosą stopą o kamyk i upadła, pociągając innych za sobą. Ile przy tym było gwaru i śmiechu... A tu? Szkoda gadać.

- Nie zgadzam się, drogi panie - Gdzieś z boku dobiegł go nagle tubalny głos mężczyzny ubranego w krótkie, zapięte pod kolanami spodnie i jedwabne, opadające lekko pończochy. - Powinniśmy teraz bardziej zwrócić się w stronę religii. Moja żona i ja...

- Wysłałam jej koronkowy szal, dwanaście fularów i jedenaście łokci aksamitu gros grain, no i wstążki do kapelusza... -informował jakiś wysoki głos z sofy, na której przysiadły z wielką godnością trzy usztywnione matrony.

- Ale po kapelusz, droga pani, chodzi się tylko do pani d'Herbault - tonem nieznoszącym sprzeciwu przerwała ten wywód stara dama w czarnych mitenkach i koronkowym żabocie.

Głosy, wysokie i niskie, ciche i szemrzące, wszystkie zlewały się w jeden nieznośny szum. Monotonny i usypiający. Nawet czcigodni przodkowie, spoglądający srogo z pociemniałych portretów na ogromny salon umeblowany starymi mahoniami, pokrytymi czerwonym płótnem, wydawali się być znudzeni tym towarzystwem.

Młodzieniec zaczął znów rozpaczliwie rozglądać się za kompanem, który go tu przyprowadził, kiedy w końcu podano wino. Wspaniałe, krystaliczne Bordeaux przynajmniej częściowo rekompensowało niezbyt udany wieczór. Rozmowy stały się natychmiast o ton głośniejsze, atmosfera wyraźnie się ociepliła. Mężczyzna zaś poczuł się o wiele mniej spięty i skrępowany niż przed chwilę. Odrobina wypitego alkoholu stępiła nawet nieznośny ból zęba, który dręczył go od paru dni i właśnie zaczynał odzywać się na nowo. Młodzieniec wiedział, że powinien wybrać się do dentysty, ale bał się bardziej, niż mógł to sam przed sobą przyznać. Poza tym, trzeba przecież oszczędzać pieniądze. Te przysłane przez ojca topniały w zastraszającym tempie. Nowe rękawiczki też kosztowały zbyt drogo, ale ich akurat nie umiał sobie odmówić.

Oparty o ścianę, tuż przy oknie, przyglądał się ruchliwej jeszcze, mimo dość późnej pory, ulicy. W świetle nielicznych

gazowych latarni widać było ciemne sylwetki spóźnionych przechodniów. Koła powozów turkotały na nierównym bruku, stukały kopyta koni. Odwrócił głowę od okna i spojrzał na zgromadzonych w salonie ludzi. Wyglądają nawet sympatycznie, stwierdził zaskoczony. Kobiety, po trzecim kieliszku i w blasku żółtych płomyków lamp, porozmieszczanych na ścianach i u sufitu, wydały mu się nagle całkiem interesujące. Zwłaszcza ta blondyneczka z ustami w kształcie serca i drobnymi loczkami po bokach głowy. Widok małego, różowego ucha wysuwającego się spomiędzy loków przy każdym pochyleniu głowy właścicielki spowodował u młodzieńca znaczne przyspieszenie pulsu. I ten pieprzyk na smukłej szyi!

Odstawił pusty kieliszek na tacę przechodzącego właśnie lokaja i przesunął się w stronę kominka, na którym stał wspaniały zegar w stylu Ludwika XVI i jakieś popiersie z brązu. Udając, że podziwia misterną robotę zegarmistrza, zerkał kątem oka na blond piękność, która zdawała się być całkowicie pochłonięta rozmową z przyjaciółkami. Zdawało mu się jednak, że uchwycił przez moment jej zalotne spojrzenie. Coś na kształt obietnicy? Czyżby...?

Niech mnie ktoś przedstawi temu aniołowi, rozejrzył się dookoła w poszukiwaniu znajomej twarzy, no, niech mnie ktoś jej przedstawi, na Boga!

- Młodzieńcze - usłyszał nagle za sobą skrzypiący głos starszego mężczyzny - Podobno przyjechałeś pan z Polski, n'est-ce pas? - Właściciel krzywych, opiętych jedwabnymi pończochami nóg był owym starszym panem, który chwilę wcześniej rozprawiał głośno na temat konieczności poświęcenia się religii i wyrzeczenia wszelkich uciech. Tupął przy

tym wielkim butem z ozdobną klamrą, podkreślając w ten sposób każde słowo.

- Tak, to prawda. Właśnie niedawno...

- A skąd to, jeśli można wiedzieć? - przerwał mu niecierpliwie i nie czekając na odpowiedź dodał. - Bo ja znam tylko Varsovie. Byłem tam... zaraz... zaraz, kiedy to ja tam byłem? A, zresztą nieważne. Byłem i już. Nic panu do tego, kiedy!

Muzyk stał nieruchomo, bojąc się nawet przyznać, że właśnie z Warszawy przyjechał. Osobliwy jegomość tymczasem rozpromienił się i biorąc młodego mężczyznę pod ramię powiedział, zniżając konfidencyjnie głos: - Chodź pan, przedstawię go najpiękniejszej kobiecie w Paryżu...

Nareszcie... pomyślał z ulgą muzyk, widząc, że zbliżają się do obiektu jego westchnień. Że też akurat dzisiaj musiał mu wyskoczyć ten paskudny pryszcz na nosie! O mało nie rozplakał się ze złości, widząc go rano w lustrze. Nic to, trzeba się będzie ustawić do niej drugim profilem. Tym korzystniejszym, bez pryszczu.

Kobieta uśmiechnęła się promiennie na ich widok, a gdy podeszli już całkiem blisko, starzec uniósł jej dłoń i przytulił do swego policzka z wyrazem największego uwielbienia.

- Kochanie - zamruczał pieszczotliwie - pozwól, że ci przedstawię młodego artystę z Polski, pana... jakże się pan nazywasz? A to moja żona Nicoletta - dokonał prezentacji.

Młodzieniec pochylił się nad drobną dłonią, ozdobioną tylko skromnym pierścionkiem i zmieszany, wymamrotał niewyraźnie swoje nazwisko. Uszło to jednak uwadze dziwnej pary. O nic go już nie wypytywano. Starzec zajął się swoją gołąbeczką, zaniepokojony, czy też aby nie zmęczona, czy nie chcę już

wracać do domu? Nie przejął się wcale, gdy usłyszał chłodną odpowiedź, że nic jej nie jest i że woli zostać.

- A może zagrałby pan coś, tak tu nudno... - Wyděła grymaśnie małe usteczka. - Pan ponoć fortepianista?

Młody muzyk miał ochotę wykręcić się z tego grzecznie, ale starzec chwycił go drapieźnymi paluchami za ramię i pociągnął w stronę instrumentu.

- Ależ oczywiście, mój skarbie, pan chętnie dla ciebie zagra. Nieprawdaż, młody człowieku? - Na pytanie zadane tym tonem była tylko jedna, właściwa odpowiedź.

Gospodyni wieczoru, poinformowana o zamiarach młodego Polaka, klaszcząc w dłonie i usiłując przekrzyczeć gwar rozmów, zawołała głośno:

- Proszę wszystkich o uwagę! Mam zaszczyt przedstawić państwu młodego, ale już nam znanego muzyka z Polski, który zgodził się dla nas dziś zagrać.

- Ooooooooooooo...! - rozległo się z lewej strony salonu.

- Aaaaaaaaaaaaa...! - odpowiedziała prawa strona.

- Eeeeeeeeeeee... - to kilka cichych głosów w kącie, zagłuszonych zresztą zaraz.

Speszony młody człowiek zdążył jeszcze wychylić szybko dwie lampki wina, porwane z tacy przechodzącego i wracającego chwilę później służącego. Lekki szum w głowie zagłuszył ten, pochodzący od gromadzących się wokół fortepianu gości. Artysta wygładził przekrzywiony frak, odrzucił z gracją jego poły w tył i zasiadł przy fortepianie.

W salonie zapanowało lekkie podniecenie. Nie wszyscy wprawdzie słyszeli już o młodym Polaku, ale wreszcie zaczęło się dziać coś ciekawego. Może zagra cokolwiek do tańca? Może coś modnego, przyjemnego dla ucha? A jak nie, to zawsze będzie

można dyskretnie go wyśmiać, wychodząc przy okazji w oczach pań na wytrawnego znawcę muzyki. Nie takich to grajków widywano i wysłuchiowano podczas różnych wieczorów.

Fortepian wydawał się całkiem dobry: orzechowy plejel, nieco zaniedbany, ale z pewnością bardzo solidny instrument. Młodzieniec podniósł wieko, przysunął bliżej świecznik, a potem położył dłonie na udach i przez dłuższą chwilę przyglądał się klawiaturze, zastanawiając się, jaki utwór powinien zagrać. Towarzystwo było już lekko podchmielone, a w dodatku niespecjalnie chyba muzykalne. Zapewne oczekiwano od młodego, dobrze ubranego cudzoziemca o uduchowionej twarzy wiązanki popularnych arii oraz akrobatycznych sztuczek w stylu Franciszka Liszta. Tak, tego rodzaju występ z pewnością zapewniłby mu łatwy poklask. Równoległe oktawy, łańcuchy tercji, karkołomne pasaże, a do tego kilka melodii, które każdy z obecnych potrafił bez problemu zagwizdać. Prawdę mówiąc, tego rodzaju popisy nie stanowiły dla niego jakiegoś wielkiego problemu. Przyzwyczał się nawet. Wielkie ambicje to jedno, zapewnienie sobie egzystencji w Paryżu - drugie. Pieniądze od ojca topniały, wiedział też, że nie będą napływać wiecznie. Musiał więc przystosować się do wymagań tutejszej publiczności. Często wykonywał muzykę, którą tak naprawdę w duchu pogardzał, zdobywał publiczność za pomocą najtańszych chwytów. Nawet do druku przygotowywał teraz utwory poczęte nie tyle z potrzeby serca, co z myślą o zrobieniu wrażenia na niezbyt wymagających słuchaczach. Na bok musiały pójść ambitniejsze plany. Dopóki nie zdobędzie w mieście towarzyskiej pozycji, musi niestety dopasowywać się do panującej mody.

Dotyczy to w równej mierze rękawiczek, kapelusza, jak i muzyki.

Ale w tej chwili Polakowi zależało już tylko na jednej osobie w tym salonie. Tylko dla niej pragnął teraz zagrać. Dlatego zrezygnował z technicznych popisów i zdecydował się na melancholijnego walca w a-moll. Walca, który zawsze tak bardzo podobał się kobietom.

Podniósł dłonie i miękko musnął nimi klawiaturę. Rozbrzmiała pierwsza kwinta w niskim rejestrze i rozmowy odrobinę przycichły, ale skupienie, rzecz jasna, nie mogło utrzymać się zbyt długo - kiedy kawaler odegrał krótki wstęp i przeszedł do śpiewnego pierwszego tematu, znowu zrobił się tumult. Otyła kobieta o włoskiej urodzie opowiadała coś półgłosem młodemu mężczyźnie w szarych pantalonach, który co chwila wybuchał tłumionym śmiechem i powtarzał: „Arretez! Arrêtez!¹”, ktoś wydawał polecenia służbie, starszy mężczyzna pod oknem krztusił się od kaszlu, szurały krzesła i dzwoniło szkło kieliszków. Wyglądało na to, że nikt nie zwraca uwagi na skupioną grę młodzieńca. W dodatku za oknem rozkrzyczał się woźnica, zapewniając znajomego, że tej nocy nie będzie już padać. Walc brzmiał w tych warunkach wyjątkowo słabo i bezbarwnie.

Trzeba było więc zmienić plan. Muzyk przeszedł spokojnie do sekcji środkowej, ale odegrał tylko kilka taktów, po czym niespodziewanie, z całej siły uderzył w klawisze. Potężny akord natychmiast uciszył wszelkie rozmowy. Otyła kobieta i młodzieniec odwrócili się w stronę pianisty z wyrazem zaskoczenia na twarzach. Staruszek pod oknem zamarł, jakby usłyszał huk wystrzału. Huragan podwójnych oktaw, który nastąpił sekundę później, wywołał powszechny szmer uzna-

nia. Młody muzyk odczuł złośliwą satysfakcję. Chcecie cyrkowych sztuczek? Chcecie galopujących tercji? Oto one! Zagrał unisono kilka chromatycznych gam w niskim rejestrze, potem przeszedł do tonacji d-moll i po kilku niewybrednych efektach odbębnił temat z *Don Giovani* Mozarta, nie ustrzegając się przy tym fałszywego dźwięku w basie. Wysoki i chudy Anglik, o długiej twarzy okolonej rudym zarostem, chyba jakiś bankier z Liverpoolu, powiedział dyskretnie: „Brawo”, ale muzyk już tego nie słyszał. Alkohol, podniecenie i spływające spod palców dźwięki sprawiły, że czuł się oddzielony od innych jakby niewidzialną ścianą. Zapomniał nawet na chwilę o blond piękności. Był sam na sam z muzyką. Uspokoił nieco swoją grę i przeszedł do tonacji F-dur, rozjaśniając atmosferę. Mozartowski temat zabrzmiał teraz zupełnie inaczej, czysto i naiwnie, niczym dziecięca piosenka. Po kilkunastu taktach przeobraziła się ona jednak w uroczystą pieśń, następnie nabrała cech pompatycznego marsza, jakby żywcem wyjętego z popularnej opery. Mała zmiana rytmu oraz zaakcentowanie kwarty lidyjskiej ukazały kolejne, zaskakujące oblicze utworu. Oto rozbrzmiewał mazur, nieco może salonowy i mało wyszukany, ale dla dzisiejszej publiczności nie trzeba się było przecież zbytnio wysilać. Dały się słyszeć pierwsze oklaski. Muzyka polska była ostatnio w modzie, prawie każdy potrafił zanucić jakiś mazurkowy czy też polonezowy temat, więc młodzieniec długo utrzymywał się w tym klimacie, wprowadzając coraz to nowe ludowe motywy. Co prawda nie zawsze były to pomysły w najlepszym guście, bo obok surowych kwint w basie rozbrzmiewały również popisowe, niemające z folklorem nic wspólnego ozdobniki, ale pianista zapragnął teraz wywołać jak największy efekt, używając do tego celu

najmniej wyszukanych środków. Nadal czuł jakąś złośliwą satysfakcję, popisując się przed otaczającymi go ludźmi, jak gdyby w ten sposób naigrawał się z nich, obnażał brak muzykalności i gustu paryskiej publiczności. Był to również odwet na pięknej gospodyni, dla której chciał przecież odegrać swojego ulubionego walca. W jego oczach na równi ze wszystkimi winna była niezrozumienia tej intymnej muzyki. Dlatego bębnił teraz z całej siły, wręcz wyzywająco. Mało nie spadł ze stołka, kiedy gwałtownie przechylił się w prawo, aby odegrać podwójny tryl w wysokim rejestrze. Wreszcie, serią błyskotliwych, choć nie do końca precyzyjnych pasażów zakończył improwizację, wywołując prawdziwą burzę braw oraz kilka okrzyków ze strony podchmielonych mężczyzn, którzy skupili się przy stoliku z serami.

Wstał od fortepianu i z wymuszonym uśmiechem słuchał niemilknących oklasków. Wśród zachwyconych słuchaczy zabrakło jednak tej, do której głównie adresowany był cały występ. Stała w kącie pod oknem i wydawała się być całkowicie pochłonięta rozmową z ubranym na angielską modłę chudym młodzieńcem. Rumieniec na twarzy i skromnie spuszczone oczęta nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do charakteru tej wymiany zdań.

- A może łaskawa pani nam coś teraz zagra? - zawołał, trochę nazbyt głośno, spoglądając w jej kierunku. Rozochoczone towarzystwo dołączyło się do prośby, ku chwilowemu zmieszaniu młodej kobiety, która nagle znalazła się w samym centrum zainteresowania. Piękność jednak nie dała się zbyt długo prosić. Trochę się jeszcze opierała i krygowała, ale aż paliła się, żeby zagrać. Zachwycony małżonek, sapiąc z przejęcia z dumą oznajmiał wszystkim obecnym, że cukierczek

bierze codziennie lekcje gry i śpiewu u najlepszego nauczyciela w Paryżu.

I pewnie u najprzystojniejszego, pomyślał posępnie Polak, ustępując jej miejsca przy fortepianie. Towarzystwo przestało go już bawić. Korzystając z chwilowego zamieszania, postanowił wynieść się stąd po angielsku. Wychylił jeszcze parę kieliszków wina i z mocnym szumem w głowie wymknął się dyskretnie z salonu, w którym narastający gwar głosów zagłuszał miłosiernie fałszywie brzmiące tony wydobywające się spod palców pięknej blondynki. Nie miał też ochoty na grożące niechybnie popisy wokalne tej pianistki.

Usztywniony lokaj przy wyjściu podał mu płaszcz, cylinder i laseczkę.

- Zawołać pojazd dla jaśnie pana? - spytał, przeciągając z godnością sylaby.

- Nie, dziękuję. Pójdę pieszo.

Wyraz twarzy służącego wyraźnie mówił o tym, co stary sługa myśli o młodych cudzoziemcach spacerujących nocą po Paryżu. Nie myślał o nich dobrze. To pewne.

Powietrze było chłodne i wilgotne po dzisiejszym deszczu, ale przyjemnie pachnące. Lekko zawiany młodzieniec z lubością wdychał je całą piersią. Czuć było wyraźnie pobliską Sekwanę, koński nawóz, oraz swąd węglowego dymu.

Spacer dobrze mi zrobi, pomyślał zadowolony. Pozbędę się dymu z cygar, którym pewnie przeszło całe moje ubranie, a i ta wścibska konsjerżka nie poczuje ode mnie wina. Niby nie zależało mu specjalnie na jej opinii, ale nie lubił wyrazu dezaprobaty na twarzy kobiety, gdy wracał podchmielony do swojego pokoju na poddaszu. Zawsze starał się skradać cichutko pod jej drzwiami, ale ona, jakby tylko na niego czekała.

W najmniej spodziewanym momencie otwierały się nagle drzwi i na skruszonego delikwenta w przekrzywionym cylindrze spoglądało bazylijskie oko ciekawskiego babsztyla.

- Kiedyś się kawaler doigra, oj, doigra się... - Groziła palcem. - Taki tryb życia do niczego dobrego nie doprowadzi. Znałam kiedyś takiego jednego, co to... A, zresztą, co ja tam będę opowiadać. Bo to młodzież dzisiaj słucha dobrych rad? A ja przecież kawalerowi matką mogłabym być i tylko dla jego dobra to mówię.

Te i podobne jej przemowy towarzyszyły niemal każdemu późnemu powrotowi do domu. Dzisiaj przynajmniej nie będzie miała powodu, ucieszył się, bo może zdążyć otrzeźwieć, zanim dojdę na miejsce. Czuł jednak, że wypite wino coraz bardziej uderza mu do głowy. Bruk na ulicy nagle wydał mu się niebezpiecznie wybrzuszony, drzewa rosnące wzdłuż Sekwany nachalnie wpychały się na chodnik. Odbił się od muru oddzielającego nabrzeże rzeki od ulicy, poprawił cylinder i sztywnym nieco krokiem ruszył przed siebie.

Co też takiego zdarzyło się podczas tego soiree? Usiłował sobie przypomnieć, co też go tak zdenerwowało. Aaa... tak, już wiedział. Ta kokietka, żona wstrętnego starucha. Że też dał się tak zwieść jej zachowaniu. Naprawdę był przekonany, że zrobił na niej piorunujące wrażenie i że to tylko kwestia czasu, kiedy wyznaczy mu schadzkę, a ona flirtowała bezwstydnie z tym wyelegantowanym dandysem.

I to niemal pod okiem stetryczalego męża. Co za rozwiąłość, tfu!

Od Sekwany powiał zimny wiatr, zdmuchując z drzewa mokre liście i krople wilgoci pozostałe po padającym jeszcze niedawno deszczu. Nagły dreszcz wstrząsnął młodzieńcem.

Postawił wysoko kołnierz płaszcza i nagle zaczął żałować, że jednak nie wziął powozu. Niby niedaleko, ale łatwo można się przeziębic przy takiej pogodzie. A tak obiecywał ojcu, że będzie na siebie uważał...

- Niech to diabli! - zaklął nagle, potykając się na mokrym bruku. Przez chwilę biegł z nosem niemal przy ziemi, z trudem starając się złapać równowagę. W końcu padł jednak jak długi tuż przy parującej jeszcze kupce końskiego nawozu. Nie zdążył zakląć ponownie, ponieważ, na pustej przed chwilą ulicy, pojawiły się nagle dwie rozchichotane dziewczyny.

- Widziałaś jaką miał minę? - Jedna z nich aż kuliła się ze śmiechu.

Pechowy muzyk zerwał się z bruku jeszcze szybciej, niż się na nim znalazł. Niepewnymi, nerwowymi ruchami usiłował oczyścić zabłocone ubranie i niemal jednocześnie umieścić zgięty cylinder na głowie. Za wszelką cenę należało zachować choć resztki godności.

- Panna się nie nadajesz do pozowania - przesadnie gruby głos świadczył o tym, że niższa z dziewcząt naśladuje jakiegoś mężczyznę.

- Panna jesteś kołek.

- A pan nie jesteś prawdziwym malarzem, bo taki by nawet kołek namalował - piskliwy tym razem głosik sugerował odpowiedź dziewczyny na taką impertynencję.

To nie ze mnie się śmieją, odetchnął z ulgą młody Polak, a z jakiegoś malarza. Wyglądało na to, że nawet go nie zauważyły. Ale co też takie młode dziewczyny robią wieczorem same, bez opieki na ulicy? - pomyślał z ciekawością. - Czyżby to były jedne z tych wesołych panienek, które chętnie umilają mężczyznom czas i za niewielką opłatą dają trochę ciepła? A jakby tak... W końcu, co mi szkodzi... Kusicielka z dzisiejsze-

go wieczoru tylko narobiła apetytu na więcej i nic z tego nie wyszło. Namacał w kieszeni monetę. Może starczy?, pomyślał, nie sprawdzając nawet nominału. Z doświadczenia wiedział, że takie panienki, szukające duetów, nie są zbyt drogie. Ani zbyt wymagające.

Przecież to w końcu Paryż, upomniał sam siebie. Drożyzna na każdym kroku.

Wszedł w światło gazowej latarni i skłoniwszy się z galanterią, zapytał uwodzicielskim tonem:

- Panie tak same, bez opieki? Pozwolą panie zatem, że je odprowadzę? Służę ramieniem.

A przynajmniej tak mu się wydawało, że zapytał, ponieważ nadmiar wypitego tego wieczoru wina poplątał mu trochę język i z całej przemowy wyszedł tylko jakiś niezrozumiały bełkot, a przy „służę ramieniem” laseczka imponującym łukiem wylądowała na bruku.

Przestraszone dziewczyny odskoczyły z piskiem na drugą stronę ulicy. Jedna z nich pobiegła natychmiast przed siebie, druga stała przez chwilę, niezdolna zrobić choćby ruchu, a potem, jakby obudzona nagle z letargu, ruszyła w ślad za koleżanką.

Młodzieniec, schylający się po laseczkę, zdążył jeszcze zauważyć ogromne, szeroko otwarte oczy dziewczyny i piękną bladą twarz w obramowaniu ciemnych, gładko zaczesanych włosów.

Nie mam dzisiaj szczęścia w miłości, pomyślał z melancholią, spoglądając za uciekającymi dziewczętami. Nawet takie kobiety nie chcą... Ruszył w kierunku swojego małego, pustego i zimnego pokoiku na najwyższym piętrze kamienicy. Przed

oczami miał cały czas obraz pięknej twarzy przestraszonej dziewczyny.

Ulicznica, a taki miała niewinny wygląd. Można się było nabrać, pokiwał w zamyśleniu głową. Zaskakujący ten Paryż, zaskakujący...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Różnojęzyczny, kolorowy tłum przesuwał się powoli wzdłuż ścian zawieszonych olbrzymimi płótnami, znanymi mi dotychczas z reprodukcji w albumach z malarstwem światowym.

Niektóre jednak pamiętałam już z moich poprzednich wizyt w Luwrze.

Euforia, która nie opuszczała mnie od momentu, gdy wyszliśmy z metra, utrzymywała się przez pierwsze godziny zwiedzania. Jak zwykle byłam podekscytowana, przekraczając bramę wejściową, kierując się na dziedziniec muzeum, przechodząc pod słynną szklaną piramidą, a następnie wkraczając na prowadzące w dół spiralne schody. Przemierzałam ogromne sale z zachwytem dziecka, które znalazło się w sklepie z zabawkami. W miarę jednak upływu czasu moje podniecenie słabło, ustępując miejsca zwykłemu zmęczeniu. Stanowczo za dużo bodźców.

Po paru godzinach miałam już serdecznie dość. Moja zdolność percepcji okazała się być ograniczona i przestało docierać do mnie to, co działo się wokół. Usiadłam ciężko na jednej z wygodnych ławeczek ustawionych pośrodku sali i zsunęłam dyskretnie pantofle z nóg.

- Muszę odpocząć - jęknęłam. - Padam ze zmęczenia.

- Masz rację - Tadeusz tym razem nie protestował. - Nie sądziłem, że Luwr jest taki ogromny. Potrzeba chyba kilku dni, żeby to wszystko zobaczyć, w ciągu jednej wizyty to absolutnie niewykonalne.

Zwiedzający wokół nas zachowywali się różnie: jedni przechodzili dość szybko, rzucając zdawkowe spojrzenia na mijane obrazy, inni zatrzymywali się i z wielką skrupulatnością czytali objaśnienia na metalowych plakietkach lub w swoich przewodnikach. Trójka rozbrykanych chłopców przebiegła nagle z piskiem adidasów po parkiecie. Ich ojciec, nie zwracając zupełnie uwagi na zachowanie swoich pociech, podchodził powoli do każdego niemal płótna, zdejmował okulary w złoconych oprawkach i z bliska podziwiał fakturę powierzchni, drobne pociągnięcia pędzla. Odchodził później parę kroków i już z daleka kontemlował całość, zakładając na powrót okulary. Dzieci ponaglały go głośnym: „Tato, taaato... chodź już!", ale zbywał je niecierpliwym machnięciem ręki.

Przed ogromnym malowidłem, naprzeciwko nas, przystanęło dwóch mężczyzn. Starszy z nich, około pięćdziesięcioletni, wytworny i elegancki, tłumaczył coś młodszemu, wpatrującemu się w niego z uwagą. Dolatujące do nas strzępki rozmowy prowadzonej w języku angielskim świadczyły o tym, że mężczyzna rozprawia właśnie o malarstwie.

- Myślisz, że to przewodnik? - spytałam cicho, nie spuszczać mężczyzn z oka. Było coś fascynującego w starszym mężczyźnie.

- Czy ja wiem? Wyglądają na zaprzyjaźnionych, spójrz tylko, jak na siebie patrzą. Może to geje?

- Wszędzie dopatrujesz się niezdrowej sensacji - westchnęłam rozdrażniona. - Jeden z nich to pewnie profesor,

a drugi jego student albo młodszy kolega. Wygląda na to, że ciekawie opowiada. Może posłuchamy trochę? To lepsze, niż takie przechodzenie od obrazu do obrazu, bo przewodnika oczywiście nie kupiliśmy.

- Nie kupiliśmy, to fakt. Widziałaś ceny w hallu pod piramidą?

Tak, zauważyłam. Zwykle broszurki i plany, które można było wziąć za darmo z ogromnego blatu w informacji na dole, pozwalały nam tylko na zorientowanie się, gdzie jesteśmy i jak przejść do następnych ekspozycji. Według planu byliśmy właśnie na drugim piętrze, w skrzydle Richelieu, w dziale *Malarstwo francuskie XIV-XVII wieku*.

- Dostyc odpoczynku, szkoda czasu. - Tadeusz wstał i podał mi dłoń. - O co chodzi?

Sięgnęłam ostrożnie nogą pod siedzenie i na moment wpadłam w popłoch. Gdzie mój pantofel?! Z ogromnym skupieniem na twarzy zataczałam bosą stopą coraz to szersze kręgi. Po paru nieudanych próbach i kilku, najpierw zdziwionych, a potem zgorszonych spojrzeniach siedzącego obok starszego Japończyka, udało mi się w końcu wyłowić zgubę.

- Już nic, w porządku. Idziemy.

- Spójrz choćby na to - dobiegł nas spokojny, cichy głos. Lekko siwiejący mężczyzna i jego towarzysz, których zauważyliśmy chwilę wcześniej, przystanęli właśnie przed obrazem *Maria Magdalena Pokutująca*, zwanym też *Magdaleną z kolekcji Terff* George'a de La Tour. My również spojrzeliśmy na płótno, na którym wysoki płomień świecy czy może lampki oliwnej wydobywał z mroku sylwetkę młodej kobiety w białej koszuli i czerwonej spódnicy, przewiązanej sznurem. Na kola-

||

nach, wyzłoconych delikatnie światłem, leżała czaszka, na której kobieta kładła miękko dłoń, niemal macierzyńskim gestem. Drugą ręką podparła brodę i w zamyśleniu spoglądała w kierunku leżącego na stole drewnianego krzyża.

Przysunęłam się bliżej, pociągając dyskretnie Tadeusza za rękaw.

- Spójrz, ile tu zawartych symboli i pozornych sprzeczności - kontynuował tymczasem mężczyzna półgłosem. - Postawa Magdaleny wcale nie wyraża pokuty. Z pokutą kojarzy nam się raczej klęczenie, leżenie krzyżem lub choćby ciężkie zwieszenie głowy w poczuciu popełnionych win. A ona, popatrz, jest spokojna i odprężona.

Przestałam już nawet udawać, że nie słucham jego wykładu. La Tour, to jeden z moich ulubionych XVII-wiecznych malarzy.

- Zgadza się pani ze mną? - zwrócił się z uśmiechem w moim kierunku.

- Przepraszam, że podsłuchuję, ale opowiada pan tak ciekawie... Mam nadzieję, że nie ma mi pan tego za złe?

- Ależ, wprost przeciwnie. Jeśli tylko interesuje państwa temat - spojrzał na mnie i na Tadeusza zapraszająco - będę czuł się zaszczycony. Jestem Mark Kozlovsky, a to mój przyjaciel, Richard Hill. Amerykanie, mieszkający od niedawna w Paryżu.

- Kozlovsky? Czyżby miał pan polskie korzenie? - zainteresowałam się.

- Tak - uśmiechnął się zaskoczony. - A państwo...?

- Polacy, tak. Miło spotkać prawie rodaka.

- Mój dziadek urodził się w Krakowie, ale jego rodzice wyemigrowali do Stanów, kiedy był jeszcze małym dzieckiem.

- W Krakowie?! Jesteśmy właśnie z Krakowa. Co za przypadek! - Tadeusz patrzył na niego z niedowierzaniem.

Dziadek, jak się okazało, był ostatnią osobą w rodzinie, która mówiła po polsku. Mark więc, oprócz słowa „pjeroszki” oznaczającego dla niego pyszne, polskie danie, nie umiał nic więcej w tym języku powiedzieć.

Po chwili wróciliśmy więc do tematu.

- Wspominał pan o symbolach - zaczął Tadeusz, wielki miłośnik malarstwa. - Przyznam szczerze, że do tej pory oglądałem jego obrazy, skupiając się tylko na doznaniach estetycznych: ciemność i wydobywane płomieniem świecy szczegóły. Nie zastanawiałem się nad symboliką. Zresztą, tak prawdę mówiąc, nie znam się aż tak bardzo na tym.

- A pełno tu symboli. Zacznijmy od tła, które jest brunatne, jak zresztą w większości obrazów La Toura. W XVII-wiecznej symbolice kolor ten sygnalizuje nicość.

- A biały niewinność - wtrąciłam. - Magdalena ma przecież białą koszulę.

- Symbolizuje również radość. Magdalena nałożyła ją na znak radości, ale niedbałość jej stroju jest jakby przypomnieniem jej przeszłości.

- Ma również czerwoną spódnicę. - Mark wyglądał na zadowolonego z powodu naszego zainteresowania. Jak by pan to odczytał?

- Czerwień kojarzy się z piekłem. Był również kolorem nierządnic, które ubierały się w jaskrawoczerwone szaty, żeby zwrócić na siebie uwagę mężczyzn.

- Tak, ma pan rację, ale istnieje też pozytywna symbolika tej barwy. Czerwień to kolor krwi, siły i młodości. Na ten kolor malowano posąжки bożków uosabiających płodne siły natury.

- To w pogańskich wierzeniach - nie ustępował Tadeusz - Nie znam się na tym dobrze, ale wydaje mi się, że w chrześcijaństwie...

- Symbolizuje bezgraniczną miłość do Boga, męczeństwo i zmartwychwstanie Chrystusa - dokończył za niego Mark.

Richard, towarzysz naszego przypadkowego przewodnika, wtrącił się do dyskusji.

- Niektóre szczegóły możemy chyba jednak odbierać wprost. Choćby leżący na stole bicz, co w przypadku odbywania pokuty jest tu zrozumiałe i na miejscu.

- I tak, i nie - uśmiechnął się tajemniczo Mark. - Owszem, bicz jest wyrazem gniewu i narzędziem kary wymierzanej bezbożnym, ale w tekstach biblijnych pojawia się jako sposób na zachowanie życia wiecznego. „Ty go uderzysz różgą, a od otchłani zachowasz mu duszę” - zacytował z pamięci.

- Poddaję się... - Tadeusz popatrzył na Marka z niekłamanym podziwem. - Pan z pewnością jest historykiem sztuki?

- Nie, jestem tylko skromnym miłośnikiem XVII-wiecznego malarstwa. - Skłonił się lekko. - Z wykształcenia natomiast jestem muzykologiem.

- Intryguje mnie jeszcze ten sznur, którym przepasana jest spódnica Magdaleny. - Nie wytrzymałam. - Przypuszczam, że to też jakiś symbol, że nie pojawił się tu przypadkiem.

- Ma pani rację. Ten sznur, to pas w swojej najprostszej formie. Pas uważano za symbol siły, czystości i poświęcenia. Był też oznaką przyzwoitego życia.

- Przyzwoitego? - Richard spojrział na niego z rozbawieniem. - Przecież mówimy o Marii Magdalenie, jawnogrzesznicy.

- Nie przesłyszałeś się, przyzwoitego. W średniowieczu zabraniano nawet noszenia pasów przez kobiety lekkich oby-

czajów. Mówiłem na początku o symbolach i pozornych sprzecznościach. Mamy zatem kolejną sprzeczność. Kim zatem była Maria Magdalena?

Byliśmy pod ogromnym wrażeniem wiedzy i erudycji naszego przewodnika. Jeszcze długo, po opuszczeniu Luwru, wracając wzdłuż Sekwany do naszego pokoiku na poddaszu, rozmawialiśmy na jego temat.

- Co za człowiek! - Tadeusz nie mógł wyjść z podziwu. - Jaka wiedza! Imponująca, słowo daję. A ten jego kolega też bardzo przyjemny, chociaż trochę nieśmiały. Szkoda, że nie zostajemy dłużej w Paryżu, bo chętnie spotkałbym się z nimi znowu. Wielka szkoda.

- Ciekawe, czy Chopin też chodził do Luwru i podziwiał te same arcydzieła, co my teraz? - zastanawiałam się głośno.

- A ty nadal się upierasz, że tajemniczym kochankiem naszej Marie był właśnie Chopin?

- Nie upieram się, to raczej mało prawdopodobne, ale przecież niewykluczone. Był w końcu dość romansowym młodzieńcem, miał gorący temperament i, co najważniejsze, przebywał w tym czasie w Paryżu. Dlaczego więc nie on? Do czasu, gdy nie odkryjemy, kto był w rzeczywistości kochankiem Marie, będę sobie myślała o Chopinie i już. Zresztą, może już za parę dni będziemy coś więcej wiedzieć na ten temat. Claude powiedział przecież, że nie zdążył jeszcze przejrzeć pozostałych listów, które są w Trigny.

Tadeusz rozłożył ręce i wznosił oczy w górę w komicznym geście rezygnacji.

- Niech ci będzie, uparta kobieto. Ale jedno jest pewne, jeśli Chopin chodził do Luwru, a sądzę, że tak, to nie mógł po

dziwiąc La Toura, który został odkryty dopiero w początkach XX wieku.

- Z tym się mogę zgodzić, Panie Wszystkowiedzący. Ale tylko z tym. A teraz porywam cię do Dzielnicy Łacińskiej, gdzie zjemy kolację. Co ty na to?

- Lubię być porywany przez piękne kobiety - Tadeusz objął mnie ramieniem i przytulił lekko. - A potem do domku i spać, bo rano wyruszamy do Trigny.

- Spać?! - oburzyłam się. - Spać mogą dzieci i starcy, my dziś będziemy balować do rana. To jest Paryż, kochanie, a nie jakaś Kozia Wólka. Zajrzemy na Plac Pigalle?

- Chodzi ci oczywiście o kasztany, a nie o kabarety i sex-shopy?

- Oczywiście.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Samochód skręcił z ulicy Rivoli w prawo i chwilę później jechaliśmy już wzdłuż Sekwany. Szkoda było rozstawać się z Paryżem. Tyle jeszcze chciałam pokazać Tadeuszowi, to miał być czas tylko dla nas, niestety, musieliśmy się spieszyć. Sophie i Calude czekali na nas w swoim zamku w Trigny, a za tydzień trzeba było już wracać do Polski. Wprawdzie zapraszali nas tylko na weekend, ale znając ich gościnność, czułam, że nie uda się nam wyrwać stamtąd przez następny tydzień.

Zresztą, czekały na nas listy Marie, a na ich przeczytanie potrzeba przecież trochę czasu. Dlatego też żegnałam się już z tym miastem. Trochę mi było jednak smutno. Zawsze wyjeżdżałam stąd z żalem i uczuciem niedosytu.

Tadeusz całą swoją uwagę skupiał teraz na wzmożonym, z powodu zbliżającego się weekendu, ruchu ulicznym. Byliśmy trochę niedospani, chociaż nie dotrwaliśmy do rana, mimo moich buńczucznych zapowiedzi. Po północy wróciliśmy zmęczeni do naszego pokoiku na poddaszu, ale hałasy dobiegające z żydowskiej restauracji na dole i tak nie pozwalały nam zasnąć.

Samochód wjechał do tunelu. Czerwone światełka jadących przed nami aut wyglądały jak żarzące się resztki ogniska.

- Patrz, jak pięknie. - Trąciłam lekko Tadeusza w bok.

- Uhm... - westchnął rozmarzony. - Takie wypasione samochody...

Tunel skończył się. Po prawej, w zachodzącym słońcu mignęła nam znowu Sekwana. Z przepływającego właśnie statku wypełnionego turystami dobiegły słowa przewodnika, zniekształcone nieco przez sprzęt nagłaśniający. Ale i to zniknęło szybko, zastąpione przez umykające poboczne i szum jadących samochodów. Jeszcze prawie godzina i będziemy na miejscu, pomyślałam podekscytowana. Dawno już nie byłam w Trigny. Szkoda tylko, że nie zastanę tam chłopców.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, każde zajęte własnymi myślami. Ja przypominałam sobie chwile spędzone z Nicolasem i Alexandrem, ich dzieciństwo, pierwsze słowa i nieporadnie klecone zdania po francusku, pierwsze kroki. Z zamyślenia wyrwał mnie głos Tadeusza.

- Czemu tak nagle zamilkłaś? Jak tak dalej pójdzie, zasnę za kierownicą.

- Myślałam właśnie o chłopcach. Naprawdę żałuję, że nie będę się mogła z nimi zobaczyć.

- Ja również. Tyle mi o nich opowiadałaś...

- Szkoda, że tak późno wybraliśmy się na ten urlop. Wakacje już się skończyły.

- Wiesz przecież, że to nie ode mnie zależało - w głosie Tadeusza zabrzmiała lekka uraza. - Tak miałem rozplanowany urlop, a na dodatek szef nieomal nie cofnął mi go w ostatniej chwili.

- Wiem, wiem. - Położyłam uspakajająco dłoń na jego kolanie. - Tak sobie tylko narzekam.

Mój miły był ostatnio trochę drażliwy postanowiłam więc go nie prowokować. W końcu ten wyjazd miał poprawić nasze nieco napięte ostatnio stosunki. Westchnęłam tylko ciężko w duchu.

Przed oczami stanęło mi nagle nasze pierwsze spotkanie w czytelniku. Okazało się wtedy, że Tadeusz przeglądał ten sam rocznik krakowskiego „Czasu” z 1900 roku, na który i ja miałam tego dnia ochotę. Szukałam właśnie materiałów do mojej książki o pradziadku, Tadeusz zaś do artykułu o krakowskiej straży pożarnej w XIX wieku.

Straciłam głowę od pierwszego spojrzenia tych niesamowicie niebieskich oczu. Zauroczył mnie jego niecierpliwy gest, którym odrzucał ciemne pasmo zbyt długich włosów spadające mu na czoło. Jak później często chwalił się znajomym, wpatrywałam się wtedy w niego tak intensywnie, że jeszcze długo miał powidoki pod powiekami. Dwie plamki, jak od wgapienia się w jasne żarówki...

Napłynęły wspomnienia naszych spotkań, przesyconych erotyzmem nocy, a potem wspaniałych rozmów do białego rana. A teraz? Klóciliśmy się przy byle okazji, jak stare, znudzone małżeństwo, którym przecież nie byliśmy.

Przyglądałam mu się kątem oka, nie mówiąc ni słowa. Miał ten swój skupiony wyraz twarzy, który tak bardzo u niego lubiłam.

- O co chodzi? - Odwrócił wzrok od przedniej szyby i spojrzał na mnie zdziwiony. - Nad czym się tak zamyślałaś?

- Przypomniałam sobie właśnie nasze pierwsze spotkanie.

- To w czytelniku? - roześmiał się. - Kiedy w jednej chwili chciałaś mnie zniszczyć za to, że podebrałam ci rocznik „Cza-

su", a już w następnej pożerałaś mnie wzrokiem? Przez ciebie nie mogłem się skupić...

- A kto mnie potem tak rozpaczliwie szukał?

- A tam, człowiek był młody i głupi. Przecież to było już dwa lata temu, że też jeszcze to wszystko pamiętasz. - Rzucił mi rozbawione spojrzenie.

- No tak, to faktycznie szmat czasu, młodzieniaszku.

Miarowe turkotanie pod kołami samochodu sygnalizowało zbliżanie się do pierwszej bramki na płatnej autostradzie. Samochód zwolnił nieco, Tadeusz sięgnął do schowka po pieniądze, odkręcił boczną szybkę, podał odliczoną kwotę uśmiechniętej dziewczynie, szlaban uniósł się w górę i znów mogliśmy jechać dalej.

Przez uchyloną jeszcze szybę napłynęło świeże, pachnące powietrze. Niebo poczerwieniało na zachodzie, ciemne poziome chmury zwiastowały zbliżanie się wieczoru. Na horyzoncie, po lewej, przez moment widać było wysokie konstrukcje Disneylandu w Marne la Vallée, zanim jednak Tadeusz odwrócił głowę, znikły za innymi budowlami.

Jednostajny szum opon na gładkiej powierzchni autostrady i zapadający powoli zmrok zaczęły nas usypiać. Tadeusz włączył radio, usiłując znaleźć w nim przyjemną dla ucha muzykę. Jaką by jednak falę nie nastawił, wszystko brzmiało jak umps... umps...

- O nie, tylko nie to! - Wyłączył radio, kiedy młody piosenkarz zaczął coś rytmicznie wykrzykiwać. - Gorszy od rapu w ogóle, może być chyba tylko rap francuski.

Przez jakiś czas jechaliśmy w kompletnej ciszy, potem przypomniałam sobie, że w schowku jest płyta CD z albumem Cohena.

Kiedy pojawiła się tablica wskazująca kierunek na Reims, był to dla nas sygnał, że należy rozglądać się już za zjazdem z autostrady. Był dobrze oznakowany, więc po paru minutach znaleźliśmy się na drodze prowadzącej do Trigny, małej miejsciny w Szampanii. Mijane okolice wyglądały na niemal zupełnie opustoszałe i tylko światła w oknach niewysokich domków świadczyły o tym, że ktoś tu mieszka. W gęstniejącym mroku widać było równiutkie rzędy winnic na wzgórzach.

- To już niedaleko. - Z przyjemnością rozejrzałam się po okolicy. - Jeszcze tylko przejazd kolejowy i już prawie będziemy na miejscu.

Zawsze w tym miejscu Chutney zaczynała piszczeć podekscytowana. Wystawiała łeb przez okno i podnosiła go wysoko, węsząc, popiskując i spoglądając na nas niecierpliwie. Poznawała zapachy domu, a przecież było jeszcze dość daleko. To był naprawdę piękny widok: szeroko uśmiechnięty pies z powiewającymi na wietrze uszami.

Samochód podskoczył lekko na torach kolejowych. Przejeżdżająca obok rowerzystka obrzuciła nas ciekawym spojrzeniem; auta z polską rejestracją pewnie nie zdarzały się tu zbyt często.

- Spodoba ci się tutaj, zobaczysz - powiedziałam. - Za dnia wszystko wygląda inaczej. Lubiłam tu przyjeżdżać, jeszcze kiedy Sophie i Claude mieszkali w Paryżu, a w Trigny spędzali tylko weekendy.

- Dlaczego zrezygnowali z mieszkania w Paryżu?

- No cóż, Sophie miała już dość miasta, wiecznych korków, nerwowej bieganiny i hałasu. Teraz zajmuje jakieś wysokie stanowisko polityczne, często podróżuje, chętnie więc wraca tutaj, żeby nabrać sił przed następną podróżą. W Paryżu nie miała takich warunków.

- Jak można mieć dość Paryża? - Tadeusz zrobił zdziwioną minę.

- Gdybyś tam mieszkał na stałe, a nie przyjeżdżał tylko jako zachwycony turysta, też pewnie miałbyś dość.

- A Claude? Wspominałaś, że jest prawnikiem. Pewnie miał tam swoją kancelarię, kontakty.

- Kontakty tak, ale kancelarię otworzył dopiero w Reims. W Paryżu była zbyt duża konkurencja, a tutaj jest jednym z bardziej cenionych adwokatów. Nie mogę odżalować, że nie będzie tam chłopców. - Myślni byłam znowu w innym miejscu i czasie. - Bardzo się za nimi stęskniłam. Ostatnio widzieliśmy się... - zaczęłam liczyć na palcach - ...chyba jakieś dwa, trzy lata temu.

- Niesamowita historia z tymi dziećmi. - Tadeusz pokręcił głową. - Zupełnie jak z jakiegoś filmu, prawda? Lepiej nie mogły trafić.

Tak, rzeczywiście historia jak ze scenariusza: polskie dzieci, sieroty adoptowane przez bogatą, francuską rodzinę. Tu miały kochających rodziców, wspaniałe warunki życiowe i dostęp do najlepszych szkół, podczas gdy w Polsce skazane byłyby na dom dziecka i minimum socjalne w przyszłości.

Nicolas miał jakąś wadę przewodu pokarmowego i bez skomplikowanej operacji prawdopodobnie nie przeżyłby; Alexander, wymagającą długotrwałego leczenia chorobę skóry. Kto w Polsce chciałby się zająć chorymi dziećmi

i stworzyć im normalną rodzinę? A przede wszystkim: Kto miałby pieniądze na ich leczenie? Szanse na adopcję mają u nas dzieci zdrowe, ładne i mądre. Wskazane też jest, żeby były podobne do swoich przybranych rodziców...

- Żebyś wiedział - odparłam po chwili. - Chłopcy nie mogli lepiej trafić.

Tymczasem pojawiły się pierwsze zabudowania miasteczka i duży kamienny mur otaczający posiadłość moich przyjaciół. Między drzewami prześwitywały fragmenty dachu, wysokich okien z drewnianymi, białymi żaluzjami i okrągłej wieżyczki nad zachodnim skrzydłem. Wjechaliśmy na mały rynek z okrągłą fontanną pośrodku, przez uchyloną boczną szybę dobiegł nas miarowy plusk wody. W otwartych drzwiach miejscowej winiarni stał właściciel, przepasany białym fartuchem i z ciekawością przyglądał się pojazdowi z obcą rejestracją.

Samochód potoczył się po bruku wąskiej uliczki biegnącej pomiędzy wysokimi murami sąsiadujących ze sobą posesji. Reflektory wyławiały kolejne fragmenty muru porośniętego bluszczem i mokre gałęzie drzew rosnących wewnątrz ogrodzenia, żeby w końcu zatrzymać się na wysokiej, pomalowanej na niebiesko bramie. Rozległo się głośne skrzypnięcie i wolniutko zaczęło się otwierać jedno jej skrzydło, a zaraz potem drugie, ukazując podjazd wysypany białym żwirem.

Przy bramie, po obu jej stronach, stali Sophie i Claude, kulący się w wieczornym chłodzie.

Samochód wjechał z chrzęstem na podwórze, obszczekiwany radośnie przez biegającą dookoła Chutney. Zaparkowaliśmy pod starą wozownią, w której stał zabytkowy powóz

konny z czarną, wysoką budą i dużymi kołami na metalowych obręczach.

- Dobrą mieliście podróż? - Sophie zadała typowo francuskie pytanie i wyczuła mnie czterokrotnie w oba policzki. Stojący za nią Claude przywitał się ze mną w ten sam sposób, z Tadeuszem wymieniając mocny uścisk dłoni.

- Wejdźmy do domu, bo chłodno tutaj. - Sophie wykonała zapraszający gest. - Chutney, dość! - zawołała do psa, który zwałił nas niemal z nóg, biegnąc od gospodarzy do mnie w zawrotnym tempie.

Jadalnia, do której zeszliśmy po szybkim odświeżeniu się po podróży, wyglądała niemal tak, jak ją zapamiętałam podczas ostatniej wizyty. Długi, prostokątny stół przykryty teraz zielonym obrusem i leżącymi przy każdym nakryciu lnianymi serwetkami, a do tego wszystkiego ciężkie, wyściełane aksamitem krzesła z wysokimi oparciami pozostały niezmienione. Ze wzruszeniem dostrzegłam znajomą porcelanę i bibeloty za szybami starej serwantki. Tylko zasłony w oknie były jaśniejsze i weselsze - poprzednie, ciężkie z ciemnozielonego aksamitu stwarzały w tym pomieszczeniu trochę ponury nastrój. W oknie wychodzącym na ogród stała teraz ozdobna donica z krzaczkiem kwitnącego hibiskusa.

- Jeszcze trochę wina? - Claude podniósł pytająco butelkę w naszą stronę. Byliśmy właśnie po lekkiej przekąsce i czekaliśmy na danie główne.

- To jest... - gospodarz usiłował odczytać coś ze zniszczonej przez wilgoć, poczerniałej i kruszącej się nalepki na butelce, ale bez powodzenia - ...nie wiem dokładnie, co to za wino. Odkryłem niedawno w naszych piwnicach regał z kilkoma ta-

kimi butelkami. Bałem się, że skwaśniałe, ale na szczęście nie. Pewnie jeszcze twoich dziadków. - Uśmiechnął się do Sophie.

- Całkiem możliwe - przytaknęła i zwróciła się do nas. Patrzyłam z przyjemnością na Tadeusza, widać było, że

jest oczarowany gospodarzami. Wyraźnie też podobał mu się sposób, w jaki wymawiali nasze imiona: Lusina i Tadeus.

- Dziadek był wielkim miłośnikiem i znawcą win. - Sophie uniosła swój kieliszek w stronę światła, zakręciła nim lekko, w końcu wzruszyła ramionami. - To może być jeszcze z jego zapasów. Ale bardziej interesuje mnie, jak spędziliście czas w Paryżu. No i oczywiście, co postanowiliście w sprawie naszej rodzinnej tajemnicy?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo do jadalni weszła właśnie kucharka. Wniosła półmiski z pieczoną wołowiną i jarzynami polanymi masłem.

- Może wrócimy do tematu za chwilę, bo widzę po oczach naszych panów, że nie będą teraz potrafili się skupić - zaproponowałam.

Sophie podniosła srebrną pokrywkę i wciągnęła nosem unoszący się nad nią aromat.

- Mmm... wspaniałe - uśmiechnęła się do kucharki, która zadowolona wycofała się do swojego królestwa.

Tymczasem gospodyni ostrym nożem odkroiła pierwszy płat mięsa.

Zaalarmował mnie błysk paniki w oku Tadeusza na widok czerwonego, niemal surowego wnętrza pieczeni. Nachyliłam się w jego kierunku i uśmiechając się niewinnie, szepnęłam po polsku, niemal nie poruszając ustami:

- Tylko nie wyrwij się ze stwierdzeniem, że to mięso jest niedopieczone. Takie ma właśnie być.

- Nigdy w życiu... - odpowiedział kącikiem ust, śledząc z przerażeniem ruchy Sophie - ...nie zjem surowego mięsa.

Na szczęście gospodarze nie zauważyli naszej cichej wymiany zdań. Claude zajął się uzupełnianiem kieliszków, a Sophie z namaszczeniem kroїła mięso.

- Kto woli bardziej wypieczone, a kto mniej? - zwróciła się do nas, odkładając w końcu sztucę na brzeg półmiska.

- My poprosimy to mocniej wypieczone - odpowiedziałam szybko za nas oboje.

Chociaż jak na mój gust wszystkie kawałki wyglądały na tak samo „mniej wypieczone”, ale i tak dostaliśmy chyba te mniej krwiste. Z doświadczenia wiedziałam, że to na wpół surowe mięso było delikatne w smaku i dawało się zjeść, mimo to musiałam się przełamywać, by przełknąć pierwszy kęs. Biedny Tadeusz natomiast przechodził prawdziwy chrzest bojowy i w ten sposób przyrządzoną pieczeń jadł prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu. Dyskretnie obserwowałam, jak odkrawał maluteńkie kawałeczki i żuł je z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- No to co postanowiliście? - Sophie otarła usta serwetką i wróciła do tematu.

- Daj spokój, nie teraz - zaprotestował Claude. - Jutro też jest dzień. Zresztą, mamy na to cały tydzień. Bo przecież zostanieie po weekendzie, prawda? - zwrócił się w naszą stronę.

- Tak. - Wymieniliśmy z Tadeuszem rozbawione spojrzenia. Spodziewaliśmy się przecież takiego obrotu sprawy. - Spokojnie, możemy zostać jeszcze przez tydzień, jeśli to wam nie sprawi kłopotu.

- Ależ, wręcz przeciwnie. Możecie zostać tak długo, jak długo będziecie mieli na to ochotę. Chłopcy wyjechali do

szkół, więc będziecie mieli idealne warunki do odpoczynku i na przestudiowanie treści listów.

- Świetnie. Mam nadzieję, że w ciągu tego tygodnia uda się nam je przejrzeć. W końcu to dużo czasu. Ale potem musimy już wracać, bo Tadeusz dostał tylko dwa tygodnie urlopu, z czego tydzień spędziliśmy już w Paryżu.

- No, ale ty przecież nie musisz się spieszyć? - Sophie spojrzała na mnie badawczo. - Mówiłaś, że po wydaniu książki mogłaś sobie pozwolić na zrezygnowanie z pracy?

- To nie do końca tak - zaśmiałam się w odpowiedzi. - Aż tyle na tym nie zarobiłam, niestety. Gdyby nie pieniądze za tłumaczenia, artykuły do gazet i lekcje francuskiego, nie mogłabym sobie pozwolić na labę.

- Wygląda na to, że jesteś teraz bardziej zapracowana niż przedtem, kiedy pracowałaś zawodowo.

- Tak chyba jest, ale to coś, co lubię robić i, co najważniejsze, nie muszę wychodzić z domu.

- Czyli możesz zostać u nas dłużej - podsumowała Sophie.

- Niby tak - przyznałam niechętnie - ale nie mogę przecież pozwolić, żeby Tadeusz wracał sam do domu. To długa trasa...

- No cóż, jeszcze na ten temat porozmawiamy. Może jednak zmienisz zdanie. - Sophie sięgnęła po nóż i półmisek. - Ktoś jeszcze życzy sobie kawałeczek mięsa?

Tadeusz chciał chyba powiedzieć coś w sprawie ewentualnego samotnego wyjazdu, ale zapomniał o tym w chwili zagrożenia następnym kawałkiem krwistego mięsa.

- Nie, nie - zaprotestował gwałtownie. - Już nic więcej nie zmieszczę - dodał dla złagodzenia efektu. - Chociaż było naprawdę pyszne.

Na stół tymczasem wjechała sałata z sosem vinaigrette i półmisek serów. Zajął się kosztowaniem każdego z nich, tymczasem rozmowa przy stole toczyła się leniwie, na neutralne tematy.

Po kolacji postanowiliśmy przenieść się do biblioteki. Claude zabrał niedokończoną butelkę wina, Tadeusz zajął się szkłem.

- Chodźcie, kochani, chodźcie. - Poganiał nas niecierpliwie, kiedy zatrzymywaliśmy się, żeby podziwiać wnętrze domu. - Szkoda teraz czasu na oglądanie. Mamy tyle spraw do omówienia. Jutro pozwiedzacie te pomieszczenia w świetle dziennym.

Posiadłość Sophie i Claude'a była starym zamkiem, odziedziczonym po jej przodkach ze strony ojca. Grube mury kryły zapewne niejedną tajemnicę. Ogromny hol z szerokimi schodami prowadzącymi na górę, dzielił dom na dwa skrzydła - wschodnie i zachodnie.

Pokoje na parterze ułożone były w amfiladzie, szereg ten kończył okrągły niemal salon z wysokimi oknami ułożonymi półkoleście na całej ścianie. Na piętrze znajdowały się tylko sypialnie, łazienki i pokoje gościnne, wyżej, w okrągłej wieżyczce pomieszczenie, które podobno było kiedyś atelier malarskim. Jeszcze teraz stały tam sztalugi, będące częścią wystroju gabinetu Claude'a, który zajął ten pokój dla siebie.

Kuchnia i jadalnia znajdowały się we wschodniej części domu, więc musieliśmy przejść przez hol i pokój muzyczny z fortepianem stojącym pod oknami. Odsunięte kręczone krzesło z siedzeniem z czarnego aksamitu i rozłożone na podstawce nuty sugerowały, że ktoś niedawno grał na tym instrumencie. W zmatowiałym ze starości lustrze nad kominkiem odbijało się wnętrze pokoju wypełnione pięknymi antycznymi meblami.

Z pokoju muzycznego przechodziło się już wprost do biblioteki. W głębi, tuż przy bocznych schodach prowadzących na piętro, wisiał ogromny portret młodej kobiety w niebieskiej sukni i naszyjniku z pereł.

- To ta prapraprababcia Sophie. Podobno niezwykła osoba - szepnęłam do Tadeusza, trącąc go lekko w bok.

Mimo kończącego się właśnie lata wieczór był chłodny, więc gospodarze rozpalili ogień w kominku. To ogromne i ciemne zazwyczaj pomieszczenie wyglądało teraz niemal przytulnie w blasku kilku stojących tam lamp z zielonymi kloszami i płonących drewnianych kłoców.

- Zmieniło się coś? - Claude wskazał nam zapraszającym gestem miejsce blisko kominka.

- Chyba nie. Może tylko przybyło trochę książek, o ile to w ogóle jeszcze możliwe - rozejrzałam się dokoła. Półki, szczelnie wypełnione tomami, zajmowały prawie wszystkie ściany od podłogi do sufitu. Lubiłam tu przesiadywać wieczorami, wtulona w miękką kanapę i wsłuchana w trzaskanie ognia.

- Masz rację, zakupiłem ostatnio trochę książek i obrazów. Widzieliście ten, w hallu? To całkiem nowy nabytek, wypatrzyłem go na aukcji w Londynie. Jest tak duży, że tylko tu można go było powiesić. Posiadanie takiego zamku jak ten ma też i swoje dobre strony. Mimo pewnych problemów z dostatecznym ogrzaniem wszystkich pomieszczeń - dodał z westchnieniem, po czym wstał i dołożył do kominka następną kłodę ze stojącej obok drewnianej skrzyni. Iskry strzeliły w górę, mokry kawałek drewna, najwyraźniej przyniesiony niedawno z szopy, zaczął piszczeć i syczeć w ogniu.

Jeszcze przez chwilę rozmowa toczyła się na temat obrazów na aukcjach, ich cen i pojawiających się na rynku fał-

szerstw, następnie ustaliliśmy plan zajęć na następne dni. Głównym punktem programu było, rzecz jasna, przeglądanie listów z tajemniczej skrytki w czereśniowym sekretarzyku. Resztę wieczoru spędziliśmy jednak, wspominając minione lata i rozkoszując się czerwonym winem.

Była już bardzo późna godzina nocna, kiedy lekko oszołomieni alkoholem i zmęczeni wydarzeniami minionego dnia znaleźliśmy się w naszym pokoju. Pokój, to może zbyt skromnie powiedziane w przypadku tego apartamentu wielkości mojego nowohuckiego mieszkania. Bardziej odpowiednią nazwą byłaby komnata, ale brzmi trochę staroświecko, pozostanę więc przy pokoju. Centralne miejsce zajmowało tu ogromne łożo z baldachimem, a w kominku palił się ogień.

- Nie wierzę, to chyba jakiś film. - Tadeusz z podziwem rozglądał się wokół. - Albo muzeum. Nie myślałem, że można jeszcze mieszkać w takich wnętrzach. Muszę zapalić.

- Ale chyba nie tu?

- Nie, nie - uspokoił mnie. - Wyjdę do ogrodu, tylko musisz mnie wyprowadzić, bo nie wiem, czy sam trafię. Tyle tu zakamarków i korytarzy...

- No dobrze - powiedziałam z rezygnacją. Tadeusz rzucał od jakiegoś czasu palenie, jednak z mizernym, jak na razie, skutkiem. - Tylko narzuć coś na siebie, bo chłodno.

Po kilku minutach denerwującego: „Może to...? Eee... nie, to za ciepło, a co sądzisz o tym swetrze? Po co ja zabrałem tę kurtkę, przecież to jeszcze lato” przechodziliśmy na palcach przez ciemne korytarze. Deski skrzypiały zdradziecko pod naszymi stopami, na szczęście jednak gospodarze spali w przeciwległym skrzydle. Sprowadziłam Tadeusza schodami na dół, do kuchni. Stamtąd było jedno z wyjść do ogrodu.

Upewniona, że trafi z powrotem bez problemów, wróciłam na górę. Wzięłam szybki prysznic w przylegającej do apartamentu łazience i z ulgą weszłam do chłodnej pościeli. Ogień na kominku przygasał już, rzucając czerwone blaski na ozdobną kratkę, osłaniającą pokój przed strzelającymi z wnętrza iskrami.

Jeszcze przez chwilę rozmyślałam o listach Marie, o tym, czy uda nam się w nich znaleźć coś naprawdę ciekawego, ale już po paru minutach poczułam, że zaczynam odpływać. Kontury pokoju zamazały się lekko, zapach dymu i przyjemna miękkość materaca sprawiły, że znalazłam się nagle przy ognisku, na pachnącej sianem trawie w lesie. Ogień strzelał wesoło w górę, las szumiał, tylko jakiś ptak wydzierał się wniebogłosy. Jego uporczywy śpiew wwiercał mi się w mózg i mącił błogi nastrój.

Las powoli zaczął znikać, z ogniska zostały już tylko dopalające się resztki w kominku, a ja, zamiast na trawie leżałam w wielkim łożu z baldachimem. Na stoliku obok dzwoniła moja komórka.

- Słucham - wymamrotałam, niezbyt jeszcze przytomnie. Jednak głos, który usłyszałam w słuchawce, postawił mnie natychmiast na nogi.

- Kochanie - Tadeusz mówił zduszonym szeptem. - Czy mogłabyś zejść do ogrodu? Jakiś wariat trzyma mnie na muszce, a ja nie mogę się z nim dogadać.

Wyskoczyłam z łóżka i boso podbiegłam do okna. W ogrodzie, w plamie światła padającego z kuchni stało dwóch mężczyzn. Jednym z nich był mój miły, a drugim...? Ależ to pan Singh!, pomyślałam z ulgą i rozbawieniem. Hindus, który był

i strażnikiem, i ogrodnikiem w tym domu. Zarzuciłam coś na siebie i zesłam szybko na dół.

- Spokojnie, Singh, to mój znajomy! - Głowy obu mężczyzn obróciły się w moim kierunku, a w oczach groźnego strażnika, jak i domniemanego włamywacza odmalowała się wyraźna ulga.

- Eeee... przepraszam, nie wiedziałem... no i miło mi panią widzieć, ale gdybym wiedział wcześniej... - speszony Singh schował broń i zaczął się nieskładnie tłumaczyć. No tak, słyszał, że mam z kimś przyjechać, ale nie wiedział, że będzie to mężczyzna. Sądził raczej, że moja siostra, która kiedyś tu ze mną przyjechała albo któreś z dzieci. Ale żeby mężczyzna? Nie, tego się nie spodziewał...

- Ale ten pan zachowywał się bardzo podejrzanie - ciągnął przejęty nadal Singh. - Chodził po ogrodzie, usiłował zaglądać przez okna do salonu, a jak mnie zobaczył, chciał uciekać. A potem chciał się wślizgnąć chyłkiem do domu.

- Myślę, że po prostu skończył palić papierosa i chciał wrócić na górę - roześmiałam się cicho.

- Bardzo przepraszam, że tak potraktowałam pani znajomego, ale do moich obowiązków należy między innymi...

- Wiem, wiem. Nic się nie stało. Wyjaśnijcie to sobie teraz panowie po angielsku i wracajmy spać. Już późno.

- To on mówi po angielsku? - zdziwił się pan Singh.

- To on mówi po angielsku? - zdziwił się Tadeusz.

Kiedy sytuacja wyklarowała się, a pan Singh, po raz setny już chyba, przeprosił za swoje zachowanie, Tadeusz rzucił okiem na broń wsuniętą za pas Hindusa.

- Naprawdę strzeliłby pan do mnie?

- Gdyby zaszła potrzeba, tak. Mam pozwolenie na broń. Jednak strzelałbym tylko w nogi, nie zabiłbym pana przecież.

Tadeusz nerwowo przełknął ślinę, ale szybko opanował się i odpowiedział z przekąsem:

- No tak, to mnie pan uspokoił. Ulżyło mi.

Pożegnaliśmy się z dzielnym strażnikiem i wrócili po cichutku na górę. Miałam tylko nadzieję, że rozmawialiśmy na tyle cicho, że nie zbudziło to naszych gospodarzy.

Kiedy Tadeusz wyszedł spod prysznic, spałam już prawie.

- Oni tu mają szare mydło do mycia - szepnął zdziwiony. - Niby taki przepych dookoła, a myją się zwykłym mydłem... Chociaż, trzeba przyznać, przyjemnie pachnącym - dodał.

- Kochanie - mruknęłam zaspana - to ekskluzywne i drogie mydło, wyrabiane ręcznie w oparciu o starą recepturę mnichów z któregoś tam opactwa. Zawiera tylko naturalne składniki, żadnej chemii.

- Ale wygląd ma nieciekawny. - Nie darował Tadeusz, układając się do snu.

Nie odpowiedziałam. Instynktownie przytuliłam się do jego pleców i wdychając przyjemny zapach mydła Martin de Candre, ponownie zapadłam w sen.

Miejsce przy ognisku czekało. Żaden ptak nie zakłócał już ciszy nocnej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Obudziło nas szczekanie psa w sąsiedztwie, ale wylegiwaliśmy się jeszcze do dziewiątej, wsłuchani w odgłosy krzątania na dole i śpiew ptaków dobiegający z ogrodu. Przy śniadaniu ustaliliśmy, że ja zacznę przeglądać listy Marie, Claude pokaże Tadeuszowi okolicę, a Sophie zajmie się papierkową robotą w swoim gabinecie. Za tydzień leciała na konferencję do Nowego Jorku, więc musiała się przygotować.

Słońce wyszło właśnie zza chmur i zrobiło się całkiem ciepło i przyjemnie. Z dzbankiem świeżo zaparzonej herbaty i paczką listów Marie usiadłam w ogrodzie pod rozłożystym drzewem. Ostrożnie rozłożyłam na kolanach pożąłkłe kartki.

Pierwsza z nich wyglądała na najbardziej zniszczoną, atrament rozmazał się miejscami, prawdopodobnie z powodu wilgoci, więc z trudem udało mi się odczytać datę. Rok 1832, ale miesiąc? Chyba listopad. A może grudzień? Te dwa miesiące mają w języku francuskim tyle samo liter i podobne końcówki, sam początek wyrazu był zamazany. Dalej już pismo było w miarę wyraźne.

Moja kochana siostro!

Mam nadzieję, że Tatko wydobrzeź ostatecznie po tym swoim przeziębieniu? Bardzo mnie zmartwiła wiadomość o jego

chorobie. Niechże się ubiera ciepło i dba o siebie, bo przyjdzie mi tu umrzeć z niepokoju o niego.

W tym miejscu atrament rozmazał się niemal zupełnie. Czyżby Marie płakała, pisząc ten list? Może to jednak były łzy, a nie zwykła wilgoć?

A chodzi w tym kaszmirowym szalu, co to go mu przysłałam?

Następną linijkę, chociaż wyblakłą, można było bez trudu odczytać.

Wczoraj byłam sama w Luwrze i trochę malowałam, bo Juliette pojechała do swojej przyjaciółki na wieś. Cioteczka bardzo była niezadowolona, ale znasz naszą kuzynkę. Jak coś postanowi, nikt jej nie wyperswaduje nawet najbardziej szalonego pomysłu. A ja, powiem ci w zaufaniu, podejrzewam, że to wcale nie do kuzynki pojechała...

No, ładnie... ładnie...

...słyszałam ostatnio, że wszyscy wybierali się do kogoś na wieś, ale chodziło o jakiegoś malarza. Może tego, z którym Juliette się teraz spotyka? Są tacy zakochani...

Taa... nic dobrego z tego nie wyniknie, jak znam życie... Co tu mamy dalej? - przybliżyłam kartkę do oczu, bo atrament w tym miejscu był już bardzo wyblakły.

nie uwierzysz, moja droga, kogo wczoraj spotkałam w Operze!

Czyżby...?

...pijak, którego spotkałyśmy niedawno temu z Juliette, okazał się polskim muzykiem, i to nawet dość już znanym. Cioteczka zaprosiła go na obiad, a ja mam nadzieję, że mnie nie rozpoznał. Popatrz tylko, jak to się człowiek może pomylić! Muzyk! I powiem ci, że wcale ładny...

Dalej nie było już nic interesującego. Jakieś opisy nowej sukni, szytej przez znaną krawcową, pasujących do niej bucików i dodatków do stroju wyjściowego. Ciekawe, ale nie tego szukałam.

A więc jednak spotkała go. Przecież to nie mógł być nikt inny jak Chopin, bo ilu młodych muzyków z Polski, do tego już znanych, przebywało w tym czasie w Paryżu? Czułam, że to on.

- I jak? Znalazłaś coś ciekawego? - Sophie wychyliła się z okna na piętrze.

Przez chwilę miałam wrażenie, że przeniosłam się w czasie. Wysokie okno w grubym murze, otoczone czerwieniejącymi już liśćmi dzikiego wina, wyglądało jakoś inaczej. Młoda, smutna kobieta w białej sukni też raczej nie przypominała Sophie. Potrząsnęłam głową i obraz zniknął.

- Coś nie tak? - Sophie wychyliła się jeszcze bardziej.

- Nie... Ale przez moment miałam wrażenie, że widzę Marie...

- Ach! Ty i ta twoja wyobraźnia... - Sophie lekceważąco machnęła ręką. - A już się przestraszyłam, że coś ci się stało. Za bardzo się tym wszystkim przejmujesz. Proponuję, żebyś poszła się teraz trochę przejść przed obiadem. Zobaczysz ostatnie przygotowania przed winobraniami, a listy mogą jeszcze poczekać.

Sophie miała rację, powinnam sobie zrobić małą przerwę. Zwłaszcza że ogarnął mnie nagle jakiś nieokreślony smutek,

zupełnie niepasujący do sytuacji. Spacer wśród winnic z pewnością dobrze mi zrobi.

Miejsce, które zwykle odwiedzałam z chłopcami, wyglądało niemal tak samo, jak przed laty. Padający od paru dni deszcz wymył z niewielkiej skarpy na obrzeżu winnicy skamieniałości, pozostałość po oceanie pokrywającym miliony lat temu tę część Europy. To tu zwykle wykopywaliśmy ogromne muszle i kamienie z odciskami morskich żyłatek. Pod drzewami też można było znaleźć skarby. Wystarczyło sięgnąć głęboko między korzenie, aby wydobyć całą garść żółtego piasku z drobnymi, delikatnymi jak chińska porcelana, spiralnymi muszelkami.

Czyżby Marie mieszkała kiedyś w tym domu?, zastanawiałam się, wydmuchując delikatnie piasek z maleńkich muszelek na dłoni. Pewnie tak, w przeciwnym wypadku, dlaczego miałabym ją zobaczyć? Byłam bowiem pewna, że to nie sylwetka Sophie zamajaczyła mi przez moment w oknie. Jeśli tak, to pewnie w wieży miała pracownię malarską. A gdzie obrazy? Widziałam tylko jeden, portret jej siostry. Co z pozostałymi? Muszę o to zapytać podczas obiadu. Odruchowo spojrzałam na zegarek. Niemożliwe...

Nawet nie przypuszczałam, że jest tak późno. Pewnie wszyscy martwią się już o mnie, pomyślałam, otrzepując pospiesznie dłonie z piasku.

Delikatny powiew wiatru przyniósł ze sobą odgłos pracującego silnika traktora. Dziwne urządzenie na wysokich kołach przesunęło się między rzędami winorośli. To też chłopcy zawsze lubili oglądać. Szkoda, że ich nie ma, westchnęłam ze smutkiem. Stęskniłam się za nimi.

Przyspieszyłam kroku i obejrzałam się jeszcze raz za siebie. Winnice wyglądały teraz jak zielone dywany starannie wyczesane ogromnym grzebieniem. Skarpa, bielejąca w słońcu piaskiem i resztkami muszelek była jedynym nieuporządkowanym elementem tego obrazka. Podobnie jak kępa rosnących za nią drzew. Dalej, aż po horyzont, znów rozciągały się równe rzędy winorośli.

Po chwili pojawiły się pierwsze zabudowania miasteczka.

- To ty gdzieś wychodziłaś? - zdziwił się Tadeusz, kiedy zdyszana wróciłam do domu - Patrz, nawet nie zauważyłem.

No tak, pomyślałam gorzko, dawniej by ci to nie umknęło... Jak było do przewidzenia, tematem numer jeden przy obiedzie stały się listy Marie.

- Wynika z nich - Sophie odłożyła na chwilę sztucę na brzeg talerza i wytarła usta serwetką - że Marie była osobką żywą, prowadzącą dość swobodny tryb życia w środowiskach artystycznych. - Jediną osobą, której opisywała to ^wszystko bez ogródek, była jej starsza siostra. Ta zaś, sądząc po przemyślnej skrytce w sekretarzyku, robiła to w tajemnicy przed rodzicami i resztą domowników. Pewnie czuła, że surowemu rodzicowi nie spodobałoby się to wcale. Sprawa się jednak w końcu wydała. Ojciec, bogaty fabrykant wina, przechwycił jeden z listów albo ktoś doniósł mu o kontaktach córki w Paryżu, w każdym razie pojechał tam i siłą sprowadził Marie do domu. Do tego domu - dodała, rozglądając się wokół, jakby zobaczyła nagle duchy z przeszłości. Otrząsnęła się lekko i znów wróciła do tematu. - Marie bardzo szybko została wydana za mąż za starszego o ponad trzydzieści lat bogatego rzeźnika z okolicy, który zmarł niedługo po urodzeniu przez

nią dziecka, zostawiając wdowie całkiem spory majątek. Przewodzenie sklepu zostawiła jednak rodzinie męża, a sama poświęciła się wychowaniu syna i malowaniu.

- Mieszkała tu, w Trigny? - przerwałam z ciekawości.

- Tak, ale nie ma już tego domu. Na tym miejscu jest teraz pusty plac, pójdziemy tam przy okazji.

- Ja już widziałem - wtrącił Tadeusz. - Claude pokazał mi go dziś podczas spaceru. Nic szczególnego, plac jak plac.

Sophie upiła łyk wina i wróciła do swojej opowieści.

- Marie wystawiała podobno gdzieś nawet swoje obrazy, ale sprzedawały się raczej słabo. Do naszych czasów zachował się tylko portret jej siostry, ten, który widzieliście przy schodach i autoportret w naszym saloniku w Paryżu. Reszta, niestety, zaginęła. Być może nawet sama Marie je zniszczyła, zniechęcona niepowodzeniem.

- A chłopiec? - Tadeuszowi zaświeciły się oczy z wrażenia. Widać było, że temat go porwał. - Odziedziczył zdolności po którymś z rodziców?

- Wiem, że chciałbyś, aby okazał się uzdolnionym nieprzeciętnie muzykiem - zaśmiała się Sophie. - Nie zaprzeczaj, to widać. Ale nie, chłopiec okazał się zwyczajnym dzieckiem, ani specjalnie zdolnym, ani opóźnionym w rozwoju.

- Może zdolności ujawniły się w późniejszym wieku?

- Nic nam na ten temat nie wiadomo. W każdym razie, po śmierci wuja odziedziczył sklep i został rzeźnikiem jak jego ojciec. Prawdopodobnie, jego ojciec... - dokończyła tajemniczo.

- Czy to znaczy, że były jakieś wątpliwości? - Odżyły w nas nadzieje i niemal równocześnie zadaliśmy to samo pytanie.

- Oczywiście. - Claude z miną zadowolonego kota sięgnął po następną porcję deseru. - Dziecko, według oficjalnej wersji,

było wcześniakiem, co stanowiło zarzewie plotek. Poza tym, mąż Marie w chwili ślubu miał prawie pięćdziesiąt lat, był otyły i chory na serce. Raczej więc wątpliwe było to jego ojcostwo, chociaż, oczywiście, nigdy nic nie wiadomo - zastrzegł, podnosząc dłonie do góry.

- A co z Marie? Wyszła drugi raz za mąż?

- Nie. Odsunęła się zupełnie od życia towarzyskiego, zaczęła chorować, aż w końcu zmarła w wieku trzydziestu paru lat, pozostawiając wcześniej syna pod opieką swojej siostry.

- Na co zmarła? Na gruźlicę?

- Dokładnie nic na ten temat nie wiemy. Mówiono, że na zapalenie płuc i melancholię. Chłopiec imieniem Phillippe wychowywał się zatem z moją praprababcią i resztą jej rodzeństwa w tym właśnie domu. - Sophie zrobiła okrągły gest ręką, jakby chciała nam unaocznić, o który dom chodzi. - Część historii - podjęła po chwili - dotyczącą małżeństwa Marii i dalszych jej losów znam już tylko z opowieści mojej babci, dla której Phillippe był ukochanym wujkiem. Zawsze wesoły, skłonny do żartów, potrafił zabawić i dorosłych, i dzieci. Babcia pamiętała jak parodiował innych członków rodziny, ku uciesze wszystkich domowników. Kiedy zmarł, zostawiając młodą żonę i trójkę małych dzieci, na pogrzeb przyszło mnóstwo osób, tak bardzo był przez wszystkich lubiany. Nikt jednak, przynajmniej przy mnie, nie wspominał nigdy o przeszłości Marie. Myślę, że była to wstydliwie ukrywana rodzinna tajemnica. Mam nadzieję, że teraz uda nam się odkryć coś więcej - zakończyła swoją opowieść.

Wzięłam do ręki dagerotyp zabrany z salonu.

- Gdyby tylko przedmioty potrafiły mówić... - westchnęłam, wpatrując się w niewyraźną fotografię oprawioną w pociemniałą, srebrną ramkę.

Stara miedziana płytką ukazywała raz pozytyw, raz negatyw, w zależności od kąta, pod jakim się na nią patrzyło. Wizerunek młodej kobiety zdawał się zmieniać w miarę poruszania zdjęciem.

- Bardzo zniszczony - Tadeusz wziął ode mnie dagerotyp. - Szkoda, bo nie widać szczegółów. Ale nie ma się co dziwić, ma bez mała sto pięćdziesiąt lat.

- Albo i więcej - dodał Claude, odsuwając pusty talerz i sięgając po serwetkę. - Początki dagerotypii, to przecież lata trzydzieste dziewiętnastego wieku.

- Nie sędzę - wtrąciła się Sophie. - Ta fotografia przedstawia wprawdzie młodą kobietę, ale nie nastolatkę, a Marie urodziła się przecież w 1815 roku. Według mnie ma tutaj około trzydziestu lat.

- Przecież mało co widać na tej płytce. - Claude nie dawał za wygraną.

- Ale strój jest w miarę wyraźny i nie jest to suknia całkiem młodej dziewczyny, tylko kobiety zamężnej albo raczej wdowy, bo jest chyba czarna. W każdym razie ciemna. Poza tym, skoro zdjęcie zachowało się do naszych czasów, musiało zostać zrobione później. Te pierwsze były bardzo nietrwałe, dopóki nie wynaleziono skutecznego sposobu na ich utrwalanie.

Przysłuchiwaliśmy się tej dyskusji w milczeniu, ponieważ na temat dagerotypii wiedzieliśmy niewiele. Widać było jednak, że Sophie przygotowała się do tematu.

Nawet Claude musiał to w końcu przyznać.

PARYŻ, ROK 1832

Marie przemierzała ogromne sale Luwru ze szkicownikiem i małym krzeselkiem pod pachą. Wielka Galeria, aż pod sufit zawieszona poczerńiałymi obrazami, przeważnie Guercine'a i Carracciego, sprawiała dość ponure wrażenie. Ciekawsze były mniejsze sale, gdzie wystawiano tam dzieła malarzy holenderskich. Tym razem jednak Marie zatrzymała się przed Velazque-zem. Fascynowały ją zwłaszcza *Infantki*, które kopiowała, odnajdując w nich doskonały warsztat malarski. Szła plotka, że te płótna zostaną niebawem zwrócone innym muzeom, jak pozostałe arcydzieła zrabowane przez Napoleona. Trzeba się było więc spieszyć.

Promień światła padł na jasne włosy Infantki Małgorzaty, które rozświetliły się jak aureola, a mistrzowsko oddane fragmenty jej bogatej sukni zagrały kolorami. Marie rozłożyła przenośne krzeselko i zabrała się do pracy.

Wielka galeria pod półokrągłym sklepieniem wypełniona była dzisiaj studentami sztuki kopiującymi arcydzieła zawieszane na ścianach. Na szczęście był to wtorek, a więc dzień przeznaczony dla mniejszych grup zwiedzających. Największy tłok panował tu zazwyczaj w każdą niedzielę, jedyny wolny dzień w tygodniu, kiedy to paryżanie całymi rodzinami ruszali do Luwru, żeby w ścisłości i niesamowitej duchocie obcować ze Sztuką. Dzisiaj po obu stronach Galerii, na całej niemal jej długości, ustawione były sztalugi, a ubrani w kolorowe szwajcar-

skie stroje pracownicy muzeum opierali się znudzeni o metalowe barierki oddzielające obrazy od zwiedzających.

- A ma panienka pozwolenie na rysowanie tutaj? - jeden z nich, najwyraźniej zadowolony, że coś się w końcu dzieje, wyrósł nagle jak spod ziemi.

- Mam tu gdzieś... - Marie w zdenerwowaniu zaczęła przeszukiwać kieszenie obszernego płaszcza. Szkicownik upadł na ziemię, a wokół rozsypały się kartki z rysunkami.

- Ha! Już zdążyła tyle namalować! - Pracownik muzeum z satysfakcją podniósł jedną z nich i zaczął nią wymachiwać w powietrzu. Stojący w pobliżu młodzi artyści odwrócili się w ich stronę z lekkim zniecierpliwieniem, ale i ciekawością.

- Ale to nie tylko dzisiaj - dziewczyna nie wiedziała, czy najpierw zbierać szkice, czy też szukać legitymacji, którą tydzień wcześniej pomógł jej załatwić zaprzyjaźniony malarz. - Ja tu chodzę prawie codziennie...

- Ale ja jej nie widziałem! - Pracownik był nieprzejednany. Po chwili jednak złagodniał nieco. - Taką ładną panienkę, to bym pewnie i zauważył.

- Bo ja przedtem chodziłam tam - machnęła ręką w nieokreślonym kierunku - studiowałam rzeźbę antyczną... O, proszę. - Podsunęła mu pod nos kartkę z fragmentami nagich torsów i całkiem udanymi szkicami dłoni w różnych ujęciach.

Mężczyzna z przesadną uwagą zaczął oglądać szkice.

- No, no... całkiem niezłe.

- Przepraszam... - Wyrwała mu kartkę i odwróconą podała znowu. - To było do góry nogami.

- W porządku, niech sobie maluje, tylko na przyszłość niech ma przy sobie legitymację - strażnik, lekko speszony, oddał jej rysunek i wolnym krokiem odszedł w głąb sali.

Marie, trochę jeszcze roztrzęsiona po spotkaniu z groźnym pracownikiem muzeum, znalazła w końcu legitymację, lecz mężczyzna podszedł właśnie do jakiegoś młodzieńca, który, widocznie jego zdaniem zbyt długo zatrzymał się przed jakimś obrazem. Machnęła w duchu ręką.

- Niech się teraz nim zajmie, szkoda czasu. Teraz jest dobre światło do wyławiania szczegółów.

Podeszła bliżej do obrazu. Wszelkie dotknięcia pędzla, smugi i stopniowania zlały się w jedną całość, tworząc barwną, chaotyczną plamę. Odsunęła się na kilka kroków i wszystko zaczęło się na nowo porządkować: uwydatniły się bryły, wyźłobiła przestrzeń, pojawiły refleksy. Każda rzecz miała swoje własne światło i kolor.

- Niebawem - westchnęła urzeczona. - Jak on to zrobił? Wyjęła szkicownik i z zapalem wzięła się do kopiowania

szczegółów bogatej sukni. Żałowała, że nie wzięła dziś ze sobą farb. Ołówek nie był przecież w stanie nawet zasugerować złożoności kolorów, które sprawiały, że ciężka atlasowa szata tak pięknie załamywała światło na zagięciach i fałdach, połyskując wszystkimi odcieniami żółci i bieli.

Siedząca obok młoda kobieta, w narzuconym na ramiona wełnianym szalu/mruczała coś półgłosem i niezadowolona wycierała swój rysunek kulkami chleba. Najwyraźniej ma ten sam problem, uśmiechnęła się w duchu Marie. Ołówek jest dobry do kopiowania rzeźb, układu rąk i nóg, pochylenia ciała, a nie tych pięknych, kolorowych płócien. No cóż, następnym razem weźmie farby, tymczasem spróbuje skopiować szczegóły stroju, sylwetkę dziewczynki, ten słodki, ale zarazem dumny wyraz twarzy. Rozejrzała się wokół siebie, szukając jednocześnie najdogodniejszej pozycji, w której mogłaby zacząć pracę.

Młodzieniec w wytartym surducie, stojący pod przeciwległą ścianą, odsunął się o krok od swojego płótna rozpiętego na sztalugach i z pędzlem w jednej a paletą w drugiej ręce w milczeniu podziwiał swoje dzieło. Marie bardzo lubiła ten nastrój skupienia i pracy panujący w Luwrze w te dni. Po chwili pogrążyła się niemal całkowicie w zaczarowanym świecie Velazqueza. Przestały do niej docierać nawet odgłosy znajdujących się w galerii ludzi. Mistrz odsłaniał przed dziewczyną swoje tajemnice.

Po godzinie przetarła piekące powieki i niechętnie zaczęła pakować swoje rzeczy. Najwyższy czas wracać do domu. Zwłaszcza że musi jeszcze kupić po drodze farby dla Alberta, któremu pozowała od niedawna i który wprowadzał ją w arkana malowania.

Cioteczka, z początku niechętna tej znajomości, doszła jednak do wniosku, że nikt lepiej nie nauczy jej malarstwa, niż ten młody, dobrze rokujący artysta. Osobiście powierzyła mu opiekę nad Marie, a cioteczka była osobą, z którą należało się w Paryżu liczyć. Wielu młodych malarzy i muzyków korzystało chętnie z jej zaproszeń na obiady, jakie dość często bywały ich jedynym posiłkiem w takim dniu.

No właśnie... Marie zebrała się szybko do wyjścia. Wprawdzie miała jeszcze sporo czasu, ale nie chciała spóźnić się na obiad. Siostra jej matki bardzo nie lubiła, kiedy ktoś późno przychodził na wspólne posiłki. O wyznaczonej godzinie wszyscy domownicy, przebrani i gotowi, powinni byli czekać już w drzwiach jadalni na sygnał do wejścia dany przez panią domu.

A dziś wieczorem planowane było jeszcze wyjście do Opery. Musi się więc pospieszyć.

Ostre światło oślepiło ją na moment przy wyjściu z ciemnego Luwru. Słońce wyszło zza chmur, zrobiło się nieco

cieplej. Z pobliskiej dzielnicy ruder, tuż za Luwrem, powiał zimny wiatr, przynosząc zapachy biedy i rozkładu. Tam, w kilku nadających się jeszcze do zamieszkania budynkach, tłoczyli się Cyganie, ptasznicy oraz przedstawiciele różnych, dziwnych zawodów. Podobno żyli tam hodowcy robaków na przynęty dla ryb, piekarze handlujący przylepkami, sprzedawcy ognia, rozbudzacze ze snu, opalacze fajek oraz hodowcy pcheł na użytek aptek.

Marie słyszała też o aniele stróżu, czuwającym nad pijakiem i o hodowcy pijawek, pozbawiającym je krwi wyssanej z chorego, zanim sprzedał je następnemu. Straszna to była dzielnica i niewielu ludzi odważyło się tam zapuszczać. Słyszano o trupach, porzuconych na terenie kościoła Saint-Thomas-du-Louvre, pośród gruzów z jego sklepienia, które runęło w poprzednim stuleciu, zabijając sześciu księży.

Marie otuliła się szczelniej płaszczem i spojrzała na stertę gruzu i budulca przygotowanego od lat na odbudowę Luwru. Nic nie wskazywało na to, żeby takie prace były prowadzone. Przykry to był widok: dumna, królewska siedziba z roku na rok popadająca w ruinę. Wprawdzie sale wystawowe były jeszcze dość dobrze utrzymane, ale reszta budowli przedstawiała opłakany widok. Wybite okna, uszkodzone elementy kamieniarskie i kruszące się fragmenty murów. I puste, ogromne przestrzenie wewnątrz.

Gdzieś tam, podobno w zakamarkach i kryjówkach na wyższych piętrach, mieszkali jako dzicy lokatorzy, biedni i bezdomni artyści.

Dziewczyna przeskoczyła kałużę na zaniedbanym dziedzińcu i pobiegła w kierunku ulicy, gdzie zatrzymała nadzieję-

dżający z przeciwnej strony powóz. Woźnica, który znał już Marie, uśmiechnął się na jej widok, wstrzymując konie.

- Jedziemy do domu, panienko?

- Nie, najpierw na Rue du Colombier. Muszę odebrać zamówione farby - odparła, wspinając się na stopnie pojazdu.

Koła dorożki turkotały miarowo na nierównym bruku. Marie poprawiła koc na kolanach i rozejrzała się wokół, zadowolona, że nie musi tej trasy pokonywać pieszo. Widok ubłoconych, zziębniętych przechodniów przejmował ją dreszczem.

Tylko dzieci zdawały się nie przejmować ani zimnem, ani tym bardziej błotem i przebiegały beztrąsko tuż przed powozami, ze śmiechem uskakując na boki. Niebezpieczna to była zabawa. Po obu stronach wybrukowanej ulicy znajdowały się studzienki, pozwalające spływać ściekom do rozgałęzionej sieci kanałów miejskich. Jednak studzienki te często były niedostatecznie zabezpieczone i dochodziło do nieszczęśliwych wypadków, zwłaszcza wśród małych dzieci, które wpadały do środka i ginęły w labiryncie kanałów pod miastem.

Marie pamiętała jak córeczka kucharki wpadła w jedną z takich dziur podczas zabawy na ulicy. Nigdy nie odnaleziono jej ciała, które, prawdopodobnie porwane podziemnym nurtem, wpadło gdzieś ostatecznie do Sekwany.

Dorożka przejechała przez most na drugą stronę rzeki. Dołem przepływała barka załadowana węglem, zostawiając szerokie smugi na stalowoszarych wodach rzeki. Bulwary sprawiały wrażenie pustych i smutnych. Wrażenie to potęgowały rachityczne rzędy młodych drzewek zasadzonych wzdłuż nabrzeży, które zastąpiły te ścięte nie tak dawno na barykady. Od rzeki ciągnęło chłodem i wilgocią. Marie szczelniej otuliła się kocem. Minęli stragany ze sprzętem rybackim i grupki pra-

czek z czerwonymi od zimnej wody rękami, wracające z mokrą bielizną w koszach.

- Jesteśmy na miejscu. - Po paru minutach woźnica ściągnął lejce i zatrzymał konie przed wejściem do niewielkiego budynku. - Zaczekam tu na panienkę, proszę załatwić co trzeba, bez pośpiechu.

- Dziękuję. - Marie uśmiechnęła się z wdzięcznością do starszego mężczyzny. Nie musiała już martwić się szukaniem nowej dorożki w tej części miasta, w której nie czuła się zbyt pewnie.

Sklepek, a właściwie skład farb madame Poitiers, cieszył się popularnością wśród artystów po obu stronach Sekwany. Jakość, niezbyt wygórowane ceny oraz możliwość spłaty w dogodnych ratach sprawiały, że właścicielka nie narzekała na brak zamówień.

Marie weszła do ciemnego pomieszczenia, oświetlonego tylko dwoma małymi okienkami o zakurzonych, brudnych szybach. Zapach farby i czegoś nieokreślonego, ale przyjemnego, co kojarzyło się Marie zawsze z pracownią malarską, wypełniało to zagracone wnętrze bez reszty. Właścicielka, również przesiąknięta roznoszącą się wokół wonią, zaprowadziła dziewczynę do dużego, drewnianego stołu, na którym stały pojemniki, woreczki, moździerze i inne dziwne przedmioty służące najprawdopodobniej do rozcierania i przygotowywania farb.

Dwóch młodych chłopców w poplamionych fartuchach uwijało się w tym bałaganie ze zwinnością i pewnością ludzi, którzy doskonale wiedzą, co mają robić. Zdawali się zupełnie nie zwracać uwagi na dziewczynę, rozglądającą się wokół z ciekawością.

- Proszę, to wszystko, co było zamówione. - Właścicielka składu farb wyjęła jeszcze, dla sprawdzenia, kartkę papieru.

- Sześć pęcherzy bieli ołowianej - zaczęła czytać powoli, rzucając okiem do koszyka z farbami - sześć żółci Neapolu, dwa żółtej ochry, dwa kobaltu i dwa czerni brzoskwiniowej. Zgadza się. Wszystko roztarte i bardziej płynne niż zazwyczaj, tak jak monsieur artysta sobie życzył.

Marie podała pieniądze i podniosła koszyk. Nie był nawet tak ciężki, jak przypuszczała. Pożegnała kłaniającą się i polecającą na przyszłość kupcową i pobiegła do dorożki. Czasu zostało już niewiele, a trzeba było się jeszcze przebrać do obiadu.

- Przyniosłaś wszystko? Niczego nie zapomniałaś? - Młody, nieogolony mężczyzna w czerwonej flanelowej bluzie odłożył na chwilę paletę i pędzel na zawalony rysunkami stół i sięgnął do koszyka. Chwilę grzebał w nim, pomrukując z zadowoleniem.

- Dobrze, a teraz rozbierz się i przygotuj, bo potrzebuję namalować jeszcze jeden szczegół w tej postaci. Wczoraj tak się wierciłaś, że nie byłem w stanie tego dopracować.

- Ale... - Marie zatrzymała się w pół kroku na środku pracowni - obiad? Cioteczka będzie niezadowolona...

- Obiad?! - Kocie oczy pod gęstymi brwiami spojrzały na Marie surowo. - Obiad, powiadasz? Ja nic jeszcze dziś nie jadłem i żyję, jak widzisz. - Tu okręcił się wokół własnej osi, omal nie tracąc przy tym równowagi. - Skoro jednak obiad jest dla ciebie ważniejszy niż moje nauki, a przypominam, że potem miałem ci pokazać, jak się maluje pejzaż, to proszę bardzo, idź sobie na obiad, A o lekcjach zapomnij. Zgodziłem się na nie jedynie na prośbę twojej ciotki. W imię starej znajomości. Chociaż jestem bardzo zajęty.

- No cóż... - westchnęła z udaną rezygnacją - cioteczka z pewnością zrozumie, że twoja praca okazała się w końcu ważniejsza od obiadu u niej... Jak jej powiem, że...

Albert poruszył się niespokojnie. Spojrzał na rozpięte na sztalugach płótno i podrapał się po głowie.

- No... - mruknął niewyraźnie - no, tak prawdę mówiąc, można by to odłożyć do jutra... Zresztą i tak już nie najlepsze światło teraz... Wszystko przez to, że tyle czasu dzisiaj zmitrężyłaś. Tylko jutro, żebyś mi tu była punktualnie, bo nie ręczę za siebie - krzyknął za wybiegającą już dziewczyną.

Wąska uliczka Le Peletier zapełniona była tego wieczora tłumami zmierzającymi w kierunku ogromnego, oświetlonego jasno gmachu Opery Paryskiej. Powóz wiozący Marie, jej ciotkę i wuja ugrzązł pośród innych pojazdów i poruszał się teraz w żółwym tempie ku rosnącemu zdenerwowaniu pasażerów. Zewsząd słychać było pokrzykiwania zniecierpliwionych woźniców i ich panów.

- Z drogi!

- Zrobić przejście!

- Nie tarasować przejazdu! Co za hołota!

Wuj Marie postukał laseczką ze złotą gałką w ścianę powozu.

- Zatrzymaj się tu, Gaspard - polecił, kiedy w oknie ukazała się brodata twarz woźnicy. - Wsiądziemy i pójdziemy dalej pieszo, bo w takim tempie nie zdążymy nawet na drugi akt. A ty znajdziesz gdzieś dogodne miejsce i zaczekasz tam na nas.

- Jak pan sobie życzy. - Gaspard ściągnął lejce i zatrzymał konie, wywołując tym głośne protesty jadących za nim pasażerów innych pojazdów.

W obszernym foyer było tłoczno i gwarnie, jedni kupowali gazety i lornetki, inni czasopisma muzyczne i partytury. Jeszcze inni wykorzystywali czas przed rozpoczęciem spektaklu na pogawędki ze znajomymi.

- Witam hrabinę! - Największy plotkarz Paryża, Monsieur Potignac, skłonił się nisko przed ciotką Marie, odrzucając w tył poły czarnego fraka. - A gdzież to szanowny małżonek, słyszałem, że coś ostatnio słabuje. A może to z powodu kłopotów w interesach, jak powiadają? - Nieszczery smutek odmalował się na brzydkiej twarzy mężczyzny.

- Wuj miewa się bardzo dobrze, muszę pana zmartwić. - Nie wytrzymała Marie, ku wyraźnemu niezadowoleniu ciotki. - Najwyraźniej coś pan źle usłyszał albo ma złych informatorów. Tak to jest, jak ktoś zajmuje się plotkami.

- Młoda osóbka ma cięty język, jak widzę. I odzywa się niepytana... Oj, nieładnie, nieładnie. - Pogroził palcem, niby to żartobliwie, ale oczy pozostały zimne. - Na szczęście jest w dobrych rękach - tu skłonił się znów przed ciotką Marie - i szybko te braki nadrobi. Na prowincji pewnie nie uczono...

- Drogi panie Potignac - przerwała mu z wymuszonym uśmiechem hrabina. - Przepraszam za moją siostrzenicę, to jeszcze dziecko prawie. Proszę jej wybaczyć. Jestem też niezmiernie wdzięczna za zainteresowanie moją rodziną, ale nie chciałabym zajmować pańskiego cennego czasu. Pozwoli pan zatem, że pożegnam się. Małżonek czeka.

- Oczywiście hrabino, oczywiście. - Mężczyzna zgiął się w przesadnym ukłonie. - Zawsze do usług.

Ciotka pchnęła delikatnie Marie przed siebie. Po chwili dołączył do nich wuj i już razem ruszyli w kierunku swojej łoży.

- Marie - ciotka odezwała się półgłosem - mogłabyś czasami powstrzymać swój język. Narażasz nas na plotki, a to nie jest w dobrym tonie.

-Ależ, cioteczko...

- Milcz. Niezależnie od powodów, nie powinnaś się odzywać niepytana. I to przy największym plotkarzu, jakim jest ten Potignac. Możesz być pewna, że wziął cię już na widelec i teraz będziesz musiała bardzo uważać na to, co robisz i z kim się spotykasz. Tacy ludzie jak on mogą zniszczyć człowieka towarzysko.

-Ale...

Ciotka ucięła jej protesty niecierpliwym machnięciem ręką.

- Dość już o tym. Proszę, zapamiętaj na przyszłość moją naukę. I jak ja mam cię wprowadzać w towarzystwo... - westchnęła teatralnie, zerkając z boku na Marie. W oczach ciotki zapaliły się figlarne ogniki.

- A swoją drogą, należało mu się.

Sala opery wypełniona była już niemal po brzegi. Tu i ówdzie, w świetle gazowych lamp porozwieszanych na ścianach i u sufitu błyskały szkła lornetek. Wyszukiwano znajomych i tych, których poznać było warto albo wręcz wypadało zaprosić podczas przerwy do swojej łoży. Panie jednak skupiały się głównie na podziwianiu i komentowaniu bogatych strojów i biżuterii sąsiadek. Niektóre z nich czekały wręcz na ostatnią chwilę, żeby mieć efektowne wejście i zaćmić swoim blaskiem, często przypominającym blask choinki bożonarodzeniowej, inne kobiety z towarzystwa.

Kurtyna poszła w górę. Na sali rozległy się głośnie oklaski, gwizdy i potupywania klakierów poważnie traktujących swoją

powinność. Marie przyzwyczała się już do takich zachowań na widowni i specjalnie jej to nie przeszkadzało. Z początku była wprawdzie zaskoczona tak żywą reakcją publiczności: głośnym śmiechem w niezbyt zabawnych scenach i rozdzierającym płaczem, kiedy umierał na scenie jeden z bohaterów. Cioteczka jednak szybko wyjaśniła jej te zachowania publiki.

- To klakierzy, moja droga - ostudziła jej zachwyty podczas jednego ze spektakli. - Ludzie opłaceni przez aktorów, a często i przez samego autora sztuki. Bez nich publiczność nie potrafiłaby docenić wystawianej po raz pierwszy sztuki. Lepiej opłaceni przez konkurencję, potrafią zupełnie położyć przedstawienie.

Tym razem więc nie zwracała już uwagi na, milknące zresztą, hałasy dobiegające z dołu i skupiła się na odsłoniętych właśnie dekoracjach. W głębi sceny, na ogromnym płótnie namalowane były chaty na tle błękitnego nieba i złote łany zbóż.

Nagle światło pociemniało, jakby zasłoniły je gęste chmury, a na niebie w tle pojawiły się, dochodzące gdzieś z boku rozbłyski, sprawiające wrażenie błyskawic. Potężny grzmot przetoczył się przez całą salę, wywołując okrzyki przerażenia wśród publiczności. Zza chwiejącego się niebezpiecznie drzewa wyłonił się główny tenor w stroju wieśniaka i pięknym głosem rozpoczął swoją arię.

Marie z wypiekami na twarzy chłonęła wszystko, co działo się na scenie. Aktorzy wyśpiewywali, lub wykrzykiwali pełnym głosem kwestie, dekoracje zmieniały się ze zgrzytem i skrzypieniem przestarzałej maszyneryi, ale dziewczynie wcale to nie przeszkadzało. Uwielbiała operę i całą tę oprawę.

Kiedy kurtyna opadła po pierwszym akcie, Marie była niemal zawiedziona.

Wyjęła z torebki wyszywanej perłami małą lornetkę i zaczęła obserwować zgromadzoną licznie publiczność. Część osób wstała ze swoich miejsc i udawała się w kierunku kuluarów lub do łóż swoich znajomych, część zostawała na miejscu, żeby tam wymienić z sąsiadami uwagi na temat przedstawienia i grających w nim aktorów.

W powiększającym szkle lornetki mignęła nagle Marie dziwnie znajoma sylwetka młodzieńca ubranego w wytworny czarny frak z jedwabnym białym kołnierzem przy szyi. Nastawiła ostrość i jeszcze raz zwróciła się w jego stronę.

- Kogo tam wypatrzyłaś, moja droga? - Przed ciotką nic nie dało się ukryć.

- Eee... - speszyła się Marie - wydawało mi się, że skądś znam tego człowieka, tam na dole, ale chyba po prostu jest do kogoś podobny, i tyle.

- Który? - Ciotka wzięła lornetkę z ręki Marie - Ten szczupły, we fraku? Bardzo elegancki młodzieniec. Nie jestem pewna, ale to chyba jakiś muzyk z Rosji czy Polski. Nieważne. W każdym razie gdzieś ze wschodu. Opowiadała mi o nim hrabina Montand. Podobno bardzo zdolny młody człowiek.

- Cioteczka jest tego pewna? Muzyk? - Teraz Marie uważniej zaczęła się przyglądać nieznajomemu.

- Czyżbyś go znała, moja droga?

- Nie... chyba nie. Ale mam wrażenie, jakbym go już gdzieś spotkała...

Lornetka znów powędrowała w stronę starszej pani.

- Interesujący młody człowiek, trzeba to przyznać - mruzczała półgłosem, nie odrywając szkła od oczu. - Chociaż ten

nos to ma chyba troszeczkę za długi, nie uważasz? I te wątle ramiona... No, ale ponoć artysta, a oni przeważnie tacy. Błdzi i niedożywieni. A może... - zamyśliła się, oddając Marie lornetkę.

- A może zaprosimy go do nas, kto wie, czy niedługo nie będzie wypadało go znać. Zwłaszcza że już podobno daje koncerty w Paryżu i robi się o nim coraz głośniejsze. Słyszałam -ciotka zniżyła głos i rozejrzała się dyskretnie wokół - że kuty na cztery nogi i że umie już zadbać o swoje interesy...

- Widzę, że cioteczka dała już posłuch jakimś plotkom -Marie skrzywiła się niechętnie. - Ludzie gadają zwykle byle co. Nie lubię tego słuchać.

- Ale to brzmi prawdopodobnie. Wiem, od hrabiny właśnie, że zagrał dość brzydko z wydawcą. Albo sprytnie, jak kto woli. Otóż nie mogąc zerwać z nim umowy, tak długo zwlekał z poprawkami i terminami, że wydawca w końcu, obrażony, sam to zrobił.

- Ale dlaczego muzyk miałby go do siebie zrażać? Przecież chyba każdemu artyście zależy na publicznym wydaniu jego pracy? - Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Niby racja, moje słoneczko - odparła ciotka z cierpliwym uśmiechem. - Lecz jeśli znalazł się inny wydawca, bardziej znany i oferujący większe pieniądze, to sama rozumiesz... Albo i nie, bo jesteś jeszcze zbyt młoda.

- Wiek nie ma tu chyba nic do rzeczy - Marie starała się być grzeczna, chociaż drażnił ją ton ciotki. - Jestem w stanie zrozumieć, że ktoś chce zadbać o swoje interesy. I nie widzę w tym akurat niczego złego.

- Ani ja, moje dziecko. Ani ja. - Ciotka najwyraźniej chciała zakończyć temat.

Przez chwilę rozważała coś w myślach.

- Julianie - zwróciła się w końcu do służącego. - Zejdź do tego człowieka - koniec złożonego czarnego wachlarza wskazywał młodego muzyka - i zaproś go do naszej łoży.

Przez chwilę widać było Juliana przeciskającego się między fotelami na widowni, podchodzącego do młodzieńca i tłumaczącego mu coś na ucho. Ten podniósł wzrok i spojrzał w kierunku wskazywanym mu przez służącego. Ukłonił się, widząc obserwujące go przez lornetki kobiety i przepraszając towarzystwo, ruszył za Julianem.

Po chwili pojawił się w łoży i lekko skrępowany pochylił nad dłonią ciotki Marie. Nazwisko, którym się przedstawił, obito się wprawdzie już wcześniej o uszy zgromadzonych tu osób, ale uderzył ich przede wszystkim urok i wdzięk młodego człowieka. Marie, schowana w głębi łoży, poczuła nagle, jak oblewa ją gorąca fala, spływająca od zarumienionej twarzy aż do stóp.

Ta twarz... ten głos... Nie, to przecież niemożliwe... Miała ochotę stamtąd uciec jak najszybciej, ale w tym samym momencie ciotka chwyciła ją za rękę i przedstawiła młodzieńcowi.

- A to moja siostrzenica, Marie. Uczy się w Paryżu malarstwa, bardzo utalentowana.

- Czuję się zaszczycony. - Młodzieniec skłonił się przed nią z powagą, ale mogłaby przysiąc, że zauważyła błysk rozbawienia w jego oczach.

- Jest pan muzykiem, czyż nie? - Ciotka zdawała się nie zauważać zmieszania swojej siostrzenicy

- Tak, pani. To prawda. - Skłonił się z nieśmiałym uśmiechem - Przyjechałem niedawno do Paryża i mam zamiar zo-

stać tu przez jakiś czas. Bardzo mi się wasze miasto podoba -w jego poprawnym francuskim słycać było wyraźnie obcy akcent.

- Zatem musi nas pan koniecznie odwiedzić. - Przerwa już się kończyła i widzowie zaczęli wracać na swoje miejsca. - Koniecznie. Może obiad w najbliższy czwartek? Proszę nie sprawić nam zawodu...

Kiedy zaczął się drugi akt młodzieniec odebrał wizytówkę od wuja Marie i wrócił na swoje miejsce. Dziewczyna nadal nie mogła ochłonać z wrażenia. Nie było wątpliwości: młody zdolny muzyk, który dostał właśnie zaproszenie na obiad do wujostwa, to nikt inny, tylko przypadkowo spotkany na ulicy pijany mężczyzna sprzed paru wieczorów.

Ciekawe, co też sobie o mnie teraz pomyśli? Dziewczyna z towarzystwa i chodzi wieczorami po ulicy... A może mnie nie zapamiętał? Nie, z pewnością mnie nie zapamiętał, pocieszyła się w myśli. Chyba nie...

Ale Juliette się zdziwi, jak jej opowiem, kogo to jej matka zaprosiła na obiad w czwartek. Będzie żałowała, że nie poszła dziś z nami do Opery.

Marie nie potrafiła się już skupić na tym, co działo się na scenie.

Nawet fakt, że główny tenor wpadł pod scenę przez otwarte drzwi zapadni, nie zrobił dziś na niej większego wrażenia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tadeusz musiał wracać już do Krakowa, naczelny nie dał się namówić na przedłużenie urlopu, a ja po namyśle postanowiłam jednak zostać dłużej. Pomyślałam, że mała rozłąka nam nie zaszkodzi, a sama w tym czasie w spokoju przejrzę pozostałe listy Marie. Trudno mi było przekonać go do tego pomysłu, uważał bowiem, że powinnam wracać z nim.

- Razem przyjechaliśmy i razem powinniśmy wrócić - stwierdził z miną, której u niego nie lubiłam.

- Ale pomyśl, może jesteśmy na tropie wielkiej sensacji? Jako dziennikarz powinienes to przecież zrozumieć - przekonywałam.

- A może chcesz po prostu odpocząć ode mnie?

- Mam powiedzieć prawdę, czy sprawić ci przyjemność? - Byłam już naprawdę zła. Gdyby był kobietą, pomyślałabym, że ma właśnie napięcie przedmiesiączkowe.

- OK, nie odpowiadaj - machnął mi dłonią przed nosem. - Zrobisz, jak uważasz.

Ale ostatecznie udało się nam dojść do porozumienia. Kruczego, bo kruczego, ale jednak. Tadeusz zdawał sobie doskonale sprawę z wagi ewentualnego odkrycia i chyba właśnie to

go przekonało do pogodzenia się z sytuacją. Postanowiliśmy wykorzystać więc te ostatnie dni na wspólne poszukiwania.

Niestety, z początku nie udało nam się zrobić zbyt wiele. Listów było zbyt dużo, poza tym niektóre z nich wymagały większej uwagi ze względu na stopień ich zniszczenia. Na ich odczytanie potrzeba było znacznie więcej czasu i spokoju, o który było raczej trudno u tak gościnnych gospodarzy jak Sophie i Claude.

Spędzaliśmy całe godziny na rozmowach przy stole, głównie o chłopcach, o ich postępach w nauce, zachowaniu i talentach. Sophie, jak każda matka, była z nich niezmiernie dumna i chwaliła się każdym osiągnięciem swoich dzieci. Opasłe albumy fotograficzne zawierały jedynie ich zdjęcia, począwszy od momentu przyjazdu do Paryża, czyli ich narodzin jako Francuzów. Ja znałam niemal wszystkie fotografie, ale Tadeusz był oczarowany i oglądał je z wyraźną przyjemnością.

Były tam więc maluchy w wózkach, potem szkraby przemierzające drewniane podłogi zamku na czworakach, umorusani czekoladą i niezmiernie przejęci poszukiwacze zajęczków wielkanocnych w ogrodzie, ściskający kurczowo koszyki z odnalezionymi słodyczami, w końcu starsi już chłopcy na rowerkach i w podróżach zagranicznych z rodzicami. Nicolas na tle bawołów w Tajlandii, w rikszy, na chińskim murze, obaj chłopcy w basenie hotelowym na Jawie oraz zaczerwienieni od mrozu narciarze na stokach Alp szwajcarskich.

Ze szczególnym wzruszeniem patrzyłam na nasze wspólne zdjęcia z wyspy Yeu, u zachodnich wybrzeży Francji, gdzie spędzaliśmy kiedyś razem wakacje. Brat Sophie ma tam niewielki domek w pobliżu miasteczka Saint Sauveur.

- Pamiętasz nasze poranne wyprawy do portu po świeżo złowione w nocy ryby i krewetki? - pytała Sophie podekscytowana wspomnieniami. - A małże, które występują tylko w tamtych wodach? Prawda, że były pyszne?

Czas płynął nam szybko. Korzystając z pięknej wrześnieowej pogody, robiliśmy długie spacery do winnic, gdzie trwały ostatnie przygotowania do winobrania. Tadeusz żałował, że nie zdąży już na zbiory, raz jeszcze usiłował namówić mnie na powrót, ale już bez specjalnego przekonania. Słyszał, jak obiecałam już Sophie i Claudowi, że zostanę jeszcze przez jakiś czas. Zresztą, miałam na to coraz większą ochotę. Umówiliśmy się, że zostanę na tak długo, jak to będzie konieczne, on natomiast postara się wrócić tu za dwa tygodnie, gdyby tyle jeszcze zajęło mi szukanie „mojego Chopina”. Ale tuż przed wyjazdem atmosfera znów się zagęściła.

- Będziemy w kontakcie telefonicznym - powiedział chłodno na pożegnanie, a ja poczułam, jak łyzy pieką mnie pod powiekami. Objęłam go mocno, starając się nie zauważać napiętych mięśni i niechętniej postawy. Był obrażony, a ja czułam się winna. Gdyby wtedy jeszcze raz poprosił, żebym z nim jechała, pewnie bym tak zrobiła. Ale nie poprosił. W takiej sytuacji z ulgą pożegnałam Tadeusza oraz Sophie, która wyjechała do Nowego Jorku na kilkudniową konferencję.

Claude wracał z pracy późnym popołudniem, więc miałam w końcu czas, żeby zająć się listami. Z tych, które zdążyłam już przejrzeć, wynikało, że młody muzyk zaczął coraz częściej bywać w domu ciotki Marie i że dziewczyna była nim zainteresowana. Trudno mi było jednak wywnioskować z nich, czy był to zachwyty nad uzdolnieniami chłopaka, czy też rodzące się uczucie.

I do kogo...

Marie stawała się coraz bardziej tajemnicza. Pisała dość ogólnie o obiekcie swoich uczuć, nie sposób więc było się zorientować, czy o młodego Polaka tu chodziło. Nie wymieniała nigdzie jego imienia, w listach określała go mianem „on”, „mój anioł” lub „moje kochanie”. Chodziła na koncerty, które muzyk dawał w Paryżu, zachwycała się jego grą, a potem znów pisała o „swoim kochaniu”, jakby to był ktoś inny, kto wysłuchiwał koncertu razem z nią.

Czułam się coraz bardziej zdezorientowana. Być może informacje o tym, kim było jej kochanie, znajdowały się w listach, których tu nie było. Wnosząc z dat, niektóre z nich pisane były w odstępach kilkumiesięcznych, co, biorąc pod uwagę temperament Marie, wydawało się raczej niemożliwe. Wyglądało na to, że spisywała prawie wszystko, co tylko przydarzyło się jej w Paryżu. Listy do siostry traktowała niemal jak pisanie pamiętnika. Gdzie więc podziela się reszta? Zaginęła, czy też nie trafiła do adresatki? A może to ojciec przechwytywał część korespondencji swojej młodszej córki i, kiedy uznał, że sytuacja staje się albo już stała się niebezpieczna, wkroczył brutalnie do akcji?

Sophie zostawiła mi klucze od apartamentu w Paryżu, więc postanowiłam wybrać się tam na dzień lub dwa dla „złapania wiatru w żagle”. Może, krocząc śladami Chopina po mieście, znajdę coś ciekawego albo jakiś znak, gdzie powinnam szukać?

Cały czas miałam jednak wrażenie, że zamek Sophie i Claude'a kryje więcej tajemnic niż odnalezione przez nich listy w sekretarzyku. Przecież, skoro Marie mieszkała tu przez jakiś czas, to powinny być gdzieś jej obrazy, jakieś rzeczy osobiste, pamiątki. Posiadłość jest tak duża, że nie było potrzeby

wyrzucania tego wszystkiego z powodu braku miejsca. Co zatem stało się z rzeczami Marie? Może wzięła je ze sobą do domu męża? Możliwe, ale nie mogła przecież zabrać wszystkiego

- niektóre pamiątki zostają w domu rodzinnym.

Zawiadomiłam Claude'a, że wybieram się do Paryża.

- Doby pomysł - pochwalił. - Poproś Singha, żeby cię podrzucił na dworzec w Reims, bo ja będę dziś raczej późno. Spróbuj poszukać też w naszym salonie na półkach z książkami, może znajdziesz tam coś ciekawego. Wiesz, na półki pod samym sufitem rzadko zaglądaliśmy, z wiadomych względów

- zaśmiał się głośno. - Kupiłem jednak w końcu dłuższą drabinkę, możesz ją więc wypróbować. Tylko ostrożnie, żebyś nie spadła.

Tak, Claude nie był wprawdzie ułomkiem, ale wysokie mieszkania w tej XVII-wiecznej kamienicy zamieszkiwały kiedyś chyba same olbrzymy. A i one miałyby pewnie kłopoty z sięgnięciem na najwyższe półki z książkami.

Pan Singh zgodził się chętnie na podwiezienie mnie do Reims, poprosił tylko o chwilę zwłoki - zamierzał skończyć jakieś prace przy różach. Miałam jeszcze sporo czasu do odjazdu pociągu, usiadłam więc na ogromnym tarasie i w zamyśleniu spoglądałam na stare mury zamku.

Taak... - mruczałam pod nosem, wodząc palcem w powietrzu. - Z tej strony jest kuchnia, po przeciwnej salon, a nad nim „królewska” sypialnia, jak nazwaliśmy ją z Tadeuszem. Strych. Pomieszczenia strychowe ciągną się wzdłuż całego budynku i, o ile dobrze pamiętam, nie ma tam żadnych zakamarków ani ukrytych pokoików. Chyba nie ma.

A tam, osłoniłam oczy przed słońcem, tam w wieżyczce jest gabinet Claude'a, dawniej pracownia malarska Marie, jak

nam powiedziano. Nie... stanowczo za mały, żeby mógł kryć jakieś inne pomieszczenie. Mały i raczej niski. Jak na te warunki, oczywiście. Nad nim już tylko wysoki, stożkowaty dach wieżyczki...

- Jedziemy? - głos Singha wyrwał mnie z zamyślenia. Coś jednak nie dawało mi spokoju.

- Tak, jestem gotowa, pójdę tylko po swoje rzeczy. Obejrzałam się jeszcze raz przez ramię. Co było nie tak?

Wieżyczka jak wieżyczka. Byłam przecież w środku i widziałam całe to pomieszczenie. Dość spore. Jednak niczego tam nie można było ukryć, a chodzi przecież o miejsce, gdzie mogłyby się znaleźć ewentualne obrazy Marie. Nie, to chyba nie to...

Singh zamknął bramę wjazdową ciężkim, masywnym kluczem i wsunął go w boczną kieszonkę jeepa. Uśmiechnęłam się do własnych myśli. W pamięci stanęła mi inna jazda tym samochodem, przed laty.

Przyjechała wtedy do mnie moja młodsza siostra. Zabrakło nam czegoś w kuchni i postanowiłam pojechać po to do sąsiedniego miasteczka, jako że w Trigny, oprócz piekarni i poczty nie było żadnych sklepów. Nigdy wcześniej nie prowadziłam jeepa. I nigdy później. Samochód zachowywał się jak narowisty koń, a ja nie mogłam sobie poradzić ze zmianą biegów, silnik gasł w najmniej odpowiednich momentach i rzeził niepokojąco. Kiedy wróciliśmy z powrotem, Wanda odkryła, że nadal trzyma w zaciśniętej dłoni list, który zamierzała wysłać podczas wizyty w miasteczku. Podobno modliła się przez całą drogę. Następne wyprawy do sklepu odbywałam już rowerem.

Wyjechaliśmy na drogę prowadzącą do Reims. Ponownie obejrzałam się za siebie. W świetle słońca błysnęła szyba w oknie wieżyczki.

- Dach! - Podskoczyłam w miejscu.

Singh rzucił mi niespokojne spojrzenie znad kierownicy.

- Czy nad wieżyczką jest jeszcze jakieś pomieszczenie? - spytałam podekscytowana.

- Tak, jest tam mały stryżek, ale nikt z niego nie korzysta - odparł zdziwiony. - Podczas remontu gabinetu pana Gaudę[^] zaglądałem tam, bo chciałem to pomieszczenie odnowić, ale pan stwierdził, że szkoda zachodu. Zbyt małe i zupełnie niepotrzebne. Sama pani wie ile jest miejsca na strychu w tym domu. Zlikwidowałem więc tylko schodki i dzięki temu zrobiło się więcej miejsca w gabinecie. A dlaczego pani pyta?

- Szukam takiego miejsca, gdzie można by schować obrazy, na przykład. Nie zauważył pan tam starych obrazów?

- A któżby chował obrazy w takim miejscu? Nie, poza jakimiś połamanymi i zakurzonymi gratami nie widziałem tam żadnych obrazów.

Najchętniej wróciłabym od razu i zajrzała na ten stryż, ale nie chciałam już zmieniać planów. Postanowiłam zrobić to zaraz po powrocie. Zresztą strażnik mówił przecież, że nic ciekawego tam nie ma. Przez dalszą drogę rozmawialiśmy więc już tylko o żonie pana Singha, która wyjechała do Indii z dziećmi, w odwiedzinach do swoich rodziców. Dostał właśnie wiadomość, że po wielogodzinnym locie samolotem wylądowali szczęśliwie na miejscu.

Żona Singha, piękna młoda kobieta o sarnim spojrzeniu i z długim czarnym warkoczem na plecach, chodziła zawsze

w kolorowym sari i porozumiewała się ze mną gestami. Nie zapytałam, czy nauczyła się już francuskiego.

- Proszę dzwonić, jak będzie pani wracała - pożegnał mnie przed dworcem Hindus. - Przyjadę tu po panią.

Po czterdziestu pięciu minutach jazdy pociągiem wysiadłam na Gare de l'Est i poszukałam przejścia do metra. Lubię zapach paryskiego metra. Jest w nim coś szczególnego, jakieś pomieszanie różnych woni: perfum, środków czystości i zwyczajnego smrodu, który jednak niknie w ciągłych podziemnych przeciągach.

Chopin nie mógł jeździć metrem, bo pierwszą linię otworzono w 1900 roku, pomyślałam zupełnie bez sensu i zdałam sobie sprawę, że poszukiwanie jego śladów zaczyna się przeradzać u mnie w jakąś obsesję. Może Tadeusz ma rację i rzeczywiście przesadzam trochę z tym Chopinem. Gdyby miał romans z Marie, jego biografowie dawno już by o tym napisali. Niepotrzebnie się upieram, pewnie chodziło o kogoś zupełnie innego. Ale, w końcu, kto mi zabroni szukać?, zbuntowałam się. Nikt. Wróciłam znów myślami do Fryderyka: metrem nie mógłby, ale koleją i owszem. Pociągami przecież jeździł. Podobno podczas swojej dwunastogodzinnej podróży do Edynburga wykupił dla siebie dwa miejsca, jedno naprzeciw drugiego, żeby go nikt w podróży nie „żenował”.

Kolejka w stronę Place d'Italie przystanęła z sykiem otwieranych drzwi. Pamiętałam, jeszcze z poprzednich lat, że powinnam się przesiąść na stacji Bastille. Westchnęłam z zadowoleniem. Znów byłam w Paryżu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- **No** i jak, znalazłaś coś ciekawego? - Claude nie mógł wytrzymać i zadzwonił do mnie w chwili, gdy wychodziłam właśnie z ich paryskiego mieszkania na antresoli siedemnastowiecznej kamienicy.

- Nie - zaśmiałam się krótko - jeszcze nie szukałam. Przyjechałam przed chwilą i wychodzę właśnie na miasto. Pochodzę trochę po ulicach, zjem coś i dopiero wieczorem zajrzę na te półki pod sufitem.

Przytrzymując brodą telefon, zamknęłam masywne, okute drzwi na wszystkie zamki i wrzuciłam klucze do torebki.

- Jak tylko coś znajdę, natychmiast dam ci znać. Acha, Claude... - przypomniałam sobie - czy nie sądzisz, że na strychu, nad twoim gabinetem mogłyby być schowane jakieś rzeczy? Na przykład obrazy Marie?

W słuchawce zapanowała cisza.

- A wiesz, że o tym nie pomyślałem? - odezwał się w końcu. - Wprawdzie nie pamiętam już, co tam było, zanim Singh zlikwidował schody, ale chyba nic szczególnego. Zresztą, sprzątaaliśmy tam przecież. Ale obrazy, gdyby leżały na płask... Kto wie? Może i masz rację. Trzeba będzie tam jeszcze raz zajrzeć.

- Tylko, błagam, poczekaj z tym na mnie.
- Dobrze, zresztą ani dziś, ani jutro i tak nie miałbym czasu. Zapowiada się ciężki tydzień. Lepiej, jak poszukamy razem, po twoim powrocie.

Wyszłam z bramy na zalaną wrześnie słońcem ulicę i wystukałam numer do Tadeusza. Minęło zaledwie parę dni, a już mi go brakowało. Miałam wyrzuty sumienia, że jednak nie wróciłam do Krakowa razem z nim i wcale nie byłam już pewna, czy podjęłam słuszną decyzję.

- Cześć, kochanie! - uśmiechnęłam się, słysząc, że odbiera po pierwszym sygnale. - Nie uwierzysz, co mi dziś przyszło do głowy...

- Przepraszam cię, ale nie mogę teraz rozmawiać. Odzwonię do ciebie - powiedział szybko i rozłączył się, nie dając mi nawet możliwości powiedzieć, że za nim tęsknię. Cały mój dobry nastrój ulotnił się w jednej chwili. Ze złością wrzuciłam komórkę do torebki i ruszyłam na miasto. Nie chcesz ze mną rozmawiać, to nie. Nie będę się wieszać z tego powodu. Trudno, przeżyję.

Wieczorem zmieniałam nieco plany i postanowiłam zostać o jeden dzień dłużej. Wielogodzinny spacer po Paryżu sprawił, że nawet nie miałam siły myśleć o szukaniu czegokolwiek na półkach. Uznałam, że rano, przy świetle dziennym, będzie to miało większy sens. W apartamencie było dużo lamp, lampek i kinkietów, ale żadnego oświetlenia pod sufitem. W związku z tym miejsce na najwyższej półce tonęło w zupełnych niemal ciemnościach, co sprawdziłam dla spokoju ducha, wspinając się na wysoką drabinę. Poza tym, miałam też ochotę wybrać się następnego dnia na darmowy koncert w kościele Saint

Merri. Koncerty odbywały się zwykle w soboty i niedziele, a następnego dnia wypadała właśnie sobota.

W programie były utwory Schumanna, de Falli i Chopina, i to zadecydowało ostatecznie.

Rano, wypoczęta i zrelaksowana, zasiadłam w kuchni przy kawie. Przez otwarte, wysokie okno widać było oświetlone słońcem górne piętra kamienicy z naprzeciwka. Dolne partie tonęły jeszcze w półmroku. Z szumem, powoli przejechał samochodzik-odkurzacz, polewając ulicę wodą i zmiatając nagromadzone na niej śmieci. Zapachniało świeżością i wilgocią, jak po deszczu.

W oknach po przeciwnej stronie ulicy zauważyłam zaciągnięte zasłony. Szkoda. Kiedyś nie było tam zasłon, a młody mieszkający tam mężczyzna miał zwyczaj chodzić po mieszkaniu nago. No cóż, pewnie się wyprowadził albo zauważył, że jest podglądany.

Przeszukiwania półek z książkami niestety nie przyniosły efektów. Poza tym, że omal nie spadłam z drabiny, wychylając się zbyt daleko w bok i wbiłam drzazgę w palec, nic szczególnego się nie wydarzyło. Ale książki ze złoconymi grzbietami, niektóre bardzo stare, oprawione w pociemniałą z upływem lat skórę, wprawiły mnie w zachwyt. Z prawdziwym nabożeństwem przewracałam pożółkłe strony i mozolnie odczytywałam poszczególne tylko słowa drukowane starą czcionką. Sporo też było ksiąg pisanych po łacinie, których nie potrafiłam prawie w ogóle odczytać, mimo dobrych stopni, jakie za szkolnych czasów otrzymywałam ze znajomości tego języka. Raj dla bibliofila, ale nic, co wiązałoby się ze sprawą Marie. Żadnych brakujących listów, pamiętników.

Claude, do którego zadzwoniłam, był też trochę zawiedziony

- A znalazłaś stary modlitewnik? - zainteresował się nagle. - Nie jestem pewien, ale chyba należał do prababki Sophie. A może do Marie właśnie? Taki mały z metalowymi okuciami, w skórzanej oprawce.

- Nie zauważyłam - przyznałam ze skruchą. - Szukałam raczej większych formatów.

- O ile dobrze pamiętam, leżał na półce, tuż nad kominkiem. Sprawdź.

- Dobrze, zaraz to zrobię. - Trzymając telefon między ramieniem a brodą, przystawiłam drabinę do ściany nad kominkiem. - Też na najwyższej półce? - spytałam z obawą, wchodząc na bambusowe szczeble. Metalowe przybory kominkowe wiszące na wymyślnym stojaku wyglądały z góry dość niebezpiecznie.

- Nie pamiętam. Sprawdź wszystkie i zadzwoń, jak coś znajdziesz. Na razie.

Dwie półki, które miałam na wysokości nosa, zajmowała kolekcja kryminałów Agaty Christie w języku angielskim. Claude był wielkim miłośnikiem jej twórczości. Dalej, książki prawnicze i jakieś poradniki. *Jak radzić sobie ze stresem* - o, to coś dla mnie. *Mężczyzna doskonały*. Ciekawe... Nie, to poradnik dla mężczyzn, jak takim zostać - nie dla mnie.

Na trzeciej półce od góry zauważyłam małą książeczkę. Jest! Z wrażenia omal nie spadłam z drabiny na szczyżące się groźnie kominkowe szpikulce.

Znalazłam modlitewnik.

Mały, oprawiony w zrudziałą skórę z ozdobnymi tłoczeniami i złotym krzyżem na samym froncie, ze złożonymi brzegami kartek i inicjałami M.P. po obu stronach krzyża. Był

w dość dobrym stanie, nie zachowało się jedynie metalowe zapięcie spinające kartki. Zostały po nim tylko dwie ozdobne klamerki.

M.P. Marie Perrault?

Bez wątpienia miałam przed sobą modlitewnik Marie.

Poczułam dziwne wzruszenie i radość. Modlitewnik nie wnosił prawdopodobnie niczego nowego w sprawę, ale sam fakt, że trzymam w ręce coś, co kiedyś należało do Marie, przyprawiał mnie o dreszcze. Przekartkowałam go ostrożnie. Z wnętrza wypadła zasuszone czterolistna koniczyna. Z tyłu, na ostatniej stronie widniało kilka krótkich notatek skreślonych pięknym, znanym mi już charakterem pisma.

Usiadłam na dywanie i z wypiekami na twarzy zaczęłam przeglądać niezwykle znalezisko. Krótkie notatki na końcu dotyczyły chyba nabożeństw, w których Marie chciała lub powinna była uczestniczyć. Data, godzina, krótkie „non” lub „oui” i tyle. Nic tajemniczego, ani nadzwyczajnego. Powiodłam delikatnie palcami po starym papierze i zamarłam.

Wewnętrzna, tylna okładka była wyraźnie grubsza i bardziej wypukła niż przednia.

Nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Najwyraźniej coś znajdowało się między sklejonymi kartkami. List miłosny? Zdjęcie? Nie... zdjęcie odpada, przecież to wczesne lata trzydzieste dziewiętnastego wieku, dopiero trwają prace nad dagerotypią. A więc co?

Musiałam do kogoś zadzwonić. Tadeusz chwilowo odpadał, więc wybrałam numer Claude'a.

- Chyba miałeś rację z tym modlitewnikiem... Nie uwierzysz, ale...

- Uwierzę we wszystko, co mi powiesz. Co znalazłaś? Powiedziałam mu o swoich podejrzeniach i ustaliliśmy, że

razem zajrzemy pod tę okładkę. Claude koniecznie chciał być obecny przy rozklejaniu kartek. Rozumiałam go doskonale, chociaż najchętniej zajrzałabym tam natychmiast.

Trudno, poczekam. Chociaż czułam, że nie będzie to wcale łatwe.

Wieczór w Paryżu to moja ulubiona pora dnia w tym mieście. Ruch na ulicach wydaje się wcale nie mniejszy niż za dnia, a kolorowe kawiarenki i puby zaczynają dopiero tętnić życiem. Rozmowy i śmiechy siedzących na zewnątrz gości mieszają się z dyskretnym gwarem dobywającym się z jasno oświetlonych wnętrz, tu i tam słysząc muzykę.

Koncert zaczynał się o dwudziestej pierwszej, było więc jeszcze trochę czasu, a ja nie miałam co ze sobą zrobić. Snułam się beczynn timer po ulicach, spoglądając zazdrośnie na roześmiane pary i co chwilę sprawdzając godzinę na zegarku.

- Dobry wieczór! - Znajdowałam się już niemal w pobliżu kościoła, gdy nagle usłyszałam za sobą męski głos. Odwróciłam się gwałtownie, gotowa uderzyć ewentualnego napastnika ciężką torbą, przekonana, że będzie to jeden z brudnych i agresywnych żebrzących narkomanów, których ciężko się pozbyć. Słyszałam mrozącą historię o tym, jak to jeden z nich, rozzłoszczony odmową, ukłuł nagabywanego przechodnia igłą. Jednak stojący za mną i uchylający się przed ciosem mężczyzna z całą pewnością nie był jednym z nich.

Przystojny, elegancki i skądś mi znajomy.

- Poznaliśmy się w Luwrze, pamięta pani? Przy obrazie George'a de La Tour...

- Tak, poznaję! - ucieszyłam się, widząc człowieka, który tak interesująco opowiadał o Marii Magdalenie. - Trochę mnie pan przestraszył, przepraszam za reakcję.

- To ja przepraszam, powinienem był się najpierw pokazać, a potem odezwać. Ale, trzeba przyznać, ma pani refleks -zaśmiał się głośno.

Kiedy dowiedział się o koncercie, postanowił mi towarzyszyć.

- Mam wolny wieczór, bo moja druga połowa jest aktualnie w odwiedzinach u swoich rodziców, więc chętnie wysłucham koncertu w miłym towarzystwie - ukłonił się z galanterią.

Ruszyliśmy wolnym krokiem w stronę kościoła.

- O ile dobrze pamiętam, wybieraliście się państwo do Szampanii, a potem do Polski? - spytał, kiedy wymieniliśmy już zdania na temat wyjątkowo ładnej, wrześniowej pogody.

Uśmiechnęłam się tajemniczo.

- Tak, ale wydarzyło się coś, co zmieniło trochę nasze plany.

- Mam nadzieję, że nic złego? Podejrzewam - tu spojrzał na moją minę - że jednak coś miłego. Czy będę niedyskretny, jeśli spytam...?

Opowiedziałam mu w skrócie o odnalezionych listach Marie i o moich podejrzeniach dotyczących jej kochanka.

- Sądzi więc pani, że to mógłby być Chopin? - Mark aż przystanął, pocierając w zamyśleniu nos. - Przyznam szczerze, że to zaskakująca teoria. Hm... zaskakująca.

- To długa historia i trudno mi teraz to wszystko panu wytłumaczyć. Mam przeczucie, że to jednak on.

Nie było już czasu na wyjaśnienia, ponieważ dochodziliśmy właśnie na miejsce, gdzie za chwilę miał się zacząć kon-

cert. Przy bocznym wejściu do kościoła, na ulicy la Verrerie, zebrał się już spory tłum miłośników muzyki.

Wewnątrz, od czerwonego dywanu w żółte, okrągłe wzory odcinał się błyszcząca czernią fortepian, a ustawione wokół proste krzeselka z wyplatanyymi siedzeniami były już w większości zajęte. Z trudem znaleźliśmy jeszcze dwa wolne miejsca, tuż za kolumną z jasnego piaskowca. Całe światło skierowane było na otwarty instrument, reszta świątyni sztuki tonęła w półmroku. Tylko w głębi, nad ołtarzem, majaczyły słabe kolory witraży.

- Zaciekawiała mnie pani - Mark musiał podnieść nieco głos, żeby zagłuszyć gwar zbierającej się publiczności i szuranie krzeseł po kamiennej posadzce. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko, zapraszam na lampkę wina po koncercie. Ciekaw jestem szczegółów. Udamy się do jednej z pobliskich knajpek - dodał szybko, widząc moje podejrzliwe spojrzenie.

Kiwnęłam tylko potakująco głową w odpowiedzi i spojrzałam na oświetlony środek świątyni. Szmery rozmów zaczęły cichnąć, do fortepianu podeszła młoda, filigranowa pianistka z Japonii. Ukłoniła się, nieśmiało uśmiechnęła, zaciskając drobne dłonie na podołku, następnie ustawiła odpowiednią wysokość okrągłego taboretu, po czym usiadła nieruchomo z dłońmi nad klawiaturą i przymknęła oczy. Zapanowała cisza. Jeszcze tylko skrzypnęły boczne drzwi, wpuszczając spóźnionego melomana, ktoś zakaszłał, zaszurało krzesło i z oświetlonego punktowo fortepianu popłynęły dźwięki muzyki Schumanna.

Sceny dziecięce rzadko wykonywane są przez młodych pianistów, ponieważ trudno przy okazji tego utworu oszołomić publiczność wirtuozerią. To łatwe miniaturki, często gry-

wane przez uczniów w szkołach muzycznych, a popularne *Marzenie* potrafi wybrzdąkać na pianinie każde, średnio nawet uzdolnione dziecko. Trzeba naprawdę wielkiego talentu, żeby tym mało efektownym cyklem przykuć uwagę słuchaczy i utrzymać napięcie aż do ostatniej nuty. Japońskiej pianistce ta sztuka udała się. Grała bardzo ładnie, bezpretensjonalnie, z wielką prostotą i wyczuciem stylu. Szczególnie pięknie zabrzmiała przedostatnia część, czyli *Dziecko zasypia*. Artystka wyczarowała w tej scenie niezwykle intymny nastrój.

Oklaski były umiarkowane, bo publiczność potraktowała schumannowski cykl jako rozgrzewkę przed dramatyczną i wymagającą niezwykłego kunsztu pianistycznego *Sonatą b-moll* Chopina. Trudno o większy kontrast niż pomiędzy tymi dwoma fortepianowymi utworami, chociaż oba pochodzą przecież z tej samej epoki. Liryczny, wyciszony i odrobinę senny nastrój *Scen dziecięcych* prysnął bez śladu już po wstępnych dźwiękach czterotaktowego *Grave*, które rozpoczyna sonatę. Głuche oktawy w basie zabrzmiały tajemniczo i złowrogo, jak gdyby uderzono w dzwon. Była to bardzo sugestywna zapowiedź mającego się właśnie rozegrać muzycznego dramatu.

Zbudowany z trzech dźwięków pierwszy temat - gorączkowy i uporczywy - spotęgował tylko atmosferę strachu i zagrożenia. Był drapieżny i bezlitosny, niemal szarpał nerwy. Przebiegał w szybkim tempie. Moim zdaniem pianistka grała go nawet nieco za szybko, jakby zapominając, że jest to początek sonaty, a nie finał albo jakaś etiuda. Słyszałam od kogoś, że instrumentalisci biorą zbyt szybkie tempa, kiedy są bardzo zdenerwowani. Przyspieszone bicie serca sprawia bowiem, że muzyka wydaje im się przebiegać zbyt wolno. Jest to oczywi-

ście tylko subiektywne odczucie, ale początkujący muzycy często dają się na to nabrać. Wprawdzie Japonka przez cały czas zachowywała kamienną twarz i nie zdradzała nawet śladu zdenerwowania, któż jednak może tak naprawdę wiedzieć, co kryje się pod maską spokoju. Moim zdaniem zbyt często popełniamy błąd, oceniając grę na podstawie zachowania pianisty - jego ruchów oraz mimiki. Dlatego o pianistach z Dalekiego Wschodu na ogół mówi się, że ich wykonania są perfekcyjne technicznie, lecz pozbawione uczuć. Myślę, że to nieprawda, a publiczność sugeruje się po prostu beznamiętnym wyrazem twarzy wykonawców.

Komuś rozdzwoniła się nagle komórka, po chwili jej właściciel zgromiony spojrzaniem sąsiadów wyszedł spieszenie na zewnątrz. Młoda pianistka zdawała się tego nawet nie zauważać. Spokojnie, jakby nic się nie wydarzyło, kontynuowała grę.

Oparty na akordach drugi temat sonaty pozwolił tylko na chwilę wytchnienia, potem znowu palce zaczęły gorączkowo biegać po całej klawiaturze, bez skutku starając się rozładować nagromadzone w utworze napięcie.

W przetworzeniu trzy dźwiękowy motyw przejęła lewa ręka, sprawiając, że muzyka zabrzmiała już dosłownie jak kołatanie przerażonego serca. Crescendo postrzępionych fraz w niskim rejestrze. Prawa ręka za pomocą łagodnie brzmiących akordów starała się uspokoić lewą, powstrzymać narastający wybuch szaleństwa. Niemal jej się to udało. Pierwsza eksplozja została udaremniona, ale po chwili napięcie ponownie wzrosło i już nie można było opanować sytuacji. Główny motyw uwolnił się spod kontroli i rozbrzmiał całą mocą dźwięku. To bardzo trudny technicznie moment sonaty, wymagający od pianistów olbrzymiej sprawności oraz siły.

Aż dziw, że drobna Japonka poradziła sobie z tym zadaniem bez najmniejszych problemów. Potrafiła wydobyć z instrumentu pełnię brzmienia, mimo że jej dłonie zdawały się malutkie jak u kilkuletniego dziecka. Szczerze mówiąc, Azjaci nigdy chyba nie przestaną mnie zadziwiać.

Po tej imponującej kulminacji powrócił liryczny drugi temat, jakby przebłysk innego, lepszego świata, lecz spokój i tym razem nie trwał krótko. Znowu zapanowała dramatyczna atmosfera, a wszystkie muzyczne zmagania tej części zwieńczyła potężna, beethovenowska niemal koda.

Następne ogniwo sonaty nazwane zostało przez Chopina *Scherzem*, trudno jednak doszukać się w tej muzyce jakichś żartobliwych tonów. Brzmi ona wyjątkowo diabolicznie i wcale nie wprowadza rozluźnienia po pełnej wewnętrzznego wzburzenia części pierwszej. Wydaje się nawet jej przedłużeniem, z tymi agresywnie wystukiwanymi oktavami oraz akordami we wszystkich rejestrach fortepianu.

No a potem jest już ów sławetny *Marsz Żałobny*. Muzyka, która samego kompozytora wprawiała w przerażenie, dlatego bardzo rzadko grał ten utwór publicznie. Zbyt częste wykonania, transkrypcje i przeróbki sprawiły, że marsz stał się jednym z przebojów muzyki klasycznej, bardzo spowszedniał i nie budzi już takiego dreszczu, jak to zapewne miało miejsce w czasach Chopina. Łatwo popaść tutaj w muzyczny banał, kiedy nie ma się na jego wykonanie jakiegoś ciekawego pomysłu. Japonka odegrała marsz bardzo poprawnie, ale w porównaniu z interpretacjami Rachmaninowa czy choćby Ivo Pogo-relicha w jej grze powiało nie grozą, lecz zwykłą nudą.

Za to zakończenie robi wrażenie w niemal każdym wykonaniu. Te siedemdziesiąt pięć taktów jednogłosowej figuracji

w oktavowym zdwojeniu wyczarowuje muzykę z zaświatów, jakby po tragedii, jaka miała miejsce przed chwilą, nie można już było się podnieść za pomocą konwencjonalnie skomponowanego finału. Jest to muzyka zagadkowa, niezwykle ruchliwa, na pograniczu szmeru. Czasami odnosi się wrażenie, że słychać zniekształcony dźwięk, jak gdyby ten wydobywał się spod wody albo jakby wciągnęło taśmę w magnetofonie kasetowym. Cała ta króciutka część to niesamowite doznanie. Brzmi nowocześnie nawet dla współczesnych uszu. Jakim szokiem musiała być więc dla słuchaczy w połowie dziewiętnastego wieku. Akord b-moll, uderzony fortissimo, zakończył tę jedyną w swoim rodzaju sonatę.

- Wciągnięta taśma w magnetofonie - uśmiechnął się Mark, kiedy dzieliliśmy się wrażeniami podczas przerwy. - Muszę przyznać, że z takim porównaniem się jeszcze nie spotkałem. Zwykle mówi się o wietrze szumiącym pomiędzy grobami. Pani skojarzenie jest, by tak rzec, bardziej nowoczesne.

- I dużo mniej romantyczne - odpowiedziałam, mimo wszystko dumna, że ekspert docenił moją muzyczną wyobraźnię. - A jak się panu podobało samo wykonanie?

Podrapał się w nos i odchrząknął z zakłopotaniem.

- Szczerze mówiąc, tak sobie. To jeden z najtrudniejszych utworów w literaturze fortepianowej i wcale nie chodzi mi o stronę techniczną. Ciężko zbudować logiczną formę, bowiem najwięcej dzieje się w pierwszej części, a potem napięcie już tylko słabnie. Należałoby więc raczej grać ją nieco bardziej powściągliwie, a właśnie *Marsz Żałobny* potraktować jako moment centralny całej sonaty. Pianistka poszła inną drogą, cały zapas emocji wyczerpała już na samym początku, przez co reszta utworu pozbawiona była napięcia.

- Może tego utworu w ogóle nie da się zagrać idealnie? - zasugerowałam. - Schumann powiedział podobno, że to wcale nie jest sonata. Według niego Chopin zaprzął w tym utworze czwórkę swoich najbardziej szalonych i niesfornych dzieci.

- Tak. Może ma pani rację - odparł Mark. - Ta sonata wymaga genialnego pianisty. Swoją drogą, słuchaliśmy dzisiaj kompozycji Schumanna i Chopina, zauważyła pani zapewne różnicę? Bo, jak widzę, mam przed sobą profesjonalistkę?

- Nie - zaśmiałam się. - Skończyłam wprawdzie średnią szkołę muzyczną, ale nie gram, zostawiam to lepszym ode mnie. Zdecydowanie wolę jednak słuchać prawdziwych pianistów, niż męczyć instrument i słuchaczy swoim brzdąkaniem.

- Cóż za samokrytycyzm. I pewnie zbytnio przesadzony, jak zwykle w takich przypadkach - pokiwał nieprzekonany głową - ale wróćmy do pytania. Czy zauważyła pani różnicę między tymi dwiema kompozycjami?

- Owszem. Schumann wydaje się bardzo spokojny i wyważony, niemal klasyczny. Natomiast sonata Chopina sprawia wrażenie dzieła...

- Wariata? - zasugerował z uśmiechem Mark.

- Powiedzmy, że osoby o nieco rozstrojonych nerwach.

- Właśnie. Oto paradoks. Muzyka artysty, który chorował prawdopodobnie na schizofrenię, brzmi tak łagodnie i spokojnie, natomiast utwór Chopina - człowieka niezwykle towarzyskiego, zdroworozsądkowego, dowcipnego, brylującego na salonach - wydaje się wręcz chory i demoniczny.

- To jednak Schumann był schizofrenikiem? - spytałam zaintrygowana. - Różne są zdania na ten temat.

- Tak się uważa. Ale ma pani rację, niektórzy twierdzą, że chorował na syfilis. Miewał halucynacje słuchowe, raz nawet próbował utopić się w Renie, ale w porę odratowali go rybacy.

- O... przyznam, że nigdy o tym nie słyszałam.

- Interesował się również duchami i okultyzmem. Niezwykle interesująca postać, a przede wszystkim tragiczna.

Musieliśmy przerwać rozmowę, bo pianistka właśnie wróciła na scenę, aby zaprezentować drugą część recitalu. W programie były jeszcze mazurki Chopina i popisowy *Taniec ognia* Manuela de Falli.

- Czytałam gdzieś, że de Falla napisał operę zbudowaną w całości na tematach chopinowskich. To prawda? - spytałam Marka, kiedy pianistka po bisach zniknęła już w ciemnych zakamarkach kościoła.

- Tak, ale nigdy nie została wystawiona. Za to, pod koniec życia, opracował *Balladę F-dur* Chopina na chór a capella. Był zafascynowany jego twórczością.

Publiczność, głośno komentując wysłuchany właśnie koncert, zaczęła powoli przesuwać się w kierunku drzwi wyjściowych.

- Podtrzymuję zaproszenie na lampkę wina. - Mark odsunął stojące na naszej drodze krzeselko i zrobił zapraszający gest w stronę wyjścia. Musieliśmy jednak trochę poczekać, żeby uniknąć tłoku.

- Chętnie - odparłam z roztargnieniem, rozglądając się po ciemnym wnętrzu kościoła.

Jest coś tajemniczego, a zarazem kojącego i bezpiecznego w tym półmroku pachnącym kadzidłem, zwiędłymi kwiatami i wypalonymi świecami. Ciemność, rozjaśniona tylko wiecznymi lampkami przy ołtarzu i obrazami oraz zdającymi się

świecić własnym, słabym blaskiem jasnymi kolumnami, jest przyjazna. Często, zamyśloną, siedzącą w jednej z ławek, przeganiał mnie kościelny, zamykający kościół na noc.

- Tak, chętnie - powtórzyłam z uśmiechem na widok badawczego spojrzenia Marka. - Zawsze po takim koncercie ogarnia mnie jakaś melancholia - wyjaśniłam - mam ochotę płakać jak egzaltowana panienka albo zramolała babcia. Nic na to nie poradzę, ale tak właśnie reaguję na piękną muzykę. Bo koncert był mimo wszystko piękny, prawda?

- To gdzie idziemy? - spytał Mark, kiedy po wyjściu z kościoła znaleźliśmy się na jeszcze dość ruchliwej uliczce.

- Nie znam zupełnie tutejszych barów. Zdaję się na pana. A może tu?
- Zatrzymałam się przed jasno oświetlonym wejściem do jednego z pubów.

Przez otwarte właśnie drzwi widać było siedzących przy barze mężczyzn i jakiś wolny stolik w głębi.

- Nie ma chyba sensu szukać gdzieś dalej, tu też pewnie można się napić wina. I będę miała blisko do domu.

- Hm... - Mark wyglądał na lekko zmieszanego. - Nie wiem, czy tu się pani spodoba...

- Dlaczego? - zdziwiłam się. - Wygląda całkiem przyzwoicie. Nie ma tłumu, pijaków też raczej nie widzę. A nawet - tu zerknęłam na wchodzących akurat mężczyzn - powiedziałabym, że będę miała na kim oko zawiesić.

- ...bo to jest raczej lokal dla gejów - dokończył szybko i zamilkł, czekając wyraźnie na moją reakcję.

No masz ci... pomyślałam, patrząc na jego zmarszczone brwi, homofob w Paryżu. W mieście, w którym homoseksuali-

ści chodzą po ulicach, trzymając się za ręce albo wręcz za zgrabne pupy? A to dopiero niespodzianka.

- Dla gejów, dobrze pani usłyszała. Poszukajmy zatem czegoś innego.
- Mark najwyraźniej błędnie odczytał moje chwilowe milczenie.

- Nie, nie ma potrzeby. - Machnęłam niecierpliwie ręką. - Zaskoczyło mnie to trochę i tyle. Chętnie jednak zobaczę, jak ten lokal wygląda od środka. Nie przepuszcze takiej okazji. A swoją drogą - dodałam z lekkim zaskoczeniem - ci wchodzący mężczyźni wyglądali przecież całkiem normalnie.

- Normalnie...? A jak według pani powinien wyglądać gej?

- Czy ja wiem? - zastanowiłam się. - Facet w skórzanych spodniach z wycięciami na gołe pośladki? Albo cały w czarnej, obcisłej skórze, poruszający się tanecznym krokiem?

- Albo potężny mięśniak lub też drag queen z przesadnym makijażem
- odpowiedział rozbawiony Mark. - Widzę, że naoglądała się pani korowodów na paradzie miłości?

- No, tak prawdę mówiąc...

- W takim razie nic już pani pewnie nie zdziwi, możemy więc spokojnie wejść do tego lokalu. - Zrobił zapraszający gest w stronę prowadzących do środka schodków.

Atmosfera panująca wewnątrz pubu przypominała tę z innych, niegejowskich miejsc, w których zdarzało mi się bywać. Dość głośna muzyka płynąca zza baru, rozmowy i śmiechy zgromadzonych gości, słowem nic szokującego, czego po cichu trochę się jednak obawiałam. Co prawda towarzystwo składało się w większości z mężczyzn, ale w kącie sali zauważyłam też parę kobiet Lokal niemal taki sam jak inne. Może tylko nie wszędzie jest tylu przystojnych mężczyzn, pomyślałam z wes-

tchnieniem. I to zupełnie straconych dla damskiego świata, dodałam w myśli, widząc wpatrzone w siebie męsko-męskie pary.

- Jeśli źle się pani tu czuje, możemy zmienić lokal. - Wyglądało na to, że Mark przygląda się uważnie moim reakcjom na otoczenie.

- Nie, nie. Zostańmy tu, podoba mi się to miejsce - skłamałam, nie chcąc wychodzić na bardziej prowincjonalną gęś, niż w rzeczywistości byłam. - Dla mnie to jednak nowość i muszę się trochę oswoić.

- Proszę mi zatem opowiedzieć historię listów, o których wspomniała pani przed koncertem - poprosił, oddając jednocześnie kartę win kelnerowi o wyglądzie amanta filmowego.

Przez następną godzinę sączyliśmy wino i rozprawiali na temat listów Marie i moich związanych z nimi podejrzeń. Mark nastawiony był raczej sceptycznie.

- Wątpię, żeby chodziło o Chopina. Chociaż podobno w tamtym okresie wcale nie stronił od kobiet, jednak jego biografowie nie wspominają ani słowem o romansie.

- A jeśli to był sekretny i krótki romans? - Nie dawałam za wygraną.

- Myślę, że nawet taki byłby zauważony w tamtejszym rozplotkowanym Paryżu. Chociaż... - Zastanowił się przez chwilę. - Chociaż, kto wie? Jeśli nie trwały zbyt długo, mógłby chyba umknąć uwadze plotkarzy. Skądinąd wiadomo przecież, że Chopin miał gorący temperament, który wpędził go w pewne, wstydlivej natury kłopoty w Wiedniu, tuż przed przyjazdem do Paryża. Dlaczego więc miałyby prowadzić cnotliwy tryb życia akurat w Paryżu? Może i masz rację.

Z rozpędu, z typowym dla Amerykanów luzem, zaczął mi mówić po imieniu. Z początku peszył się i przepraszał, ale

mnie samej ta forma też odpowiadała, więc po chwili rozmawialiśmy już jak starzy znajomi. Mark zamówił następną lampkę wina, a mnie zaszumiało lekko w głowie i poczułam się przyjemnie rozluźniona. Sympatyczna knajpka, miły nastrój i ciekawy rozmówca. Przez moment poczułam nawet lekkie wyrzuty sumienia, że tak dobrze bawię się bez Tadeusza. On, biedny, siedzi teraz w pracy... No nie, spojrzałam na zegarek, teraz to już pewnie śpi.

- Przecież - kontynuował tymczasem Mark - Chopin w Paryżu nie tylko komponował i koncertował, ale i bawił się, jak na młodego człowieka przystało. Spędzał wesoło czas w towarzystwie przyjaciół w bulwarowych knajpkach, w kawiarniach przy kawie i alkoholu, w zaprzyjaźnionych domach. Lubił też nosić się wytwornie i być modnie ubrany, musiał zatem podobać się kobietom.

- Miał więc mnóstwo okazji, żeby spotkać Marie. Sam musisz przyznać.

- Tak, zwłaszcza że wcale nie unikał damskiego towarzystwa. Był trochę nieśmiały, ale to akurat chyba wielu kobietom się podoba. - Wzruszył ramionami, jakby nie mógł pojąć, dlaczego.

- Więc, nie jest to tak całkiem nieprawdopodobne, żeby miał jakiś romans, o którym nie wiemy? - Nie dawałam spokoju.

- No tak. Teraz wydaje mi się to bardziej prawdopodobne

- przyznał. - Ale pod warunkiem, jak już mówiłem, że trwałby bardzo krótko. Z drugiej zaś strony, trudno mi uwierzyć, że porzuciłby dziewczynę w ciąży. To byłoby raczej sprzeczne z jego wychowaniem.

- Chyba - podniosłam kieliszek w górę znaczącym gestem

- chyba że nic by na temat tej ciąży nie wiedział...

Zrobiło się już późno i zaczęliśmy niechętnie zbierać się do wyjścia. Mark był interesującym rozmówcą. Okazało się, że miał ogromną wiedzę nie tylko na temat malarstwa, ale i muzyki. Zwłaszcza na temat Chopina, którego był wielkim miłośnikiem.

- Kiedy wyjeżdżasz z Paryża? - spytał, gdy już wyszliśmy z pubu.

- Chyba jutro, ale jeszcze nie wiem o której. A dlaczego pytasz?

- Gdyby udało ci się przełożyć wyjazd na poniedziałek, moglibyśmy pójść jutro wieczorem do klubu jazzowego. Bardzo przyjemne miejsce, z pewnością ci się spodoba. Grywam tam czasami na perkusji wraz z przyjaciółmi.

Ustaliliśmy, że zadzwonię do niego na drugi dzień i powiem, co postanowiłam w związku z wyjazdem do Trigny. Musiałam przede wszystkim skontaktować się z Claudem i poinformować go o moich planach. Miałam jednak wielką ochotę wybrać się do tego klubu. W takim miejscu też jeszcze nigdy nie byłam.

Mark odprowadził mnie pod samą bramę domu, wymieniliśmy numery telefonów i pełna wrażeń wróciłam do apartamentu Sophie i Claude'a. Zrzuciłam buty już za drzwiami i z ulgą zanurzyłam stopy w miękkiej wykładzinie dywanowej. Włączyłam telefon i zmartwiałam: siedem nieodebranych połączeń od Tadeusza! A na poczcie głosowej wiadomość: „Niezależnie od godziny, koniecznie do mnie zadzwoń! Powtarzam, koniecznie!”.

Spojrzałam na zegarek, było już kwadrans po północy, ale przecież wyraźnie powiedział, że koniecznie. Co tam się, na Boga, stało?!

- Jak to, c-co się stało?! - Tadeusz był tak zdenerwowany, że aż się jąkał, jak zawsze w takich momentach. - To ja się ciebie pytam, co się stało! Dzwonię jak idiota od paru godzin, a ty masz wyłączoną komórkę.

- Kochanie, byłam na koncercie w kościele Saint Merri, mówiłam ci przecież... Musiałam wyłączyć telefon.

- Koncert trwał do północy?!

- No, nie... Potem byłam w... no, spotkałam znajomych i poszliśmy na lampkę wina do kawiarni.

- Jakich znowu znajomych?

- Pamiętasz tego faceta z Luwru? Tego, który tak ciekawie opowiadał o malarstwie? - zaczęłam ostrożnie, wiedząc, że Tadeusz nie da za wygraną, dopóki nie dowie się wszystkiego. - No więc - kontynuowałam, kiedy potwierdził, że pamięta -to właśnie jego spotkałam na koncercie, a potem, kiedy zaproponował lampkę wina w takiej małej knajpce w pobliżu kościoła, nie wypadało mi odmówić. Zwłaszcza że to wielki miłośnik Chopina i...

- Noo... tak. Dziwnym zbiegiem okoliczności spotykasz miłośnika Chopina. Zupełny przypadek, mam rozumieć?

- A cóż w tym dziwnego? Wyobraź sobie, że mnóstwo ludzi lubi Chopina. Może jest ich nawet więcej niż miłośników pieśni biesiadnej...

- Bardzo śmieszne. To, że mam taką płytę u siebie, nie robi mnie jeszcze miłośnikiem tego rodzaju muzyki. Zresztą, co ty chcesz od pieśni biesiadnej?

- Nic. Masz zamiar nadal się kłócić, czy chcesz posłuchać, o czym rozmawialiśmy?

- Pewnie powiedziałaś mu o naszych podejrzeniach, jak znam życie i ciebie - po głosie poznałam, że złość mu już przechodzi, ale ton nadal miał oschły.

- No tak, a dlaczego niby miałabym nie powiedzieć? Spytał, co mnie sprowadziło do Paryża, więc wspomniałam o listach. On, w przeciwieństwie do ciebie, nie uważa, że to niedorzeczny pomysł - to już dodałam z lekkim przekąsem. - A komórkę zapomniałam włączyć. Przepraszam, jeśli się denerwowałaś...

- „Jeśli się denerwowałaś”¹¹. No, nie! Zaraz mnie tu szlag trafi. Tyle godzin bez żadnej wiadomości, a ona „jeśli się denerwowałaś” - znów podniósł głos.

- Przecież przeprosiłam. Przestań już. Gdybyś miał tyle wrażeń, co ja dzisiaj, też pewnie popełniałbyś błędy.

Opowiedziałam mu w skrócie o modlitewniku i o podejrzanym zgrubieniu pod wewnętrzną stroną okładki. O koncercie i o zaproszeniu Marka na następny wieczór.

- Pójdiesz? - zapytał z podejrzanym spokojem, zupełnie nie zwracając uwagi na poprzednie rewelacje.

- Chyba tak - odparłam. - Nigdy jeszcze nie byłam w takim klubie, zwłaszcza w Paryżu. A Mark jest dobrym przewodnikiem i pokazuje mi miasto od strony, z której go jeszcze nie znałam... - uśmiechnęłam się do własnych myśli. - Ale nieważne... - zmieniłam temat. - Stęskniłam się za tobą, wiesz? Kiedy przyjedziesz do Trigny?

- Chcesz tego, naprawdę? Teraz, kiedy masz pana Marka...

- Tym bardziej chcę - zaśmiałam się trochę sztucznie, bo złościła mnie zawsze jego zazdrość. - Mark jest bardzo interesującym facetem i nie odpowiadam za siebie, jeśli to tak dłużej

potrwa. Podejrzewam nawet, że to prawdziwy pies na starzejące się kobiety...

- No cóż - z komórki powiało arktycznym chłodem. - Skoro tak, to nie wiem, czy mój przyjazd ma sens. A dostałem właśnie ponad tydzień urlopu.

- Naprawdę?! I dopiero teraz mi o tym mówisz?

- Próbowałem wcześniej, ale miałaś wyłączoną komórkę - przypomniał z naciskiem. - Może nie chciałaś, żebym ci przerywał miłe tête-à-tête? Teraz już chyba rozumiem, dlaczego nie chciałaś wracać razem ze mną...

- Słuchaj... - byłem już naprawdę zła. - Zrobisz, jak zechcesz. Nie mam zamiaru cię prosić. A na spotkanie i tak pójde, niezależnie od tego, czy ci się to podoba, czy też nie. I wypraszam sobie...

- Dobrze już, dobrze - zreflektował się trochę. - Żartowałem z tym Markiem, to przecież stary facet.

Niewiele starszy od ciebie, pomyślałam. I wcale nie jestem już pewna, czy tak naprawdę brakuje mi twojego towarzystwa i obrażonych min. Ale głośno powiedziałam:

- Zastanów się więc i daj mi znać, co postanowiłeś. I postaraj się już nie żartować w ten sposób, bo chyba zmieniło ci się poczucie humoru. Dobranoc!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zadymione, małe pomieszczenie było wypełnione niemal po brzegi. To chyba jeden z niewielu jeszcze lokali, gdzie można palić papierosy, pomyślałam z niechęcią. Szkoda, że akurat taki wybrał Mark.

Może sprawiły to palące się na każdym stoliku świece, a może sam nastrój panujący w klubie, ale po chwili dym z papierosów przestał mnie szczypać w oczy. W ogóle przestałam go czuć. Dałam się porwać atmosferze.

Trio niemłodych już muzyków grało jakieś standardy jazzowe, wyraźnie się przy tym bawiąc. Zupełnie nie przeszkadzał im gwar panujący na sali. Pianista, kontrabasista i perkusista porozumiewali się między sobą bez słów, kiwnięciem głowy, znaczącym uśmiechem. Nie mogłam oderwać od nich oczu.

Mój towarzysz przeprosił mnie na moment i z tajemniczym wyrazem twarzy odszedł od stolika. Po chwili zauważyłam, jak wita się z muzykami na estradzie. Całowali się w policzki, co zawsze mnie śmieszyło u mężczyzn w Paryżu, poklepywali po plecach i szturchali przyjacielsko w ramię. Jak starzy dobrzy znajomi, jakimi najwyraźniej byli.

Mark pomachał mi z uśmiechem dłonią i usiadł przy perkusji. Chwilę jeszcze naradzał się z przyjaciółmi, a następnie rozpoczął solo na bębnach. Po chwili dołączył kontrabasista, a tuż po nim pianista. Ze zdumieniem odkryłam, że panowie improwizują na tematy chopinowskie. *Preludium e-moll*, ze swoim miarowym, chromatycznie schodzącym akompaniamentem, aż prosi się o jazzowe przeróbki. Wystarczyła lekka modyfikacja rytmu oraz melodii, aby przekształcić ten utwór w najprawdziwszą, rozkołysaną, wręcz erotyczną sambę. Jakby napisał go jakiś brazylijski kompozytor.

Potem nastrój zmienił się radykalnie: zabrzmiała radosna, bardzo rytmiczna etiuda *Ges-dur op. 25*, przekształcona przez muzyków w zadziorny ragtime, a na koniec pierwszy chopinowski mazurek, ozdobiony pięknym solem kontrabas. Uderzeniem w talerze Mark zakończył ten niespodziewany występ.

- Poznałaś, co to za standardy? - zapytał, siadając przy stoliku.

- No wiesz - udałam, że dotknął mnie do żywego. - Może nie skończyłam muzykologii, ale nie jestem też głucha. To były jakieś chopinowskie wariacje?

Przytaknął.

- Nie do końca nasze, ale też dodaliśmy coś od siebie.

- Zauważyłam.

- Może się to wydawać świętokradztwem... - uśmiechnął się niepewnie.

- Dlaczego? Uważam, że z jazzem jest Fryderykowi bardzo do twarzy.

- Dokładnie. Na jego harmonicznym pomysłach między innymi ten gatunek powstawał. Ale bywają też przeróbki, hm., jakby to powiedzieć?

- Ryzykowne? - zasugerowałam.

- Istne dziwolągi - zaśmiał się głośno Mark. - Wyobraź sobie, że spotkałem się z organową wersją *Etiudy Rewolucyjnej*, gdzie partia lewej ręki odgrywana była na klawiaturze nożnej. Ta partia jest bardzo skomplikowana nawet w oryginale, nieustające pasaże przez dwie, trzy oktawy. Organista wyglądał, jakby tańczył albo jakby mu się bardzo chciało siku i przebierał nogami. Trochę to osłabiało dramatyczny wydźwięk utworu.

- Nie wierzę - powiedziałam. - To brzmi jak skecz z Monty Pythona.

- A jednak - pokiwał rozbawiony głową. - Trzeba to było widzieć.

Do domu wróciłam późną nocą albo, co bardziej odpowiadało prawdzie, wczesnym rankiem. W towarzystwie Marka czułam się tak dobrze, że nawet nie zauważyłam, kiedy ten czas upłynął. Gdy odprowadzał mnie pod bramę na Ferdinand Duval, budziły się już pierwsze ptaki.

- Naprawdę musisz już wracać do Trigny? - spytał, kiedy zaczęłam wystukiwać kod wejściowy do bramy. - Moglibyśmy powtórzyć taki wieczór, jest tyle jeszcze ciekawych miejsc w Paryżu do zobaczenia. Co ty na to?

Przypomniałam sobie rozmowę z Tadeuszem, jego obrażony głos i niejednoznaczną odpowiedź na pytanie, czy przyjedzie, czy też raczej nie. Miałam czas, Claude był zajęty, więc sama nie mogłam ruszyć z naszymi poszukiwaniami. Co mi tam! - pomyślałam. Niecodziennie otrzymuje się propozycję spotkania od tak interesującego i, przyznałam to w duszy, przystojnego faceta. Raz się żyje.

- Prawdę mówiąc, nie muszę - odwróciłam się do niego z uśmiechem.

- Nikt tam na mnie nie czeka. Co proponujesz?

Nazajutrz umówiliśmy na stacji metra St. Paul, w pobliżu mieszkania Sophie i Claude'a. Wcześniej, z samego rana zadzwoniłam do Trigny i uprzedziłam gospodarza, że zatrzymam się jeszcze na dzień lub dwa w Paryżu.

- W porządku - odpowiedział z pełnymi ustami, najwyraźniej zastałam go przy śniadaniu. - I tak mam teraz takie urwanie głowy w pracy, że nie mógłbym ci poświęcić zbyt wiele czasu. Korzystaj z pobytu, a gdybyś coś ciekawego znalazła, dzwoń natychmiast.

Mark stał przy wyjściu z metra, przystojny i wytworny jak model z zurnala. W pierwszej chwili miałam ochotę wrócić pędem do domu i przebrać się w coś bardziej gustownego, na szczęście w porę uświadomiłam sobie, że niczego takiego tam nie znajdę. Wzięłam ze sobą tylko parę rzeczy na zmianę, głównie bieliznę osobistą i podkoszulki, a w szafach Sophie nie miałabym odwagi grzebać.

- Pozwolisz się zaprosić na obiad? - spytał, składając w pośpiechu przeglądaną właśnie gazetę. - Wybór restauracji należy do ciebie.

Może jestem lekko przeczulona, ale wydawało mi się, że przechwyciłam jego szybkie spojrzenie na moje dzinsy i niebieski, markowy wprawdzie, ale tylko podkoszulek.

- Restauracja?... - udałam, że się zastanawiam. - Wiesz, to mi bardziej pasuje na wieczór. Mam ochotę na coś mniej wykwintnego. Może McDonald's?

Zgorszone spojrzenie Marka wystarczyło mi za odpowiedź.

- No tak... Może w takim razie chińszczyzna? Lubisz? W pobliżu jest mała chińska knajpka z przyjemną obsługą i fajnym klimatem.

Niewielki, przytulny lokal z czerwonymi lampionami w oknie i uśmiechającym się cały czas właścicielem znajdował się zaledwie dwie przecznice dalej. W środku panował przyjemny półmrok, mimo ostrego jeszcze, choć już jesiennego słońca na zewnątrz. Jedzenie było pyszne a rozmówca niezwykle interesujący. Pozbyłam się resztek wątpliwości, czy dobrze zrobiłam, zostając dłużej w Paryżu.

- Możemy przejść się śladami Chopina po mieście, jeśli chcesz. Chyba że wolisz pójść do Luwru. Zdaje się, że otwarto tam jakąś nową wystawę. - Mark spojrzał na mnie pytająco, sięgając jednocześnie po ciasteczko z wróżbą.

- Wolę jednak ślady Chopina, będą teraz bardziej na temat - przyznałam, krusząc w palcach swoje ciasteczko. - I jaką tam proroczą sentencję znalazłeś? - dodałam, widząc, że rozwija papierek.

- „Szczęście jest zwykle w zasięgu ręki - zaczął czytać - ale bywa płochliwe jak motyl”. A u ciebie? - wyciągnął szyję w moim kierunku. Poczulałam zapach drogiej wody kolońskiej.

- „Szczęście...” - zaczęłam i przerwałam nagle zdumiona - ja mam to samo...

- No, no... - Pokiwał głową z udawaną powagą. - Głębokie i wielce znaczące. Zastanówmy się więc nad tym naszym szczęściem. Może nie należy podejmować zbyt pochopnych decyzji? - dodał, całkiem już poważnie.

Poczulałam się niezręcznie. Czyżby domyślił się, że coś psuje się w moim związku z Tadeuszem? Ale przecież wszystkie pary przechodzą kryzys po jakimś czasie i jest to normalny stan rzeczy. Przecież u nas to tylko chwilowe...

Zdałam sobie nagle sprawę, jak bardzo brakuje mi Tadeusza, jego specyficznego poczucia humoru, ciepła i nawet tej

irytującej manieri, z jaką zaczynał zawsze wykład na każdy temat, jakby pozjadał wszystkie rozumy. Cholerny wszystkowiedzący!

- Coś się stało? - Spojrzenie brązowych, usianych złotymi cętkami oczu na moment mnie zahipnotyzowało. Co dziwne, nie było ono uwodzicielskie, ale ciepłe i przyjazne. Z przyjemnością stwierdziłam, że czuję się przy Marku niemal tak, jak przy Tadeuszu: bezpiecznie i miło. A przynajmniej, jak przy Tadeuszu z początków naszej znajomości.

- Posmutniałaś nagle. - Mark nie spuszczał ze mnie wzroku. - Nie chciałbym być wścibski, ale czy dotyczy to twojego męża?

- Tak, jego - wzruszyłam ramionami. - Ale nie jesteśmy małżeństwem. Od dwóch lat jesteśmy parą, wydawało mi się nawet, że wręcz idealną, a tu ostatnio stale się kłócimy. Myślałam, że ten wyjazd zbliży nas do siebie na nowo, ale jest jeszcze gorzej. I jeszcze, jakby na złość, akurat właśnie teraz Tadeusz musiał wrócić do Polski. Oczywiście ma do mnie pretensje, że nie wróciłam razem z nim. Poza tym, zrobił się nagle zazdrosny. Dawniej taki nie był.

Poczułam nagle wyrzuty sumienia, że opowiadam o tym zupełnie obcemu mężczyźnie, ale za bardzo mnie to wszystko bolało. Przypomniałam sobie naszą ostatnią, nieprzyjemną rozmowę i zrobiło mi się smutno. Co się z nami stało? A może to moja wina?

- Halo, tu Ziemia! Tu Ziemia! - Mark postukał paznokciem w stolik.

Spojrzałam na niego trochę nieprzytomnym spojrzeniem.

- Przepraszam, zamyśliłam się.

- Nie przejmuj się aż tak bardzo, myślę, że to po prostu tak zwany kryzys wieku średniego. A może i ty zachowujesz się

inaczej, a on właśnie potrzebuje więcej uwagi z twojej strony? Niemal każdy mężczyzna w pewnym wieku czuje się mniej atrakcyjny, mniej męski i boi się odrzucenia. Zaczyna być nieprzyjemny, żeby w razie czego być tym pierwszym, który zerwie związek. Wiem coś na ten temat - dodał gorzko.

A to dobre, pomyślałam. Wygląda na to, że spotkały się dwie osoby „na zakręcie”. Nie miałam jednak odwagi go wypytywać. Mark milczał chwilę, bębniąc w zamyśleniu palcami w blat stołu.

- Nie wiem, dlaczego ci to wszystko mówię - uśmiechnął się lekko - ale wydaje mi się, jakbyśmy się znali od lat. Chyba potrzebowałam dziś takiej przyjaznej duszy jak ty. Nawet silni mężczyźni - wypiął pierś z udawaną powagą - mają swoje chwile słabości.

- Czyżbyś i ty... - zaczęłam ostrożnie.

- Tak - wpadł mi w słowo. - Mój obecny związek też jest chyba lekko zagrożony. Tak to przynajmniej odczuwam i przyznam, że bardzo cierpię z tego powodu. Mam już za sobą parę nieudanych związków, w tym małżeństwo, które rozpadło się wyłącznie z mojej winy.

- Teraz przynajmniej wiesz, jakiego błędu nie powinieneś powtarzać. Jeśli się kochacie, to wszystko da się naprawić.

- Nie, tego samego błędu z całą pewnością nie popełnię. - Pokręcił głową ze smutkiem. - To nawet niemożliwe...

Przez chwilę wydawało mi się, że chce jeszcze coś dodać, ale nagle zmienił temat.

- OK - klepnął dłonią w stolik - szkoda dnia. Chodźmy na spacer. Bardzo się cieszę, że cię spotkałem - dodał, obejmując mnie ciepło, kiedy wstawałam z krzeselka. - Po raz pierwszy od paru dni czuję się lekki i radosny.

Pod wpływem jego dotyku poczułam miły dreszczyk, który wywołał gęsią skórę na mojej skórze. Mark miał w sobie coś, co jednocześnie ciągnęło mnie do niego i odpychało. To było nieznane mi dotąd odczucie. Niemniej jednak bardzo przyjemne.

Ulica Rivoli była ruchliwa i zapchana, jak zwykle o tej porze. Szum przejeżdżających samochodów utrudniał rozmowę, a grupki kolorowych, hałaśliwych turystów potęgowały jeszcze hałas. Ruszyliśmy w stronę Hôtel de Ville, siedziby magistratu Paryża.

- Widzisz ten parking tutaj? - Mark zwrócił moją uwagę na obszerny plac wypełniony szczelnie samochodami, niedaleko ratusza. - Wygląda bardzo nowocześnie, prawda? Wyobraź jednak sobie, że kilka lat temu, podczas jego budowy, odkryto tu celtyckie albo rzymskie, nie pamiętam dokładnie, cmentarzysko.

- Naprawdę? - Zaświeciły mi się oczy, bo zawsze lubiłam takie historie.

- Tak - zadowolony z mojego zainteresowania ciągnął dalej. - Chodziłem tu niemal codziennie i obserwowałem prace archeologów, bo oczywiście budowa parkingu musiała zostać wstrzymana. Mam nawet gdzieś zdjęcia, które wtedy robiłem. Głęboko w dole odsłonięte były kamienne nagrobki z wpisanymi w okrąg, chyba jednak celtyckimi, krzyżami. I brązowe kości. Widziałem tylko te długie, udowe.

- Niesamowite. - Popatrzyłam na parking, jakbym chciała przeniknąć go wzrokiem w głąb. - Może nadal są tam jeszcze jakieś groby?

- Nie sędzę. Teren został z pewnością dokładnie zbadany, zanim zalano go betonem pod przyszłą budowę. A kości gdzieś pochowano albo przeniesiono do katakumb, bo tam zwykle przenoszono szczątki z rozkopanych cmentarzy. Nie mam pojęcia, prawdę mówiąc.

Ulicą przejechała karetka pogotowia SAMU, porażając nasze uszy przenikliwym jazgotem. Niemal ogłuchłam na chwilę, ponieważ ambulans zwolnił nieco przy nas, czekając, aż jadące ulicą samochody zjadą na bok. Przechodząca obok wycieczka japońskich turystów niemal jednocześnie zatkała uszy dłońmi. Starsze, filigranowe babcie krzywiły się przy tym niemiłosiernie.

- Chyba wolę wieczorne spacerować - przyznałam, kiedy po przejeździe karetki zapanowała niemal martwa cisza. Szum i odgłos klaksonów samochodowych wydawały się teraz znacznie cichsze niż poprzednio.

- Wieczorem też możemy przecież się przejść. - Mark chwycił mnie pod ramię. - Porywam cię na cały dzień. - Teraz pokażę ci pierwsze mieszkanie Chopina, a właściwie kamienicę, w której mieszkał tuż po przybyciu do Paryża.

Minęliśmy zabudowania Luwru, następnie skręciliśmy w małą Rue de Valois, biegnącą wzdłuż Pałacu Królewskiego i znajdujących się tam ogrodów.

- Teraz możemy bezpiecznie tędy przejść - Mark z zadowoleniem pełnił rolę przewodnika - ale w czasach Chopina można było zostać oblanym zawartością nocników, zwłaszcza wieczorem. Podobno nawet synowie Ludwika Filipa opróżniali je wprost na ulicę przez okna Palais Royal.

- To niemal tak jak w średniowiecznym Krakowie. - Popisałam się wiedzą.

- Dobrze, że żyjemy w XXI wieku. - Mark z zabawną miną strzepnął niewidoczny pyłek ze swojej marynarki od Armaniego albo innego słynnego kreatora mody. - Oj, dobrze...

Czułam się trochę jak Kopciuszek przy tym wytwornym, pachnącym drogą wodą kolońską mężczyźnie i nie mogłam nie zauważyć spojrzeń mijających nas kobiet. Co widziały? Wysokiego, wysportowanego, lekko szpakowatego bruneta i niepozorną, drepczącą u jego boku lekko zadyszaną blondynkę (zadbałam o odrosty) w dżinsach, rozdeptanych adidasach i podkoszulku. I nie pierwszej już młodości, niestety.

Żartując i śmiejąc się głośno, doszliśmy do bulwaru Poissonnière, gdzie, po jego południowej stronie, nadal stoi pięciopiętrowy budynek, na którego najwyższym piętrze mieszkał młody kompozytor.

- Wysoko miał, nie ma co... - mruknęłam zaskoczona.

- I pewnie bez windy.

- No tak, bez - odparł Mark. - Wprawdzie miał piękne widoki na cały niemal Paryż, ale to wchodzenie po niekończących się schodach szybko przekonało go do zmiany mieszkania. Poza tym, jego uczennice również się na nie skarżyły. Musiał więc szybko znaleźć inne lokum. Mieszkanie przy Cité Bergère było już wprawdzie na drugim piętrze, ale za to ciemne i wilgotne, co jak wiadomo, dla chorego Chopina nie było najlepszym miejscem.

- Skąd o tym wszystkim wiesz? - spytałam zdumiona.

- Przecież nie jesteś Francuzem, tylko Amerykaninem, jeśli dobrze pamiętam.

- Dobrze pamiętasz. Ale moja matka była rodowitą Francuzką i często zabierała mnie do Paryża. Nie muszę chyba dodawać, że była też wielbicielek Chopina?

- No tak, teraz wszystko jasne - pokiwałam głową w zrozumieniu. - Stąd pewnie twoje zainteresowanie muzyką i znakomita znajomość języka.

- Zaraz tam znakomita - machnął lekceważąco ręką - po prostu w naszym domu mówiło się równocześnie po francusku i angielsku. Mama do końca nie nauczyła się poprawnej angielszczyzny. Zmarła rok temu. Na raka - dodał nagle ze smutkiem.

Przytuliłam go bez słowa. Ten wysoki, przystojny mężczyzna wyglądał w tej chwili jak mały chłopczyk, którym, gdzieś tam w środku, nadal chyba był.

- A potem - szybko pozbiierał się i wrócił do wcześniejszego tematu - poprawiła się jego sytuacja, poznał dużo osób z tak zwanego towarzystwa i już nie wypadało mu mieszkać w takich warunkach. Przeprowadził się więc na elegancką Chaussée d'Antin.

- Ale zmarł chyba gdzie indziej?

- Tak, przy placu Vendôme. To było jego ostatnie mieszkanie. To jak - wziął mnie pod ramię - idziemy tam, żeby już zakończyć naszą podróż „Szlakami mieszkań Fryderyka Chopina”?

- Nie, błagam - jęknęłam - może jutro, nie czuję już nóg. Usiądźmy gdzieś, proszę.

- Dobrze. Proponuję więc Tuileries, tam pewnie często odpoczywał Chopin. Będziemy cały czas w temacie. - Mrugnął porozumiewawczo.

- To w końcu jego dzień.

- Daleko stąd? - skrzywiłam się.

- Daleko - przyznał - ale na szczęście wymyślono metro.

Wieczorem zjedliśmy jeszcze kolację w małej, tym razem greckiej restauracji w Dzielnicy Łacińskiej i kompletnie już

wykończona wróciłam do apartamentu przy Ferdinand Duval. Zatrzymaliśmy się przed bramą wejściową. Po drugiej stronie wąskiej uliczki, pod murem, spał niemiłosiernie rozczochrany i brudny kloszard, owinięty równie brudnym kocem nieokreślonego koloru. Na odgłos naszych kroków poruszył się niespokojnie, a potem, mruczając pod nosem jakieś przekleństwa, odwrócił się do nas tyłem.

- To do jutra? - Mark pocałował mnie w policzek i dłużej niż była taka potrzeba przytrzymał moją dłoń w swojej. - Spędziłem dzisiaj cudowny dzień, dziękuję ci bardzo.

- Powinnam już chyba wracać do Trigny - zawahałam się przez moment. - Ale ja też świetnie się dziś bawiłam i chętnie bym to powtórzyła. Zadzwoń jutro, zaraz po śniadaniu i powiem ci, co postanowiłam. Wszystko zależy od Claude'a. Mam przecież w stosunku do niego pewne zobowiązania.

Przyznam jednak, że perspektywa spędzenia jeszcze jednego dnia z Markiem nie była dla mnie niemiła...

Ale to nie za sprawą Claude'a zmieniłam swoje plany. Zanim weszłam do wanny pełnej pachnącej piany, zerknęłam jeszcze na wyświetlacz komórki - jedno nieodebrane połączenie. Tylko jedno...

Sprawdziłam czas, było to o 11:45. Gdzie wtedy byłam i dlaczego nie słyszałam sygnału? Przypomniałam sobie nagle przejeżdżającą ulicą Rivoli karetkę pogotowia i wszystko stało się jasne.

- Witaj, kochanie. - Po kilku denerwujących sygnałach wreszcie odebrał. - Dzwoniłeś, ale nie słyszałam, przepraszam...

- Tak, dzwoniłem - odparł po chwili milczenia - ale pomyślałem, że pewnie nie chcesz ze mną rozmawiać, więc już więcej nie próbowałem.

Ogarnęła mnie złość, jak zwykle w takich momentach, ale szybko się opanowałam.

- Po prostu nie słyszałam. Na ulicy jest hałas, a komórkę mam w torebce... - zaczęłam się tłumaczyć, jednak sama zdałam sobie sprawę, jak to brzmi.

- Nadal chcesz, żebym przyjechał? - przerwał mi.

- A jak myślisz?

Przez chwilę w słuchawce zapanowała cisza, a potem usłyszałam charakterystyczne parsknięcie.

- Myślę, że chcesz - roześmiał się w końcu. - Chcesz tego tak bardzo, jak ja. Mam rację?

- Jak zwykle posiadasz ją na stanie - odpowiedziałam naszym ulubionym powiedzonkiem. - Masz ją, draniu. Przyjeżdżaj jak najszybciej.

- Załatwione. Postaram się być tam możliwie jak najszybciej. Kocham cię...

Mark był trochę zawiedziony, ale zrozumiał i nawet wyglądało na to, że cieszy się razem ze mną.

- To może dobra wróżba i dla mnie - powiedział. - Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze przed waszym powrotem do Polski? Pomyślcie o tym.

Odprężona po pachnącej kąpieli usiadłam na kanapie z uśmiechem na twarzy i z komórką w ręce, na wypadek, gdyby Tadeusz chciał jeszcze raz zadzwonić. Było już wprawdzie

zbyt późno, jednak za nic nie chciałabym przegapić jego ewentualnego telefonu.

Powiedział: „kocham cię”. Tak dawno sobie tego nie mówiliśmy. Dwa proste słowa, a tak potrafią zmienić wszystko. Nagle świat wydał mi się piękniejszy niż jeszcze dzień temu. Towarzystwo Marka wprawiło mnie wprawdzie w dobry nastrój, ale Mark to nie Tadeusz. Brakowało mi jego ciepła, bliskości i zapachu. Jak ja mogłam pomyśleć nawet, że mam go już dość?

Salon pogrążony był w półmroku. Stojąca obok kanapy lampa rzucała tylko ciepły, żółty krąg na moje kolana i miękką wykładzinę podłogową, a w głębi majaczyły niewyraźnie kontury starych mebli. Przez wąskie, wysokie okna wychodzące na ciemne podwórze wpadała niebieskawa poświata księżycy, a przez uchylone drzwi do jadalni majaczył portret Marie, odbijając od swojej olejnej powierzchni słabe refleksy światła. Coś cicho trzasnęło w głębi apartamentu, stuknęło i zachrobito. Pewnie myszy, prawdziwa zmora takich starych budynków.

Tak „gada” zwykle ta XVII-wieczna kamienica, pomyślałam, leniwie wdychając delikatny zapach konwalii. Salon wypełnił się perłowo szarym światłem.

- Wygląda na to, że znów wróci do poszukiwań. - Młoda, staroświecko ubrana kobieta zwróciła się półgłosem do siedzącego w głębi, przy kominku, mężczyzny. Ten wysunął się na chwilę z cienia i pocierając wydatny nos, zaśmiał się cicho: Sam jestem ciekaw, co znajdzie...

Komórka spadła mi z kolan i boleśnie uderzyła w gołą stopę. Poderwałam się przestraszona i zmarznięta. Cienie w salonu' pogłębiły się, za oknem słyhać było jeszcze szcęk my-

tych sztucców i talerzy w restauracji na dole. Było już bardzo późno. Ruszyłam, zeszywniała lekko, do sypialni.

- Znajdę coś, jeśli mi w tym pomożesz, Marie - powiedziałam półgłosem, przechodząc obok jej portretu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Po powrocie do Trigny z trudem powstrzymywałam się przed wejściem na stryszek nad gabinetem. Obiecałam jednak Claude'owi, że poczekam na jego powrót z pracy. Poza tym, chciałam też, żeby obecny był przy tym Tadeusz, którego spodziewałam się tego popołudnia.

Najważniejszym jednak powodem był po prostu brak drabiny.

Gdyby nie to, pewnie weszłabym tam po cichutku, nie przyznając się nikomu i niczego nie ruszając. Żeby tylko wiedzieć wcześniej, czy moje podejrzenia były słuszne. Musiałabym jednak prosić pana Singha o drabinę, a to wykluczałoby działanie w tajemnicy. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko czekać.

Z listami Marie w garści znów usiadłam na tarasie przed zamkiem. Było jeszcze wczesne przedpołudnie, ale słońce grzało jeszcze dość mocno. Ostatnie dni lata. Zza wysokiego kamiennego muru dobiegały mnie stłumione odgłosy przejeżdżających z rzadka samochodów i kombajnów wracających z winnic. W zamyśleniu wyłowiłam łyżeczką pszczołę pływającą w filiżance z herbatą.

Durnoto, dmuchnęłam delikatnie na pełznącego po drewnianym blacie stołu mokrego owada, przecież nie słodzę, cze-

go tu szukałaś? Z kąta ogrodu doleciał przyjemny zapach rosnących tam ziół. Wyrazny zapach tymianku, który Sophie lubiła dodawać do potraw z jaj.

Ciekawe, czy Marie lubiła prace w ogrodzie? Może chodziła tymi alejkami między różnokolorowymi rabatkami, przysiadła na kamiennych ławeczkach w cieniu drzew?

Tajemniczy stryszek, przyjazd Tadeusza i spędzony właśnie weekend w Paryżu, wszystko to sprawiało, że nie mogłam skupić się nad jej listami. Odłożyłam poźólkę kartki do drewnianej szkatułki.

- Poczekasz, Marie? - szepnęłam cichutko, mając irracjonalną nadzieję, że jest gdzieś w pobliżu i mnie słyszy. - Jeszcze wrócę do twoich listów. Gdybym tylko wiedziała, czy ty w ogóle chcesz, żebym odkryła twoją tajemnicę...

- Pani coś do mnie mówiła? - Singh stanął nagle przede mną z sekatorem w ręku i dziwnym wyrazem twarzy. Nawet nie zauważyłam, kiedy podszedł.

- Nie, nie - pokręciłam przecząco głową - ja tak tylko do siebie.

- Aha... - mruknął pod nosem i wrócił do swoich zajęć. Właśnie obcinał wybijające gałązki krzewu z kwiatami przypominającymi nasze malwy. Rozrósł się tak, że zasłaniał niemal całkowicie kamienne schodki prowadzące z tarasu do ogrodu, zasłaniał też widok na inne rośliny. W kącie tarasu rosły, wtulone niemal w załom grubego muru, kwitnące co roku kamelie. Te piękne kwiaty, o niemal porcelanowych płatkach, urzeakały mnie zawsze swoim chłodnym pięknem.

Pszczoła rozkładała mokre skrzydełka, suszyła je w promieniach słońca, żeby w końcu wzbić się ciężkim lotem w powietrze. Tymczasem Singh skończył już przycinanie krzewu.

Schodki do ogrodu zasłane były mnóstwem świeżych liści i zapachniało jak przy stryżeniu trawy.

Rozleniwiona ciepłem i napływającymi z ogrodu zapachami sięgnęłam znów po listy Marie, usiłując skupić się na ich formie, a nie na treści. Podobały mi się rysunki na marginesach, zdradzające rękę artystki. Oto twarz starej kobiety z brodawką na policzku - nie trzeba mieć wielkiej wyobraźni, żeby odgadnąć jej charakter: złośliwie zmrużone oczy, nieszczerzy uśmieszek. Marie była świetną obserwatorką.

A tu, proszę, salon ze zgromadzonymi w nim gośćmi. Nie wygląda to na przyjęcie, raczej na spotkanie starych znajomych wspominających dawne dzieje. Poniżej dyliżans, wyraźnie przechylony na bok. Pewnie opisywała jakiś wypadek w lesie, bo w tle zaznaczone były kontury drzew. Ciekawe... Ale ten list poczytam wspólnie z moimi panami. Zaczekam.

Na jeszcze innej z kartek wytworna suknia ze strzałkami objaśniającymi poszczególne jej części. Przybliżyłam rysunek do oczu, ale drobnutki literki były ledwie widoczne i zapisane skrótowo tak, że tylko osoba, która była na bieżąco z ówczesną modą, mogła je zrozumieć.

Przetarłam zmęczone powieki i znów odłożyłam listy do pudełka. Niestety, nieprzespana noc dawała o sobie znać. Gdy po niespodziewanej drzemce na kanapie, poprzedniej nocy przeniosłam się do sypialni, sen ulotnił się nagle i przewracałam się na łóżku niemal do rana. Kiedy udało mi się w końcu usnąć na chwilę, za oknem słychać już było pierwsze ptaki. To już nie te czasy, kiedy człowiek na drugi dzień czuł się tak rześko, jakby przespał co najmniej osiem godzin. Postanowiłam zdrzemnąć się trochę w swoim pokoju na górze, jeśli chciałam być w miarę przytomna wieczorem.

Tadeusz przyjechał po południu, niemalże w porze obiadu, który przygotowała nam nieoceniona kucharka, pani Leclerc. Długo staliśmy wtuleni w siebie bez słowa. W końcu, całując mnie w czubek głowy, wyszeptał drżącym lekko głosem:

- Boże, jak ja za tobą tęskniłem... Myślałem, że zwariuję, myśląc o tym, co robisz z Markiem. Że...

- Ja też tęskniłam - przerwałam, przytulając się do niego mocniej. - A z Markiem...

- Nie chcę wiedzieć. Nic nie mów! -Ale...

- Nie, zamknijmy ten rozdział. I zacznijmy wszystko od nowa. Najważniejsze, że teraz znów jesteśmy razem. I proszę, nie kłóćmy się więcej.

Zrezygnowałam z prób tłumaczenia, że z Markiem nic się nie wydarzyło. Nic, o co musiałby być zazdrosny Tadeusz. Nawet gdybym została dłużej w Paryżu. Nic się nie stało, ale Tadeuszowi dobrze zrobi odrobina niepewności - uśmiechnęłam się w duchu do własnych myśli. Taka zazdrość nawet mi trochę schlebiała. Poczulałam się bardziej kobieco.

Zmieniłam temat i opowiedziałam mu dokładnie o znalezionym w Paryżu modlitewniku i moich podejrzeniach co do stryszku nad dawną pracownią Marie. Tadeusz zapalił się natychmiast do poszukiwań, musieliśmy jednak poczekać z tym na Claude'a.

Podczas obiadu nasz gospodarz był bardzo podekscytowany. Mówił niemal z pełnymi ustami, co mu się zdarzało niezmiernie rzadko albo wręcz nigdy.

Kochani, kończymy obiad i idziemy przeszukiwać stryszek, póki jasno. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem

przekonany, że coś tam możemy znaleźć. Chyba że czujesz się zbyt zmęczony po podróży? - Popatrzył niepewnie na Tadeusza. - Zawsze możemy to przełożyć na jutro.

- Wykluczone. - Ten pokręcił zdecydowanie głową. - Czuję się świetnie. Ale - dodał z lekkim zdziwieniem - wydawało mi się, że już tam kiedyś zaglądałeś. Czyżbyś odkrył to pomieszczenie dopiero teraz?

- Nie, oczywiście, że nie - Claude machnął widelcem - ale wtedy nie zastanawiałem się nad tym wszystkim. Były tam jakieś połamane graty i zakurzone deski, ale nie wydawały mi się interesujące. Sądziłem, że to pozostałości po dawnym remoncie stryszku, jakieś resztki, których nikt wtedy nie wyrzucił.

- A teraz?

- A teraz podejrzewam, że to mogły być obrazy Marie... Pół godziny później, z drabiną pod pachą, wchodził już wąskimi schodami na wieżyczkę, a my za nim.

Prostokątna kłapa wejściowa na strych stawiała z początku lekki opór, w końcu otwarła się gwałtownie z trzaskiem, posypując głowę Claude'a białym pyłem. Były to prawdopodobnie resztki farby, pozostałe w szczelinach po malowaniu sufitu.

- O... Merde! - usłyszeliśmy stłumiony głos Claude'a, tkwiącego górną połową ciała w otworze.

- Co?! - Zaczęliśmy oboje wspinać się po szczeblach drabiny. Okruszek tynku wpadł mi przy tym do oka, ale potarłam tylko powiekę niecierpliwym gestem. - Co się stało?

- Ciemno... Zapomniałem wziąć latarkę... Tadeus, byłbyś tak dobry?

- Oczywiście - w głosie Tadeusza nie usłyszałam wprawdzie entuzjazmu, ale ktoś musiał tę latarkę przynieść.

- Leży w sieni, na oknie. Przy stojaku na parasole.

- A jak wygląda ten stojak?

Claude wysunął głowę z otworu i spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- No, jak to, jak wygląda? Jak pelikan.

- Aha... - mruknął Tadeusz, wzruszył ramionami, ale już bez słowa zaczął schodzić na dół. Miał sporo czasu, żeby po drodze przypomnieć sobie, jak wygląda pelikan.

Po paru minutach był już z powrotem, z ogromną latarką w ręce. Weszliśmy oboje na strych, gdzie w półmroku, w którym niewyraźnie jaśniało tylko małe, owalne okienko o zakurzonych szybkach, czekał już na nas Claude. Wszelkie próby otwarcia tego okienka spełzły jednak na niczym. Wydawało się, że zostało zabite gwoździami na amen albo sklezione zaschniętą farbą, której resztki łuszczyły się na drewnianych framugach. Claude zaśwycił latarkę i omiótł szerokim strumieniem światła niewielkie pomieszczenie.

Pierwsze, co rzuciło nam się w oczy, to wirujące w świetle drobinki kurzu. Następnie zaczęły wyłaniać się poszczególne fragmenty strychu: ukośne ściany z wiszącymi wszędzie brudnymi pajęczynami, spróchniałe deski podłogi, leżące na niej połamane krzesło i kilka desek, które po bliższych oględzinach okazały się resztkami sztalug.

Poculiśmy dreszczyk emocji.

Bez wątpienia mieliśmy przed sobą sztalugi Marie.

- A obrazy? - Nie wytrzymałam, rozglądając się niecierpliwie dookoła.

W ciemnym kącie, przykryty grubą tkaniną, stał jakiś sporych rozmiarów przedmiot. Po zdjęciu ciężkiej, zakurzonej kotary naszym oczom ukazała się stara drewniana skrzynia z metalowymi okuciami na rogach i kilkoma zamkami na froncie. Dwa solidne uchwyty po bokach wskazywały na to, że był to raczej kufer podróżny, a nie zwykła skrzynia.

Nagromadzony od lat kurz wzbił się w górę przy zdejmowaniu ciężkiego materiału.

- A tego tu - Tadeusz wskazał na kufer, kichając przy tym głośno - naprawdę przedtem nie widziałeś? Jak to możliwe?

Claude z wyrazem niedowierzania na twarzy podszedł ostrożnie do znaleźnika.

- N... nie... O, mon Dieu... Nie miałem pojęcia...

Przez chwilę stał zaskoczony, spoglądając to na nas, to na skrzynię.

- Prawdę mówiąc - odezwał się, wciąż jeszcze oszołomiony - uwierzyłem na słowo Singhowi, że nic ciekawego tu nie ma i tylko zerknąłem na to wszystko ze schodów. Myślałem, że to tylko resztki starych gratów i śmieci niewarte uwagi. A niech mnie...

Kichnął potężnie, wydmuchał głośno nos w chusteczkę i schował ją do kieszeni, kręcąc przy tym z niedowierzaniem głową.

- No, dobrze... - Tadeusz wciąż wyglądał na nieprzekonanego - ale jak mogłeś nie zauważyć tego kufra? Przecież jest dość duży?

- Było ciemno, pewnie dlatego. Może pomyślałem, że to jakiś stolik, bo połamane krzesła widziałem.

Zdaliśmy sobie nagle sprawę, że stoimy tak i dyskutujemy na mało istotne teraz tematy, jakbyśmy nie mieli odwagi otworzyć tajemniczej skrzyni.

I tak właśnie było.

Nie mieliśmy odwagi.

Pierwszy ochłonął Tadeusz.

- Nadejszła wiekopomna chwila... - mruknął po polsku i puścił do mnie oko.

- Co takiego? - Nie zrozumiał Claude. - Co powiedziałeś?

- Powiedziałem, że czas już przekonać się, co jest w środku. Zaczynaj, ty tu jesteś gospodarzem.

Claude dotknął ostrożnie wieka skrzyni. Przez trwającą całą wieczność chwilę bałam się, że zamki okażą się być zamknięte, a klucza, oczywiście, nie będzie. Ale nie. Zamek zazgrzytał tylko nieprzyjemnie i rozsypał się podczas unoszenia pokrywy.

Wszyscy troje jednocześnie nachyliliśmy się nad otwartym kufrem, zderzając się przy tym głowami. Żadne z nas jednak nawet tego nie zauważyło. Skrzynia wypełniona była niemal po same brzegi ubraniami.

- Ubraaania... - jęknęłam z zawodem. - Myślałam, że...

- Czekaj, czekaj... - Claude wsunął rękę do środka, aż po łokieć - jest tu też coś twardego. To mogą być obrazy, ale musimy odsłaniać po kolei wszystkie warstwy, żeby niczego nie uszkodzić.

Na samym wierzchu leżała granatowa, spłowiała suknia z aksamitu, wykończona pod szyją misterną koronką.

- Patrzcie, jaki piękny wzór. - Z nabożeństwem dotykałam delikatnych węzełków łączących poszczególne nitki tego małego arcydzieła. Panowie spojrzeli na mnie nieprzytomnym

wzrokiem. No tak, zrozumiałam i z westchnieniem odłożyłam suknię na bok. Kobieta wykazałaby więcej entuzjazmu w takiej sytuacji.

Następna suknia była czarna i już skromniejsza. Z gabardyny i bez żadnych dodatków. Dalej, kilka obszernych halek, które pewnie szeleściły kiedyś przy każdym kroku i wełniana, niegdyś biała peleryna. W głębi znaleźliśmy też słomkowy, rozsypujący się w palcach kapelusik z czarnymi wstążkami.

- To pewnie jej ubrania z panieńskich lat - powiedziałam, bardziej do siebie niż do moich towarzyszy, którzy wyjmowali właśnie pierwszy, owinięty w serwetę prostokątny kształt. Claude, trzęsącymi się z emocji rękami, zaczął odwijać pakunek. W świetle latarki błysnęła olejna powierzchnia obrazu.

- Zapakujmy to wszystko z powrotem i znieśmy cały kufer na dół. - Tadeusz przejął dowodzenie.

Zadanie okazało się jednak dość trudne do zrealizowania. Ciężka skrzynia z trudem mieściła się w otworze, istniała też obawa, że drabina nie utrzyma takiego ciężaru. Nie mówiąc już o tym, że osoba stojąca na niej nie poradzi sobie sama.

- Przecież jakoś tę skrzynię wniesiono na górę, to znaczy, że się da - zachęcałam Claude'a i Tadeusza.

- Tak, ale przedtem były tu dość solidne schody - przypomniał Calude.

Fakt, zapomniałam. Singh przecież wspominał mi o tym. Ponieważ mnie panowie nie brali pod uwagę przy znoszeniu kufra, musieliśmy więc zawołać na pomoc pana Singha. Hindus przyszedł natychmiast i wspiął się po drabinie.

- A nie lepiej wyjąć wszystko z kufra i znieść to po kolei na dół? - spytał zdziwiony, patrząc na obu mężczyzn, którzy zrobili nagle niewyraźne miny.

Nikommu z nas nie przyszło to do głowy. Kompletne zaćmienie umysłu.

Teraz prace ruszyły już pełną parą. Claude wyjmował rzeczy ze skrzyni, podawał je stojącemu na drabinie Singhowi, a ten dalej Tadeuszowi, który układał wszystko delikatnie na podłodze. Mnie przypadła w udziale rola biernego obserwatora.

No, może prawie biernego, bo żadna siła nie byłaby w stanie powstrzymać mnie przed odwinieniem choćby jednego z obrazów. Spod starego materiału, prawdopodobnie resztki zasłony lub też obrusa, wyłonił się pięknie namalowany bukiet przekwitających róż w kryształowym wazonie. Pojedyncze, bladoróżowe płatki leżały na koronkowej serwecie, na jednym z ciężko zwisających pełnych kwiatów siedział jakiś owad z delikatnymi, przezroczystymi skrzydełkami.

- Patrzcie, jakie to piękne - jęknęłam, podnosząc obraz do góry.

Z otworu w suficie wychyliła się natychmiast brudna twarz Claude'a.

- Zostaw! Razem będziemy oglądać. To niesprawiedliwe!

- Claude ma rację. - Tadeusz wyjął mi obraz z rąk. - To nie fair.

Trudno było odmówić im racji, ale jestem przekonana, że oni na moim miejscu zrobiliby dokładnie to samo. Zajął się więc ubraniami, odkładając je starannie na kupkę.

Oprócz sukien, które już widziałam na górze, w kufrze była jeszcze krótka pelerynka obszyta wyleniałym futerkiem o nieokreślonym już dziś kolorze i para wysokich bucików zapinanych na guziczki. Był też pakiet papierów, prawdopodobnie szkiców i rysunków, przewiązany na krzyż sznurkiem.

Kiedy kufer został już opróżniony, panowie niemal bez wysiłku znieśli go na dół. Claude uznał, że mebel nadaje się jeszcze do konserwacji i może ozdobić w przyszłości któreś z pomieszczeń na zamku.

Teraz ostrożnie zabraliśmy to wszystko do biblioteki, największego pomieszczenia na parterze. Tam bez przeszkód mogliśmy rozłożyć wszystkie skarby na podłodze przykrytej tureckimi chodniczkami o spokojnych, stonowanych kolorach.

- Kochani. - Claude popatrzył na nas z tryumfem. - Myślę, że mamy co uczcić, niezależnie od tego, co tu znajdziemy. Idę po szampana.

Umyliśmy czarne od kurzu ręce i wróciliśmy do biblioteki, gdzie Claude otwierał właśnie butelkę miejscowego trunku. Szampan był produkcji zaprzyjaźnionego producenta win, dobrego sąsiada Claude'a.

- Za Marie! - Wznieśliśmy kieliszki w górę.

- I za to, co tu znajdziemy... - Spojrzałam znacząco na rozłożone na podłodze skarby.

- Za to też!

Po spełnieniu toastu Singh wymówił się pilnymi pracami w ogrodzie, a my, odstawiwszy kieliszki na tacę, zaczęliśmy odpakowywać zawiniątka.

Na pierwszy ogień poszły obrazy, co sugerował sam kształt pakunków. Rzeczywiście, były to płótna malowane prawdopodobnie przez Marie. Przeważała martwa natura. Były też jednak pejzaże przedstawiające okolice Trigny, pagórki z winnicami, a nawet znana mi już skarpa, tyle że dużo większa i wyższa. Poznałam jednak miejsce po otoczeniu. Pobliski lasek był znacznie młodszy, ale z pewnością to ten sam lasek.

Ciekawe, czy Marie też wykopywała skamieliny na tej' skarpie?, uśmiechnęłam się w duchu do siebie. Młoda malarka stawała mi się coraz bliższa.

Jeden z obrazów przedstawiał wiosenny ogród, sądząc po kwitnących właśnie kwiatkach, ale nie był to ogród Sophie i Claude'a. Na kamiennej ławeczce pod drzewem siedziała młoda dziewczyna w białej sukni i słomkowym kapelusiku na głowie. W jednej ręce trzymała nad głową małą parasolkę z falbankami, w drugiej książkę. Promienie słoneczne przeświecające przez lekki materiał sprawiały wrażenie, jakby parasolka dziewczyny świeciła własnym blaskiem. Wyraz zacytowania na pięknej twarzy kobiety był tak wiernie oddany, że aż westchnęliśmy z zachwytem.

- To pewnie prababka Sophie, siostra naszej Marie. - Claude'owi z wrażenia zaschło w gardle i musiał sięgnąć po kieliszek. - A może też autoportret?

Jeden z obrazów był wyraźnie niedokończony. Marie prawdopodobnie zajęła się innym, ten zostawiając na później albo po prostu przestał jej się podobać. Mały obrazek przedstawiał bukiet konwalii w czymś, co miało być zapewne zielonym flakonikiem, ale zaznaczone było tylko pojedynczymi smugami na płótnie.

- Ciekawe, dlaczego go nie skończyła? - zastanowił się głośno Claude, sięgając znów po butelkę. Wszyscy troje spoglądaliśmy teraz na obraz, sącąc przyjemnie orzeźwiające bąbelki. Na usta cisnęły się nam pytania, na które nikt już pewnie nie znał odpowiedzi.

- Dlaczego te obrazy zostały schowane na strychu? Powinny przecież wisieć tu, na tych ścianach. Są takie piękne...

- Wygląda na to, że ktoś schował je po to, żeby zapomnieć o Marie. Ukarać ją w ten sposób. - Tadeusz wyraził to, o czym wszyscy chyba myśleliśmy. - Podejrzewam, że jej ojciec.

- Tak... Ale jednak nie miał odwagi ich zniszczyć - myślałam głośno. - Mógł przecież je spalić, porąbać i wyrzucić na śmieci, ale tego nie zrobił. Schował, żeby mu jej nie przypominały, nie sądzicie? Myślę, że on też cierpiał. Zawiodła go w jakiś sposób i właśnie tak zareagował.

Tadeusz zaśmiał się głośno i przygarpnął mnie do siebie.

- Ech, ty... Potrafisz każdego rozgrzeszyć i wytłumaczyć. Przecież to była jego córka. Cokolwiek by nie zrobiła, powinien był jej wybaczyć.

- Zapominasz, kochanie, że to inne czasy. Jeśli, jak to podejrzewamy, miała nieślubne dziecko, była to z pewnością plama na honorze całej rodziny. Miał jeszcze drugą córkę, którą musiał wydać za mąż. Opinia publiczna mogła go sprowokować do takiego, a nie innego zachowania. Nawet jeśli przez to cierpiał. A podejrzewam, że cierpiał, skoro schował pamiątki po córce, zamiast je wyrzucić. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby przychodził tu po kryjomu i...

Obaj panowie skrzywili się tak, jakby ich rozbolały zęby, przerwałam więc obrażona. Długo jednak nie mogłam się gniewać, ponieważ dalsze odkrycia kazały nam zapomnieć o ojcu Marie.

Po odłożeniu na bok obrazów przyszła kolej na przewiązany sznurkiem pakiet. Tak jak podejrzewaliśmy, były to rysunki i szkice do obrazów. Na jednym z nich rozpoznaliśmy szkic zrobiony do sceny w ogrodzie. Delikatna kreska ukazywała tą samą młodą kobietę, tyle że bez parasolki w ręce. Widocznie Marie postanowiła ten szczegół dodać później.

Z pliku rysunków wysunął się jeden, na widok którego wszystkim nam zabrakło tchu w piersiach. Wnętrze salonu zaznaczone było oszczędną kreską, za to pianista siedzący przy fortepianie oddany był bardzo dokładnie. Wysoko uniesione dłonie ze smukłymi palcami zawisły nad klawiaturą niczym para drapieżnych ptaków. Rysunek przypominał bardziej karykaturę niż szkic do obrazu, ale i tak można się było doszukać podobieństwa w rysach pianisty.

- Widzicie jego nos? - z trudem wydobyłam głos ze ściśniętego gardła. - Widzicie...?!

- Fakt, długi ten nos - Tadeusz był nieco sceptyczny - ale skoro to karykatura...

- W karykaturze uwypukla się jakieś charakterystyczne cechy - nie dawałam za wygraną. - Nos musiał mieć długi, skoro go tak przejęskrawiła.

- Czy ja wiem... - mój miły nadal nie był przekonany, czym wzbudził moją złość. Dlaczego nie mógł przyjąć do wiadomości, że to mógłby być Chopin, do cholery?

- Czekaście, czekaście - wtrącił się Claude - tu jest jakiś podpis.

- Gdzie?! - Natychmiast zapomniałam o urazie i nachyliłam się nad rysunkiem, zasłaniając złośliwie widok Tadeuszowi.

Istotnie, w dole kartki widniał podpis skreślony ołówkiem, ledwie widoczny spod warstwy brudu.

Claude podszedł z rysunkiem do okna i poruszając nim we wszystkie strony, zaczął odczytywać napis.

- Hmm... coś tam... - mruczał pod nosem - ...P, a może R, podczas koncertu. Trudno to odszyfrować.

- Co „coś tam”? Może „ktoś tam”? - Wspinałam się na palce, żeby zerknąć mu przez ramię.

- Tak, to chyba ktoś, a nie coś, masz rację.

- Kto? Są jakieś inicjały? Imię albo nazwisko?

- Nie, to wygląda na pierwszą literę imienia lub nazwiska. Chyba P...
Chociaż nie, czekajcie, to może być F.

- F...?! F jak... Fryderyk?

- Może być F jak Filutek - Tadeusz zaśmiał się nerwowo, ale widać było, że udzieliło mu się nasze podniecenie.

- Jaki fyluteke? - Claude powoli wymówił trudny wyraz i popatrzył całkiem poważnie na Tadeusza.

- Nie, to był żart. Przepraszam. Pokażcie mi to. - Wziął kartkę od Claude'a. - Tak, to może być F. Cholera, czyżbyś rzeczywiście miała rację...?

F jak Fryderyk. Mam cię, mój kochany.

- To może być Chopin, ale nie podniecaj się tak bardzo. -Tadeusz ochłonął nieco i najwyraźniej znów szukał zwady. - Skarbie, nie rób takiej miny. Nie przeczę, że to pewnie on, ale o czym to świadczy? Tylko o tym, że była na jego koncercie i miała możliwość narysowania tej karykatury.

- Ale... - usiłowałam jeszcze zaprotestować, sama jednak zdałam sobie sprawę, że Tadeusz może mieć rację.

- Nie zapomnij, że to był rok 1832 albo 1833 - kontynuował. - Wiemy, że Chopin przebywał wtedy w Paryżu, zatem ich spotkanie w tym czasie jest bardzo prawdopodobne. Marie pewnie bywała na koncertach, może nawet znali się osobiście, nie świadczy to jednak jeszcze o tym, że byli kochankami.

- Ale też nie wyklucza takiej teorii - burknęłam niezadowolona.
- Nie, nie wyklucza - zgodził się łaskawie. -1 nie potwierdza. Claude przyglądał się naszej dyskusji z uśmiechem.

- Wy tak zawsze? To znaczy, zawsze się tak kłócicie?

- Nie kłócimy się, tylko mamy odmienne zdania, czasami. Moja dziewczyna reaguje bardzo spontanicznie i ma nieraz szalone koncepcje, a ja staram się trochę to wszystko studzić, bo jak nie wyjdzie coś po jej myśli, to jest prawie bliska załamania.

Żartując i dopijając szampana, wróciliśmy do przeglądania zawartości kufra. Oprócz kilku jeszcze szkiców do znanych nam obrazów i paru ciekawych rysunków, nie znaleźliśmy już nic szczególnego. Żadnych notatek osobistych, liścików ani dalszych podobizn pana F.

Obrazy Claude postanowił oddać do konserwacji i przywrócić im należne miejsce w zamku, miejscu urodzenia Marie.

- A co z modlitewnikiem? - zapytał nagle Claude podczas kolacji. - Mam nadzieję, że przywiozłaś go z Paryża?

Przez moment wpadłam w panikę, ale szybko przypomniałam sobie, że zaraz po przyjeździe do Trigny wyjęłam go z torby i położyłam na stoliku przy łóżku.

- Tak, przywiozłam. Będziemy go teraz przeglądać?

- Nie - Claude ziewnął dyskretnie. - Przepraszam, ale jeśli o mnie chodzi, to mam dość wrażeń na dziś. Jutro też jest dzień. Musicie mi tylko obiecać, że zaczekacie z tym do mojego powrotu z pracy.

Obiecaliśmy ochno, bo prawdę mówiąc, też czuliśmy się wykończeni. Zaraz po kolacji poszliśmy do swojej sypialni.

- Czekam tu na ciebie. - Tadeusz, pachnący świeżo po szybkim prysznicu, uśmiechnął się uwodzicielsko, gładząc miejsce obok siebie na łóżku. - Pospiesz się, kochanie...

Kiedy wróciłam, ociekając jeszcze wodą, spod baldachimu dobiegało miarowe pochrapywanie mojego mężczyzny.

Wsunęłam się cichutko pod kołdrę i przytuliłam delikatnie do jego pleców. Poruszył się sennie, ale po chwili odwrócił w moją stronę, całkiem już rozbudzony.

- No chodź, skarbie. Tak długo na to czekałem...

WIEJSKA POSIADŁOŚĆ POD PARYŻEM, ROK 1832

Dylizans przyjechał dopiero późnym wieczorem.

Zanim to jednak nastąpiło, zaczęto przypominać sobie o zbójcach grasujących w okolicznych lasach, ktoś tam słyszał nawet mrozącą krew w żyłach historię o wilkołaku napadającym na młodych mężczyzn. Zaniepokojeni domownicy i zaproszeni goście wyglądali bez przerwy przez okna na drogę prowadzącą do wiejskiej posiadłości ciotki Marie, wiadomo było bowiem, że młody człowiek miał wyjechać z Paryża wczesnym przedpołudniem.

- Co też mogło mu się przydarzyć po drodze? - Marie nerwowo wyciągała nitki z koronkowego szala, który dała jej ciotka jako ochronę przed wieczornym chłodem. - Przecież obiecał, że przyjedzie. Coś musiało się stać...

- ...i podobno ci młodzi chłopcy zostali potem znalezieni... - z lubością kończył właśnie swoją opowieść jeden z kuzynów dziewczyny.

- Dajże już spokój z tymi opowieściami o wilkołakach! - ciotka przerwała mu niecierpliwie. - Sam jesteś wilkołak. Nie wierzę w takie bzdury. Usiądźmy lepiej w salonie i zagrajmy w karty. Jestem pewna, że lada chwila sprawa się wyjaśni. I że wilkołak nie ma z tym nic wspólnego. - Tu spojrzała groźnie na swojego bratanka, który najwyraźniej znów miał zamiar zabrać głos.

Marie wraz z wujostwem i kilkoma zaproszonymi osobami już od tygodnia spędzała czas w ich wiejskiej posiadłości, kilkanaście kilometrów od Paryża. Kto żyw uciekał teraz z miasta przed szerzącą się epidemią cholery. Niepokojące wieści dobiegały wprawdzie z ubogich dzielnic, ale nigdy nie było wiadomo, kiedy choroba zaatakuje i te bogatsze.

- To jest choroba nędzy i brudu, nie mamy się czego obawiać - uspokajał rodzinę wuj, który zaopatrzony w woreczek z kamforą, chroniący ponoć przed zarazą, wychodził codziennie na miasto i nasłuchiwał wieści.

Kiedy jednak dotarła do nich wiadomość, że serdeczna przyjaciółka domu, kobieta z towarzystwa i z bogatej dzielnicy, zmarła w straszliwych boleściach w ciągu paru niemal godzin, ciotka wyjechała z Paryża najszybciej, jak tylko mogła.

Zaprosiła na wieś i młodego muzyka z Polski, który obiecał przyjechać w tę właśnie niedzielę i pozostać tak długo, jak tylko gościnnie pani domu zechce go zatrzymać.

I to na niego właśnie czekano teraz z takim niepokojem.

Nim jednak na dobre rozpoczęto grę, za oknami rozległo się skrzypienie kół powozu i chrzęst żwiru pod kopytami koni.

Dyżans z hałasem zatrzymał się na podjeździe przed wejściem do domu.

Marie wybiegła pierwsza i z ulgą zobaczyła, jak z powozu wyłania się brudny, ubłocony i zmęczony, ale przecież żywy gość.

- Co się stało, na Boga?! - pytania wykrzykiwane przez wszystkich zgromadzonych przed domem ludzi krzyżowały się z chaotycznymi odpowiedziami woźnicy, jego pomocnika i pasażera.

- Wejźmy do środka - wuj, jak zwykle pierwszy zapanował nad sytuacją - tam się pan umyjesz, przebierzesz w suche rzeczy, zjesz coś i dopiero wtedy opowiesz nam, co się wydarzyło po drodze.

Blady, zmęczony mężczyzna uśmiechnął się z wdzięcznością do gospodarza i wszedł do środka, starając się nie zostawić brudnych śladów na podłodze. Ubłocony był bowiem nieprawdopodobnie.

Tymczasem służba zabrała już bagaże z dyżansu, a przed domem został woźnica otoczony wianuszkami ciekawych wrażeń gości. Najwyraźniej czuł się niekwestionowanym bohaterem wieczoru. Pomocnika odgonił niecierpliwym gestem, kładąc mu rękę na ramieniu.

- A tu nagle, jak trzasło... - powtarzał już po raz kolejny, coraz większy nacisk stawiając na „trzasło”. - No, jak trzasło, powiadam państwu, to żem myślał, że koniec z nami. Trzeba się żegnać z życiem, Julianie mój drogi - tak sobie pomyślałem, bo mi właśnie Julian...

- Ale co tak w końcu trzasło? - Nie wytrzymał kuzyn Marie. - Ktoś wystrzelił z broni, zbójcy jacyś czy co?

Woźnica, niezadowolony, że mu się przerywa, zaczął powoli ścierać błoto z nogawki spodni. Wylał brudną dłoń o drugą, jeszcze bardziej chyba ubłoconą nogawkę i kontynuował urażonym tonem.

- A skąd ja mógł wtedy wiedzieć, co tak trzasło? Trzask był ogromny, jak nie wiem co, i zaraz po tym powóz zaczął staczać się do rowu. - Mężczyzna najwyraźniej nie miał zamiaru szybko skończyć swojej relacji.

Słuchacze wstrzymali oddech. Zrozumieli, że wszelkie próby przyspieszania tej opowieści tylko ją wydłużą.

- Mówiłem, że zbójcy - szepnął ktoś na końcu.

- A może jednak wilkołak? - nie tracił nadziei pryszczaty kuzyn. - Może tak traskał paszczą...

W grupie zgromadzonych gości zapanowało małe zamieszanie. Ktoś najwyraźniej uciszył wielbiciela wilkołaków mocnym kuksańcem w bok. Chwilę trwały drobne przepychanki, w końcu jednak wszystko się uspokoiło.

- Dowiemy się wreszcie, co się tam stało, dobry człowieku? - poważny głos gospodarza, który przystanął właśnie z boku, przywołał w końcu woźnicę do porządku.

- Noo... Ośka pękła... To się stało - pytany niechętnie zakończył swoje opowiadanie.

- Eeee... - jęk zawodu speszył go jeszcze bardziej, szybko więc ruszył do wejścia dla służby i tyle go widziano.

Okazało się, że rzeczywiście pękła oś, i to w samym środku lasu, z dala od wszelkich zabudowań. Obciążony nierówno dyliżans wpadł do głębokiego rowu z wodą, a właściwie z błotem powstałym po niedawnych ulewach. Woźnica, jego młody pomocnik i niezbyt rośli muzyk musieli radzić sobie sami. Na szczęście w powozie jeździła zawsze skrzynka z narzędziami,

więc po kilku godzinach koło zostało naprawione, najwięcej problemów było jednak z wypchnięciem dyliżansu z rowu. Trzeba było zdjąć cały bagaż, żeby konie zdołały wyciągnąć wóz. Ich kopyta ślizgały się jednak po błocie, zwierzęta były coraz bardziej spanikowane i poganianie ich ostro batem wcale nie polepszało sytuacji.

Kiedy w końcu, popychany z jednej strony przez mężczyzn i ciągnięty z drugiej przez konie, powóz stanął wreszcie na drodze, zaczynało już zmierzchać.

Wszystko to podczas kolacji opowiedział już młody muzyk - odświeżony, chociaż nadal zmęczony ogromnie. Nie przetrzymywano go zbyt długo. Zaraz po posiłku poszedł do swojego pokoju, ale podnieceni goście do późna nie udawali się na spoczynek.

Wszyscy przenieśli się do salonu, gdzie przypominano sobie przeróżne przygody i wydarzenia związane z podróżowaniem. Brat gospodarza, starszy już mężczyzna o bujnych bokobrodach, uraczył wszystkich opowieścią o wyprawie do Ameryki Południowej, gdzie jako przyrodnik zbierał ciekawe okazy motyli do swoich zbiorów. Ktoś inny wspomniał o Afryce, w której, jak powiadają, mieszkają jednorożce, smoki z głową zdobioną drogocennymi klejnotami oraz rosną mandragory, które krzyczą, gdy je wrywać z ziemi.

- A ja słyszałam - wtrąciła starsza pani, której z przejęcia aż wypieki wystąpiły na twarzy - że w Afryce mieszka lamparthus, bardzo krwiożercza bestia, ale jak spotka na swej drodze dziewczycę, to łagodnieje jak baranek i płacze ze wzruszenia.

- Gdzie to wszystko słyszałaś, moja duszko? - Mąż nachylił się w jej kierunku, zakłopotany spojrzeniami rzucanymi przez młodych ludzi.

- No... nie wiem... ktoś mi to niedawno opowiadał...

- A było też o ludziach mających oczy na piersiach albo o takich, co to mają zamknięte usta i odżywiają się rurkami przez nos?

- Tak, tak! - ucieszyła się pulchna niewiasta. - Sam widzisz, ty też to słyszałeś!

- Czytałem ci o tym niedawno, moja droga. O tym właśnie, jak w średniowieczu ludzie wyobrażali sobie Afrykę. Chyba już nawet Pliniusz w starożytności o tym wspominał. Zresztą o tych smokach i jednoroźcach też. Pan - tu zwrócił się w kierunku mężczyzny siedzącego w kącie pokoju, który opowiadał wcześniej o Afryce - musiał trafić na ten sam artykuł w „Les Voyages”.

- No cóż... - przyznał zagadnięty, oblewając się rumieńcem - to musiało być pewnie w tym artykule, jak sędzę. Wypadkiem całkiem wpadł mi w ręce niedawno...

Straszy mężczyzna, ubrany w znoszony, szkarłatny surdut z koronkami pod szyją i przy rękawach, ocknął się nagle w fotelu i rozejrzał wokół siebie niezbyt przytomnym wzrokiem.

- Jakie smoki i jednoroźce? To już nie wilkołaki? Chyba coś przeoczyłem.

Kiedy wprowadzono mężczyznę w sedno dyskusji, ten uśmiechnął się pod wąsem i przez chwilę coś ważył w myślach. Strzepnął niewidoczny pyłek z czarnych aksamitnych spodni, poprawił białą pończochę i zadowolony z efektu nabrał głośno powietrza w płuca.

- A wiecie - zaczął tajemniczo - że z tymi jednoroźcami w Afryce to wcale nie takie bajki, jakby się nam mogło wydawać?

Przerwał dla wzmocnienia efektu swoich słów, wyraźnie napawając się widokiem niedowierzania malującego się na

twarzach słuchaczy. - Mam przyjaciela w Paryskim Towarzystwie Geograficznym - podjął wątek na nowo - które powstało dziesięć lat temu. Opowiadał mi o wyprawach do Afryki i o żyjących tam zwierzętach. Myślę, że ludzie w średniowieczu tak właśnie opisywali nosorożca, który ma przecież jeden róg na głowie.

- Chyba na nosie, łaskawy panie - popisał się wiedzą młodzieniec czytający „Les Voyages”.

- A nos nie na głowie? - Starszy pan poczerwieniał z irytacji. - Może na plecach?

- Na twarzy, to znaczy, chciałem powiedzieć: na pysku. Ale nie na głowie - nie dawał za wygraną młody człowiek.

- Panowie... - Gospodarz uderzył dłonią w oparcie fotela.

- Panowie! - powtórzył głośniejszym głosem, widząc, że starszy mężczyzna aż wstał z miejsca i zbierał się do ciętej odpowiedzi. - Dajcież spokój z tymi kłótniami. A z tym nosorożcem to masz pan chyba rację - dodał szybko, chcąc ułagodzić starszawego pana.

- Tak właśnie mogli w średniowieczu opisywać to zwierzę.

- No tak, nosorożec-jednorożec, bo ma jeden róg. - Domyślnie pokiwał głową wielbiciel wilkołaków. - A smoki? Na smoki też znalazł wytłumaczenie?

- Prawdę mówiąc, nie pytałem go o to - staruszek ochłonął nieco i rzucając jeszcze nieprzyjazne spojrzenia w kierunku młodego oponenta, podjął na nowo temat - ale opowiadał o krwiożerczych bestiach żyjących w tamtejszych rzekach, o krokodylach. Może to te smoki właśnie.

Drzwi do salonu uchyliły się lekko i ukazała się w nich gospodyni.

- To wy jeszcze nie śpicie? - zdziwiła się, widząc całe prawie towarzystwo rozparte na kanapach i w fotelach. Nikt ani

nie myślał o spaniu. Wszyscy z uwagą wsłuchiwali się w słowa starszego mężczyzny, ledwie zauważając wejście pani domu.

- Ciociu - Marie podbiegła do niej i chwyciła za rękę - usiądź z nami i posłuchaj, jakie ciekawe rzeczy opowiada pan Lemartine. O Afryce i o strasznych zwierzętach, które tam żyją.

- Najstraszniejsze nie są tam jednak zwierzęta, ale tubylcy.

- Starszy pan wrócił do swojej opowieści, kiedy namówiona przez Marie ciotka usiadła już wygodnie na kanapie. - To za ich przyczyną, a nie zwierząt, zginęło w Afryce najwięcej podróżników. To są dopiero krwiożercze bestie. Opowiem państwu historię...

- Drogi panie - przerwał mu gospodarz podejrzanym tonem - a czy ci podróżnicy wybierali się tam w pokojowych zamiarach? Nie porywali oni czasem młodych ludzi, żeby ich potem sprzedać jako niewolników?

- No... - speszył się pan Lemartine - niektórych pewnie tak, ale to dzikusy przecież...

- Dzikusy, nie dzikusy, ale byli u siebie i uważam, że mieli prawo się bronić. Nieważne teraz. - Machnął ręką wuj Marie.

- Opowiadaj pan tą swoją historię. Ciekaw jestem okrucieństw tych tubylców.

- Otóż historia dotyczy wielkiego podróżnika, szkockiego lekarza Mungo Parka - kontynuował starszy pan lekko obrażonym tonem. - Wyruszył on do Afryki na poszukiwanie rzeki Niger, o której wiadano tylko, że istnieje, ale nikt do niej wcześniej nie dotarł...

- Może każę przygotować coś do picia? - scenicznym szeptem spytała gospodyni, patrząc na męża. Ten zgromił ją jednak spojrzeniem, więc zamilkła, ziewając dyskretnie.

- Park próbował już odnaleźć tę rzekę wcześniej, wysłany tam przez Brytyjskie Towarzystwo Afrykańskie w roku 1795, o ile dobrze pamiętam - Lemartine udał, że nie zauważa oznak znudzenia u gospodyni - ale z uwagi na nadchodzącą porę deszczową i trapiącą go gorączkę, musiał wyprawę przerwać.

- I tak przerwał, nie dotarłszy do celu? - słuchacze popatrzyli po sobie zawiedzeni.

- Dotarł wprawdzie do rzeki, ale dla celów naukowych miał znaleźć jej źródła i dowiedzieć się, dokąd płynie. Nie dowiedział się jednak tego i podczas drugiej swojej wyprawy, dziesięć lat później, bo zginął zaatakowany właśnie przez okrutnych tubylców. Taka strata dla nauki... - Tu starszy pan popatrzył oskarżycielsko na gospodarza.

- Czytałem coś na ten temat. - Ten kiwnął głową. - Czy to nie jego właśnie tubylcy nazywali „wściekłym białym”?

- Nie zetknąłem się z takim określeniem.

- A ja tak. W „Les Voyages” właśnie, bodaj w jakimś zeszłorocznym numerze. Park miał broń palną, a tubylcy łuki i strzały. Uciekając przed tymi strzałami, wyskoczył z łódki do wody i tak zginął. W tej samej rzece, którą chciał poznać. To raczej pański bohater był okrutny i bezwzględny w stosunku do Afrykanów, których traktował jak żywy towar. Podobno obie jego podróże wypełnione były konfliktami z tubylcami.

- Drogi panie... - Lemartine poczerwieniał z gniewu - to był naukowiec, odkrywca i miał prawo...

- Miał obowiązek, mój panie, obowiązek zachowywać się jak człowiek w stosunku do tych biednych ludzi. Prawo mieli tubylcy.

Ciotka Marie wstała gwałtownie z kanapy i zaklaskała w dłonie.

- Kochani, idziemy spać. Jutro też jest dzień.

- No i dostał to, na co sobie zasłużył. - Nie darował gospodarz, wychodząc z salonu.

Nazajutrz rano wszystko wyglądało już inaczej. Fryderyk, wypoczęty i odświeżony, z humorem opowiadał o wydarzeniach z poprzedniego dnia. Goście siedzący przy śniadaniu zaśmiewali się głośno na widok jego popisów aktorskich.

- To cały on, jak Boga kocham... - Wuj Marie wycierał załzawione ze śmiechu oczy dużą kraciatą chusteczką. - Cały Julian!

Młodzieniec przedstawiał właśnie scenkę z lasu, kiedy to woźnica poganiał konie, swojego pomocnika i pasażera do wysiłku podczas wyciągania powozu z błota.

- Panie grajek - buczał głosem do złudzenia przypominającym głos woźnicy - to nie katarynka, tu trzeba siły. Nogami się zaprzeć i pchać. A pan tylko głaszczesz to pudło.

- Ale mistrzu... - goście nie mieli żadnych wątpliwości, że słyszą i widzą teraz drapiącego się po głowie pomocnika woźnicy - ...ale my pchamy przecież, tylko takie błoto, że nie idzie tego wypchać. Może by nam mistrz pomógł?

- Nie - zadudniło znowu. - Ktoś musi kierować tą akcją.

- Ale w końcu musiał nam pomóc - dokończył już swoim głosem muzyk - bo tkwilibyśmy tam do sądnego dnia. - Nazbieraliśmy gałęzi i rzucili w błoto, żeby koła miały lepszą przyczepność. A potem we trójkę wypchnęliśmy dyliżans na drogę.

Rozbawione towarzystwo przy stole prowokowało młodego człowieka do dalszych popisów. Każda kolejna mina muzyka wywoływała nowe wybuchy śmiechu.

- No, nie... Dawno się tak nie ubawiłam...
 - Aż mnie brzuch rozbolał...
 - Panie, aż czkawki dostałem przez pana...
 - Pan to powinien aktorem zostać...
 - Dziękuję. - Młodzieniec ukłonił się z uśmiechem. - Ale zostanę już lepiej przy swojej katarynce...
 - Bo i pięknie to panu wychodzi - rzekł gospodarz.
 - Nie tak pięknie, jak bym tego pragnął.
 - Zbytek skromności. Podobno Liszt i Schumann wielce pana chwalą.
 - Przeuroczy to ludzie.
 - I wielcy muzycy, nieprawdaż?
 - Zapewne.
 - Cóż pan o nich sądzisz?
 - Sądzę, że Bach i Mozart zasłużyli prawdziwie na miano wielkich muzyków.
 - To taki z pana romantyk? - zapytał jeden z mężczyzn. Przedkładasz pan nudziarza Bacha nad fantazję Schumanna i Liszta?
 - Ja tam w ogóle nie jestem romantyczny. - Zmrużył oko kompozytor.
- Po śniadaniu goście wyszli do ogrodu, korzystając z pięknej, majowej pogody. Starannie utrzymane alejki zapraszały wręcz do spacerów wśród kwitnących drzew i krzewów, gdzie uwijały się rozświergotane ptaki.
- Marie wzięła pod rękę młodego muzyka i wolnym krokiem ruszyli w kierunku kamiennej ławeczki w cieniu drzewa. Odkąd przyjechał, nie miała okazji z nim jeszcze porozmawiać, a brakowało jej już tych niekończących się dyskusji. Fryderyk był częstym gościem w domu wujostwa w Paryżu i z dwóch

mieszkających tam panien, Marie i jej kuzynki Juliette, wolał tę pierwszą. Juliette, córka gospodarzy, była zbyt impulsywna i onieśmiałała go, podczas gdy Marie okazała się wdzięczną słuchaczką i ciekawym partnerem do rozmów.

Grywali razem na cztery ręce podczas niedzielnych obiadów, rozśmieszali się nawzajem do łez, opowiadając prawdziwe i wymyślone historyjki, nie pozostawiając przy tym suchej nitki na nielubianych znajomych. Młody człowiek zawsze jednak zachowywał się w stosunku do niej, jako do kobiety, z lekkim dystansem, co Marie miała mu trochę za złe. Twierdził, że przypomina mu ona kogoś, kogo kiedyś bardzo kochał i szanował.

Niech on już mnie tak bardzo nie szanuje, wzdychała nieraz Marie z niecierpliwością.

- Jak tu pięknie. - Rozglądał się teraz z podziwem dookoła. - Brakuje mi tylko bzów. U nas o tej porze wszędzie kwitnie bez. Na wsi, w ogrodzie mojej chrzestnej, aż duszno było od jego zapachu, zwłaszcza wieczorami...

Zamknął oczy i ciągnął dalej rozmarzonym głosem, bezwiednie poruszając przy tym palcami na kolanie, jakby grał na nieistniejącym instrumencie. - A co rano, na stole w jadalni stał wazon ze świeżo ściętymi kiściami jasnofioletowych, ciężkich jeszcze od rosy kwiatów. Albo drobnych konwalii, które w ogrodzie rozrastały się na podobieństwo chwastów. Tak jak tu. - Pokazał ręką na wyrastające nawet na ścieżce białe kwiatki. - Też wszędzie ich było pełno - uśmiechnął się do swoich myśli. - Zrywaliśmy je więc bez poczucia winy. A jak one później pachniały na stoliku przy łóżku! Sny potem były piękne/Konwaliowe i niewinne. Najbardziej jednak z wszystkich kwiatów lubiłem pierwsze, wiosenne fiołki; te rosnące

dziko w lesie. Słodko pachnące, intensywniej niż te nasze, ogrodowe...

- Tęskni pan za domem - raczej stwierdziła, niż zapytała Marie.

- Bardzo... - powiedział cicho, jakby do siebie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. Z oddali dobiegały śmiechy i nawoływania rozbawionych, młodych ludzi.

- Kocham wiosnę, lubię obserwować, jak wszystko budzi się do życia...

Próba zmiany tematu nie udała się jednak dziewczynie.

- My się tu bawimy, zachwycamy wiosną, kwiatami, a w Paryżu umierają ludzie - młody człowiek przerwał jej nieoczekiwane ze smutkiem w głosie. - Co dzień widać na ulicy wozy wypełnione po brzegi trupami. Niemal wszędzie rozchodzi się odór rozkładających się ciał. Wyjeżdżając z miasta, czułem się jak uciekinier.

Marie zamilkła w połowie zdania, zaskoczona tą nagłą zmianą nastroju u młodzieńca. Zanim jednak zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, do ławki podbiegła jej kuzynka, Juliette. Widząc młodych zatopionych w rozmowie, zrobiła domyślną minę, ale przerwała im dość bezceremonialnie.

- Marie - zawołała, chwytając ją za rękę - mamana prosiła, żeby narwać kwiatów do obiadu. Musisz mi pomóc.

Dziewczyna odprawiła ją z lekką niecierpliwością.

- Zaraz przyjdę. Za chwilę.

- Nie dajmy jej czekać. - Fryderyk podniósł się z ławki, podając ramię swojej towarzyszce. - Przepraszam, niepotrzebnie tylko zepsułem nastrój tymi ponurymi rozmyślaniami. Kiepsko ze

mnie i bałwan. Wybaczy mi pani? Marie...? - Podniósł jej dłoń do ust. Spojrzenie szaroniebieskich oczu było poważne i inne niż zwykle, a ciepło jego oddechu na skórze dłoni sprawiło, że Marie poczuła przyspieszone bicie serca. Wysunęła niezręcznie rękę z jego uścisku i pokrywając zmieszanie kaszlem, powiedziała szybko, uciekając wzrokiem w bok. - Tak, tak... ale musimy już iść. Pospieszmy się.

Ruszyli w stronę domu, rozmawiając po drodze o pogodzie, mijanych właśnie ukwieconych rabatkach i o czekającym ich obiedzie, ale była to wymuszona konwersacja. Coś sprawiło, że oboje poczuli się nagle skrępowani swoim towarzystwem.

Marie spojrzała dyskretnie na idącego obok młodego Polaka i spłoszyła się, widząc, że on zrobił dokładnie to samo. I tak samo szybko uciekł spojrzeniem.

Przyspieszyła kroku, wyprzedzając nieznacznie swojego towarzysza. Ścieżka prowadziła trochę pod górę, jako że ogród leżał na niewielkim stoku. W głębi, po lewej stronie wśród drzew, widać było zamkniętą, oszkloną szopę z dużą przestrzenią pełną światła. Pomieszczenie wydawało się być puste i zupełnie niezagospodarowane.

Wspaniałe miejsce na pracownię malarską, pomyślała Marie, oglądając się przez ramię. Muszę porozmawiać z cioteczką, może pozwoli mi tam malować.

Dziewczyna była już trochę zmęczona wiecznym gwarem panującym w domu ciotki. Ludzie kręcący się po salonie, zaglądający do kuchni, spacerujący po ogrodzie - wszystko to sprawiało, że zateśniała nagle za ciszą i spokojem zamku w rodzinnym Trigny. Tam mogła w każdej chwili zamknąć się

w swoim pokoju z książką i wyjść dopiero na posiłki nienie-pokojona przez nikogo. Jedyłą osobą, która zawsze mogła jej przerwać te chwile samotności, była jej ukochana starsza siostra.

Po śmierci matki obie dziewczynki zbliżyły się do siebie jeszcze bardziej. Ojciec, dość oschły i ciągle nieobecny, poświęcał im niewiele czasu. Kochał na swój sposób obie córki, nie umiał jednak okazać im tego uczucia, a po śmierci uwielbianej żony, zmarłej podczas trudnego, kolejnego porodu, zamknął się jeszcze bardziej w sobie.

Innym miejscem, gdzie Marie mogła się schronić przed całym światem, był pokój w wieży, który ojciec kazał przerobić na małą pracownię malarską. Wprawdzie nie komentował nigdy jej talentu, widać było jednak, że go zauważa. Pozwolił też córce na wyjazd do Paryża, gdzie mogła doskonalić się w malowaniu.

Zza drzew wyłoniła się fasada domu, pobielona wapnem, z czerwonymi, nowymi dachówkami pokrywającymi budynek na całej jego długości. W szybach okien na piętrze odbijały się promienie słońca, na parterze, przez szeroko otwarte drzwi na tarasie widać było wnętrze salonu ze stojącym blisko nich czarnym fortepianem.

Duży, prostokątny stół przykryty białym obrusem, stał już w cieniu drzew, otoczony rzędem krzeseł z wysokimi oparciami. Zwyczajny, ogrodowy okazał się za mały na tak dużą ilość gości, dlatego też służba, stękając z wysiłku, wyniosła potężny, dębowy mebel do ogrodu. Dziewczęta, na prośbę gospodyni, ustawiały na nim wazony pełne kwiatów, panowie w tym czasie zajęli się swoimi sprawami.

Część z nich, zasiadłszy na ławeczkach, przeglądała ostatnie gazety i dyskutowała zawzięcie na temat polityki, inni, paląc cygara, zastanawiali się głośno nad tym, czy epidemia cholery wygasa, czy też należy się jeszcze trzymać z daleka od Paryża. Prawdę mówiąc, byłaby to doskonała wymówka, żeby jak najdłużej cieszyć się gościnnością gospodarzy.

Tymczasem młody kompozytor zasiadł w wygodnym, trzcinowym fotelu z dala od innych i z nieodstępnym notatnikiem w ręku zatonął we własnych rozmyślaniach. Marie przyglądała mu się dyskretnie podczas zbierania kwiatów, jak zamyślony drapał się ołówkiem za uchem, potem notował coś czy też szkicował pospiesznie.

- Słyszałem kiedyś, jak gra - dobiegły do niej nagle odgłosy przyciszonej rozmowy z pobliskiej ławeczki, zasłoniętej w tej chwili rozrośniętym bujnie krzewem. - Powiem panom, że nic nadzwyczajnego, doprawdy. Nie wiem, czym się tak niektórzy zachwycają. I to nawet nie Francuz, chociaż nazwisko mogłoby na to wskazywać, ale Polak. - To ostatnie stwierdzenie zabrzmiało lekceważąco.

Dziewczyna usiłowała dojrzeć cokolwiek przez gęste listowie, ale bezskutecznie. Sądząc po głosach, siedziało tam kilku mężczyzn.

- Zgadza się z panem - charakterystyczna chrypka zdradziła tożsamość mówiącego. Bez wątpienia był to młody hrabia de Brouillard, znany w Paryżu dandys i hulaka, trwoniący majątek swojej bogatej rodziny. - Słyszałem też, że bardzo się ceni. Nie zagra dla każdego, a za lekcje, których udziela młodym paniąkom, zdiera bardziej niż inni. Francuzi, dodam dla ścisłości...

- Młodym paniąkom, powiada pan? He, he... Może on co innego zdziera? Chodzą słuchy, że teraz zainteresowany jest żywo...

Marie ruszyła gwałtownie przed siebie, gubiąc po drodze zerwane kwiaty. Energicznym krokiem przeszła obok ławeczki, budząc lekką konsternację wśród siedzących tam młodzieńców.

- To ona. Myślicie, że słyszała...? - dość głośny szept smagnął ją jak biczem, ale udała, że nie słyszy. Przyspieszyła tylko kroku, żeby jak najprędzej znaleźć się w swoim pokoju, gdzie nikt nie zobaczy jej łez upokorzenia. Nikomu nie dam tej satysfakcji, zacisnęła drobne pięści tak, że aż paznokcie wbiły jej się we wnętrze dłoni. Niedoczekanie wasze!

Podczas obiadu Fryderyk wydawał się znajdować myślami zupełnie gdzie indziej, od czasu do czasu tylko przypominając sobie, gdzie jest i chętnie usługując Marie przy stole. Potem jednak znów popadał w zadumę i bezwiednie bębnił palcami po obrusie.

- Mam pomysł na nokturn - uśmiechnął się, złapawszy jej badawcze spojrzenie. - Zainspirował mnie tutejszy nastrój. Byłoby to w H-dur. Główny temat mam już prawie gotowy -zanucił cicho - ale dopiero w głowie. Trzeba będzie sprawdzić przy fortepianie, jak to brzmi.

Po obiedzie znów zniknął gdzieś w ogrodzie ze swoim notatnikiem, Marie natomiast usiadła na tarasie z książką w ręku i białą, lekką parasolką chroniącą od słońca. Zobaczyli się dopiero przed kolacją.

Ciepły wieczór nastrajał romantycznie. Ogromny księżyc z wyraźnie widocznymi plamami wynurzył się zza chmur i oświetlił starą część ogrodu. Jakieś tajemnicze cienie przemykały bezszelestnie między drzewami, przybierając postaci kochanków szukających odosobnienia. Słysząc było ciche nawoływania i szepty.

Marie zadrżała lekko na kamiennej ławeczce i otuliła się szczelniej koronkowym szalem.

- Zmarzła pani? - zanim usłyszała cichy głos, doszedł do niej ten zapach. Zapach, który tak dobrze pamiętała i lubiła. Tylko jeden mężczyzna pachniał tak modną ostatnio w Paryżu wodą.

- Nie... - odparła również szeptem. - Tylko jakoś dziwnie mi się zrobiło. Ten wieczór jest taki, jakby miało się coś wydarzyć. Jest w nim jakieś... oczekiwanie.

W półmroku zauważyła nieśmiały uśmiech na twarzy młodzieńca.

- I ja go tak odbieram...

Szelest ubrania i mrowienie na całej skórze były dla niej sygnałem, że mężczyzna przysunął się bliżej. Poprzez szum w uszach usłyszała łomot własnego serca.

- Marie... - ciepły oddech połąskotał jej ucho. - Marie, ja... - przełknął ślinę.

- A! Tu jesteście! - głośny okrzyk Juliette i towarzyszące mu kłaśnięcie w dłonie zabrzmiały jak wystrzał armatni. Młodzi odskoczyli od siebie z przestraszaniem. - Wszyscy was szukają. Kolacja na stole!

Wieczorem, kiedy całe towarzystwo zebrało się już w salonie, młody kompozytor po długich i gorących wcześniejszych namowach zdecydował się dla nich zagrać.

- Żenują mnie publiczne występy - wyjawiał Marie podczas kolacji, gdy go o to spytała. - Podczas ostatniego koncertu w Paryżu niemal fizycznie czułem te wszystkie spojrzenia na sobie. To paraliżuje ruchy i zabiera oddech. Zaczynam się dusić.

- Ale tu jest tylko parę osób, sami przyjaciele. Proszę mi nie odmawiać. - Uśmiechnęła się z żartobliwą zalotnością.

- Dobrze - zgodził się półgłosem, nachylając głowę w jej kierunku. - Zagram dziś specjalnie dla pani.

- Ale nie tak specjalnie, jak specjalny był walc, który wpisał mi pan do sztambucha parę tygodni temu? - Dziewczyna nie mogła sobie darować drobnej złośliwości, zwłaszcza po podsłuchanej przypadkiem rozmowie podczas dzisiejszego popołudnia.

- Nie rozumiem... - Nagły rumieniec na twarzy Fryderyka świadczył o czymś zgoła przeciwnym. - Jaki walc?

- Ten, który miał być tylko dla mnie i którego miałam nie pokazywać nikomu, a który dziwnym przypadkiem odkryłam u dwóch innych przyjaciółek. I one też dostały zapewnienie, że to tylko dla nich...

- A... ten... - Młodzieniec zaczął się niespokojnie kręcić na swoim krześle. - To tak jakoś później wyszło... Bo ten dla pani, Marie, był naprawdę pierwszy i specjalny. Ale trudno mi było za każdym razem wpisywać coś nowego, a że proszących było wiele, więc...

- Tak, rozumiem. Wiem, jak pan jest zwykle oblegany przez młode panny - powiedziała to z lekką zazdrością w głosie.

- Ale żadna z nich nie jest mi tak bliska, jak pani. - Fryderyk zdążył się już opanować i zajrzał dziewczynie głęboko w oczy. - Żadna.

Marie znów poczuła jak jej kark i szyję oblewa gorący rumieniec. Sięgnęła po kieliszek z winem, żeby pokryć zmieszanie. Wydawało jej się, że wszyscy przy stole usłyszeli ich cichą wymianę zdań.

Tymczasem młodzieniec dał się wciągnąć w dialog z siedzącą po jego drugiej stronie przyjaciółką pani domu. Przyjął to z wyraźną ulgą, rzucając tylko od czasu do czasu niepewne spojrzenia w stronę Marie.

- Jakie to szczęście, że nie nadwyrężył sobie pan ręk przy wyciąganiu tego dyliżansu z błota - starsza pani zagadnęła go, widząc, że Marie zajęła się winem. - Dłonie dla muzyka to największy skarb. To taka źrenica w oku... Nie, co ja plotę - roześmiała się nagle. - To wszystko dlatego, że podziwiam pański talent. Wszyscy w Paryżu już mówią tylko o nim, ale pan jeszcze zadziwi świat, młody człowieku. Ja to panu powiadam, a ja mam nosa... - Tu dotknęła koniuszkiem palca swego całkiem wydatnego i mięsistego organu powonienia.

- Dziękuję, bardzo pani łaskawa. Nie wiem jednak, czy mam się cieszyć z tego, że mówią, czy martwić. Dużo takich, którzy mówią źle. Niestety. A co do dłoni - uśmiechnął się łobuzersko - to proszę się nie obawiać. Bardziej atakowałem powóz barkiem i kolanem, niż naprawdę go pchałem.

- Bardzo sprytnie - pochwaliła. - A tych krytykantów pan nie słuchaj. - Machnęła lekceważąco ręką. - Małe kundelki zawsze będą ujadać. Taka jest cena sukcesu. Im bardziej oczywisty talent, tym większą wzbudza zawiść u maluczkich.

Po kolacji wszyscy przenieśli się do salonu, gdzie młody muzyk z początku lekko spięty, w miarę jednak upływu czasu coraz bardziej rozluźniony, zaczął improwizować ku uciechu zgromadzonych gości. Po chwili jednak spoważniał, spojrzął na Marie i zaczął grać *Nokturn Es-dur*, jeden ze swoich najbardziej romantycznych utworów.

Dziewczyna przymknęła oczy w rozmarzeniu, poddając się sentymentalnemu nastrojowi. Część końcowa, koda z efektownym ozdobnikiem w wysokim rejestrze, zakończona pasażem, zabrzmiała dziwnie znajomo. Szklany dźwięk skojarzył jej się z odgłosem rozsypanych na kamiennych schodach pereł i zaraz, oczami wyobraźni, zobaczyła tę scenę. Kaskada spadających kuleczek, podskakujących na kolejnych stopniach, początkowo gromadnie, na koniec już tylko pojedynczo, aż do stuknięcia ostatniej perełki o gładki kamień.

Marie poczuła pod powiekami piekące łzy. Gdzieś w zakamarkach pamięci zachował się obraz pięknej kobiety, stojącej wysoko na schodach, z dłonią przyciśniętą do szyi i wyrazem zaskoczenia na twarzy. I ten właśnie dźwięk. Marie była zbyt mała, żeby pamiętać matkę, ale to musiała być ona. W szkatułce na klejnoty, która po niej została, był też sznur pereł, być może tych samych, zebranych wtedy pieczołowicie ze schodów.

Dziewczyna zacisnęła mocniej powieki i pozwoliła łzom spłynąć po policzkach.

Tymczasem pianista znów zmienił nastrój i teraz, z przesadnie poważną miną parodiował grę jednego ze swoich przyjaciół, którego wszyscy od razu rozpoznali, wybuchając śmiechem.

Dziewczyna usiadła z boku ze szkicownikiem w ręku. Szybkimi ruchami ołówka nakreśliła portret, a właściwie karykaturę muzyka. Z wysoko uniesionymi nad klawiaturą dłońmi i ostrym nosem przypominał drapieżnego ptaka, gotowego zaatakować nagle klawisze.

- Świetne, naprawdę bardzo udane - pochwalił rozbawiony muzyk, podziwiając swoją karykaturę po koncercie. - A jak dobrze uchwycone podobieństwo. I jakie złośliwe... Brawo. Teraz proszę użyć mi swojego szkicownika. Zrewanżuję się tym samym. To znaczy, portretem - roześmiał się głośno, widząc zmieszaną minę Marie. - Obiecuję nie być złośliwym. Chociaż nie wiem, czy mi się to uda - dodał z przekorą.

Portret był bardzo pochlebny i spodobał się wszystkim. Młodzieniec miał, jak się okazało, mnóstwo talentów.

Późnym wieczorem, kiedy wszyscy zaczęli rozchodzić się do swoich pokojów, młody bohater wieczoru ku rozczarowaniu Marie gdzieś znowu zniknął. Nawet nie pożegnał się na dobranoc, pomyślała z żalem. Wzięła ze stolika szkicownik, schowała do niego swój portret i ruszyła w stronę sypialni.

- Marie...? - usłyszała nagle za sobą.

W półmroku korytarza, rozświetlonego tylko żółtym płomykiem odległej lampy gazowej, majaczyła postać młodego mężczyzny w surducie i z bukietem konwalii w ręce.

- Zerwałem je specjalnie dla pani, proszę. - Podał jej bukiet. - Z życzeniami pachnących konwaliowych snów.

Konwalie pachniały upajająco. Młodzieniec miał delikatne, niemal dziewczęce usta i miękkie włosy laskoczące ją po twarzy. Całowała się z nim do utraty tchu, drżąc ze strachu, że ktoś wyjrzy na korytarz. A potem uciekła w popłochu do swo-

jego pokoju i szczęśliwa upadła na łóżko, przyciskając dłonie do rozpalonych policzków.

Sny miała piękne, konwaliowe.

I nie takie znów niewinne.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Miałam piękny sen. Marie całowała się z Chopinem, w świetle gazowej lampy, w jakimś dużym domu. Czy to było tu, w Trigny? Czułam też piękny, kwiatowy zapach...

- Wstawaj, śpiochu! - Tadeusz nachylił się nade mną i delikatnie pocałował w ucho. Załaskotało, więc skuliłam się w sobie i zacisnęłam powieki. Zapachniało mydłem i wodą po goleniu. Mój mężczyzna znów był taki jak dawniej. Czułam się lekko i szczęśliwie.

- Ojej - jęknęłam z udawanym żalem, naciągając kołdrę na głowę. - Miałam taki piękny sen. Ja chcę jeszcze spać.

- No to śpij. Daj mi tylko ten modlitewnik Marie, to go sobie sami z Claudem przeglądniemy i powiemy ci, co w nim było.

- Ha...! Niedoczekanie wasze! - Błyskawicznie wyskoczyłam z łóżka i pognałam pod prysznic.

Na dole, w jadalni, czekało już śniadanie przygotowane przez nieocenioną panią Leclerc. Skąd ona wiedziała, kiedy zejdziemy na dół?

- Słyszałam szum wody w waszej łazience, wiedziałam więc, że już bierzecie prysznic. To proste - zaśmiała się w odpowiedzi, pokazując przy tym sieć drobnych zmarszczek na pogodnej twarzy.

- To elementarne, drogi Watsonie. - Tadeusz był w doskonałym nastroju.

- Musimy czekać na Claude'a z tym modlitewnikiem? - spytał po chwili z figlarnym błyskiem w oku. - Zapomniałem, że poszedł dziś do pracy. A gdybyśmy tak...

- Nie.

- W takim razie mam więcej pytań.

Do jadalni wpadło ciepłe powietrze z ogrodu, unosząc lekko kolorową zasłonę i przynosząc zapach świeżo skoszonej trawy. Odległy warkot kosiarki zdradzał obecność Singha. Tylko my mogliśmy sobie tutaj pozwolić na późne wstawanie, inni od dawna już pracowali. Ale inni nie są na urlopie ani na emeryturze, pomyślałam z zadowoleniem, smarując kolejnego tosta dżemem z rabarbaru.

- To co robimy z tak pięknie zapowiadającym się dniem? - Włożyłam do tosterka następne kromki. Po powrocie do domu trzeba będzie przejść na małą dietę odchudzającą, obiecałam sobie w myślach. Za dużo tu jem.

- Nie wiem - odparł, przeciągając się leniwie. - Najchętniej wyłożyłbym się na leżaku w ogrodzie i poczytał książkę. A ty?

- A ja może wrócę do listów Marie, jeszcze trochę ich zostało do przeczytania.

- Miałaś tyle czasu i jeszcze nie przejrzałaś ich wszystkich? Kobieto...

- Zapomniałaś, mój drogi, że listy pisane są po francusku i nie wystarczy rzucić na nie tylko okiem, ale trzeba je jeszcze tłumaczyć. Poza tym, wyjeżdżałam do Paryża i zajęłam się tam czymś innym - przerwałam, widząc minę Tadeusza. - Nadal jednak związanym z Marie - dodałam szybko. - Nie zapominaj o znalezionym tam modlitewniku.

- Nie zapominam...

To było widać gołym okiem, niestety. Spojrzałam na niego zgaszona, ale uśmiechnął się niespodziewanie w odpowiedzi.

- OK, tylko spytałem, ale skoro tak, to zabierzmy się do nich oboje. Myślałem po prostu, że czeka nas tylko tajemnica modlitewnika, a tu proszę... Dawaj te listy.

Właśnie wynosiliśmy leżaki do ogrodu, gdy w głębi domu rozdzwoniła się moja komórka. Z początku nie zwracałam na nią uwagi, sądząc, że to jakiś ptak, kiedy jednak uświadomiłam sobie swój błąd, telefon umilkł.

- Kochanie - zaczął Tadeusz ostrożnie, walcząc ze składającym się wciąż leżakiem - nie chciałbym się wtrącać, ale mogłabyś sobie w końcu zmienić ten „ptaszkowy” dzwonek. Już nie pierwszy raz go ignorujesz i tym samym nie odbierasz telefonów, zwłaszcza tutaj. Zauważyłaś, że przeważnie dzwoniłem do ciebie późnym wieczorem?
- spytał podchwytnie.

- Zauważyłam... Tylko wtedy miałeś czas?

- Nie, skarbie. Bo wtedy wszystkie porządne ptaki już śpią i wiedziałem, że się nie pomylisz.

- Bardzo zabawne.

Nieodebrane połączenie było od Władysława, znajomego starszego pana. Utrzymywaliśmy kontakt dość sporadyczny, ale serdeczny. Władysław był człowiekiem bardzo zajęтым najrozmaitszymi, tajemniczymi sprawami. Urządzał seanse spirytystyczne, gdzie duchy już, już miały się pojawiać, gdy nagle coś im w tym przeszkadzało, sprawdzał wahadłem wszystkie kupowane w sklepach produkty, ku rozpacz i konsternacji obsługi, konstruował przedziwne urządzenia, któ-

rych przeznaczenia sam do końca nie był pewien - jednym słowem człowiek nietuzinkowy.

Wcisnęłam „połącz” i już po chwili byłam wylewnie witana przez Władysława.

- Wybacz, moja droga, że cię niepokoję za granicami naszego kraju - prawie widziałam, jak kłaniał się przy tych słowach - ale usłyszałem od twojego syna, że jesteś na tropie jakiejś tajemnicy. Czy to prawda? Może mógłbym ci w czymś pomóc?

- To bardzo miłe z twojej strony, nie wiem jednak, jak mógłbyś mi tutaj pomóc. Jesteś zbyt daleko.

- Nie zapominaj - widziałam w myślach podniesiony w górę kościsty palec - że pomogłem ci już podczas poszukiwań pradziadka...

Naprawdę?, chciałam się zdziwić, ale nie wypadło.

- Gdyby nie moje wahadełko, nie rozpoznałabyś go nigdy na zdjęciu - przypomniał skromnie.

O ile dobrze pamiętałam, to wahadełko „nie było pewne”, czy wskazuje właściwą osobę, ale niech będzie.

- No, tak... Pamiętam i jestem ci bardzo wdzięczna. Teraz niestety jesteś zbyt daleko, jak już wspomniałam i...

- Ależ to dla mnie żaden problem! Powiedz tylko, w czym rzecz, a ja sam ocenię, czy będę mógł pomóc, czy też nie. - Zniżył nagle głos. - Czy to prawda, że chodzi o... Monsieur Chopin? - Mesje Szopę zabrzmiało bardzo z francuska, na dowód, że Władysław zna ten język i w razie potrzeby nie zawaha się go użyć.

- Tak, ogólnie można powiedzieć, że chodzi właśnie o niego - przyznałam z uśmiechem w głosie. Jestem ci niezmiernie wdzięczna za chęć pomocy, ale...

- Już poczyniłem pewne rozeznanie i... - przerwał mi zadowolonym z siebie głosem - ...ale nie, nie będę uprzedzał faktów. Jeśli pozwolisz, następnym razem powiem ci, o co chodzi. Dam znać, kiedy będę gotowy, a ty oddzwonisz.

- Świetnie. - Chyba nie miałam innego wyboru. - Jeśli jednak możesz, wyślij mi to przez Internet na pocztę, bo zagraniczne rozmowy telefoniczne są jednak dość drogie.

- Pieniądze nie grają roli w takiej sytuacji - powiedział to lekko urażonym tonem. - W tak ważnych sprawach mogę rozmawiać godzinami...

Jasne. Zwłaszcza że to ja mam dzwonić.

- Mam wprawdzie dostęp do komputera od niedawna -przyznał niechętnie - i nawet bratanek próbował wyjaśnić mi zasady, ale on zupełnie nie umie tłumaczyć. Wdusiłem nie ten przycisk, co trzeba i skasowało się wszystko, co napisałem. Gdyby mi to był wytłumaczył jaśniej...

- Z pewnością pokaże ci to raz jeszcze - ucieszyłam się na wieść, że Władysław jednak ma dostęp do komputera. - Nie musisz się spieszyć, a nawet jeśli nie zdążysz teraz, to chętnie spotkam się z tobą po powrocie do Krakowa i już na miejscu omówimy wszystko wspólnie.

- Świetnie! - ucieszył się. - To może i lepiej. Będę miał więcej czasu, bo... A co tam, powiem ci tylko, że planuję seans spirytystyczny z panem Szopę.

Jeszcze przez chwilę rozmawialiśmy o zwyczajnych sprawach, o pogodzie we Francji i w Krakowie, a potem pożegnaliśmy się serdecznie. Obiecałam przekazać ukłony dla szanownego pana Tadeusza i rozłączyłam się.

- Seans spirytystyczny? - Tadeusz poprawił się na leżaku i założył okulary przeciwsłoneczne. - To może nie ma już sensu przeglądanie tych listów? Pogadasz sobie po prostu z Fryckiem i sama o wszystko go wypytasz.

Listy posegregowaliśmy według dat, żeby niczego po drodze nie przeoczyć. Na ostatnim z nich, pisanym z Paryża, widniało 16 grudnia 1833 roku. Odłożyliśmy go na koniec, bez czytania, żeby zachować chronologię. Potem korespondencja nagle się urwała albo listy po prostu zaginęły.

Mimo że byliśmy na powietrzu, czuć było wyraźnie charakterystyczny zapach wnętrza szuflady, starych pożółkłych kartek i ulotną woń czegoś nieokreślonego. Perfum? Nie, to chyba jednak niemożliwe. Po tylu latach?

Przez chwilę, w milczeniu, skupiałam się nad tłumaczeniem pierwszego listu.

- Długo jeszcze będziesz tak marszczyć brwi i mamrotać pod nosem?
- zniecierpliwiał się w końcu Tadeusz. - W takim tempie zima nas tu zastanie...

- Chcesz w miarę dokładne tłumaczenie, czy takie na oko?

- Wolałbym dokładne i szybkie. W miarę.

- Mówisz i masz. W takim razie przynieś, proszę, słownik francusko-angielski z biblioteki. Przyda się tu i twoja znajomość angielskiego. Powinien leżeć na półce po prawej stronie od wejścia - rzuciłam jeszcze za odchodzącym Tadeuszem.

Opóźnienia powodowała nie moja opieszałość, tylko tempo, w jakim tłumaczyłam te listy. Dziewiętnastowieczny francuski, niby niewiele zmieniony, sprawiał mi jednak pewne kłopoty. W ruch poszły wszystkie słowniki dostępne w biblio-

tece moich przyjaciół, łącznie z francusko-angielskim i francusko-rosyjskim.

Na szczęście większa część listów była raczej czytelna. Sprawdziłam tylko słówka, z którymi nigdy się nie zetknęłam, a które, jak się później okazało, i tak nie zmieniały znacząco samej treści.

Serce moje! - pisała Marie 27 maja 1833 roku.

Spędziliśmy całe lato na wsi, u cioteczki. Cóż za piękny okres! Dużom malowała, bo kochana nasza pozwoliła mi korzystać z małej szopy w ogrodzie, gdzie nikt nie zaglądał Pokażę Cipo powrocie moje próby.

(...) Tylu artystów nas odwiedziło, że nie dasz wiary. A między nimi On, moja miłość. Jakież jest cudny! Jak anioł jakiś! A jak cudnie gra, to aż się człowiekowi serce raduje i...

- Ależ to egzaltowana panienka. - Tadeusz skrzywił się, zerkając mi przez ramię na piękny, wyraźny charakter pisma Marie. - Że też ci to tak gładko przechodzi przez usta.

- Ależ taki był przecież wtedy styl. Nie wiem, czy pamiętasz, jak Chopin pisał do siostry, do swoich przyjaciół, a zwłaszcza do Tytusa Wojciechowskiego? Dzisiaj te listy brzmiałyby dwuznacznie, a w tamtych czasach posługiwano się właśnie taką manierą.

- Przyznam, że nie czytałem biografii Chopina. Nie znam też jego korespondencji.

- Niemal każdy list do przyjaciela kończy, zresztą nie tylko do tego jednego, serdecznym: „daj buzi”, zapewnia o swojej wielkiej miłości, całuje „prosto w usta”, przypomina, że tylko

- on mu jest najdroższy, że tęskni i myśli o nim w każdej godzinie itp.
- Żartujesz...
 - Wcale nie. Jego listy nasycone są wprawdzie erotyzmem, ale zaprawionym żartobliwością, więc nie można ich brać zbyt dosłownie.
 - Wybacz, ale nigdy bym tak nie napisał do faceta. Nawet w żartobliwym tonie.
 - Teraz pewnie nie, ale to było prawie dwieście lat temu. No i Chopin był romantykiem, ty zaś niekoniecznie... - Miało to zabrzmieć jak przytyk, ale Tadeusz nawet nie zwrócił uwagi na moje słowa.
 - A może po prostu był gejem?
 - Nie sądzę. A nawet gdyby tak, to co z tego? - obruszyłam się lekko, chociaż i mnie nieobce były podobne myśli. - Ale, jak mówię, nie wydaje mi się. Znane są jego przygody z kobietami, może nie tyle miłosne, co erotyczne. Wiadomo na przykład, że z Wiednia przywiózł pewną kłopotliwą „pamiątkę” od kobiety imieniem Teresa, co uniemożliwiło mu kosztowania zakazanego owocu w Paryżu. Przynajmniej na samym początku.
 - Skąd ty to wszystko wiesz?
 - Z książek, kochanie, z książek. Ale wracajmy do listu Marie. - Zaszleściłam kruchą kartką papieru i zerknęłam szybko do słownika. - Co my tu mamy?
- (...) Będę się z Nim spotykać w Paryżu, bo On mnie też kocha, czuję to. I chwalił moje malowanie, i obiecał, że dla mnie zagra!*

Och, moja siostró najukochańsza, jakam ja szczęśliwa! Cały świat przytuliłabym do serca!

Całuję Cię milion razy i pozdrów tam wszystkich. A Tatkę specjalnie, najczulej. Ale nie mów Mu o moim kochaniu jeszcze. Sama powiem, jak mi się mój anioł oświadczy. Pewnie już niedługo.

Całuję Twoją cudną buzię. Pa, pa, moje serce.

Twoja Marie.

- No tak, to nam Marie wsiąkła z kretesem. Teraz tylko czekać kłopotów - westchnęłam, odkładając list na bok.

- Głupia, naiwna gąska. - Tadeusz wstał i zaczął się przechadzać pod drzewem, niecierpliwie odgarniając zwisającą nisko gałązkę. - Żal mi jej, ale sama się o to prosiła. Ale żeby Chopin był takim podrywaczem, no, no... W życiu bym nie podejrzewał. - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Myślę jednak, że w tej całej sprawie chodzi o kogoś innego. Mało było wtedy kompozytorów w Paryżu?

- A ten znowu swoje... Poza tym, gdzie tu masz powiedziane, że podrywacz? Dziewczyna zakochała się w nim, bo chłopak był interesujący i utalentowany, ale nie wiemy przecież, kto zaczął. Napisała, że czuje, że on też ją kocha, a nie, że tak powiedział. Wiesz, jakie nastolatki potrafią być egzaltowane. Sam masz córkę, która też kiedyś przechodziła ten okres.

- Oj, tak - zaśmiał się na samo wspomnienie. - Wiem coś na ten temat.

- Sam widzisz. To, co napisała w swych listach Marie, nie świadczy źle o Chopinie, a wręcz przeciwnie. To tylko znaczy, że podobał się kobietom i miał w sobie to „coś”¹, co je do niego ciągnęło. Gorzej, jeśli zrobił jej dziecko i zostawił samą, na co,

niestety wygląda. Przyznam, że tego bym mu chyba nie potrafiła tak łatwo wybaczyć.

- Może uda nam się to wyjaśnić? - Tadeusz zajrzał do szkatułki. - Mamy jeszcze trochę listów. Bierzemy się za następny?

- Nie, chyba nie zdążymy. - Spojrzałam na zegarek. - Za chwilę wróci Claude. Ale... - zawahałam się - może zerknę na jeszcze jeden. Czas ucieka, a nie możemy tu przecież siedzieć bez końca. Prawdę mówiąc, nie udało nam się na razie zbyt wiele ustalić.

- Sądysz, że będziemy mieli pewność po przejrzaniu całej tej korespondencji?

Sięgnęłam po następny plik kartek.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Najdroższa}.

- ton następnego listu z 8 września 1833 roku był wyraźnie smutniejszy. Od pierwszych zdań dawało się wyczuć jakiś niepokój.

Jesteśmy już od tygodnia w Paryżu, a On się jeszcze nie pokazał. Juliette mówiła mi, że widziano Go w kawiarni, w towarzystwie jego przyjaciół artystów, o których Ci pisałam...

- Gdzie? - Spojrzeliśmy na datę. - Gdzie o tym pisała? Najwyraźniej brakowało przynajmniej jednego lub dwóch

listów pisanych jeszcze z wiejskiej posiadłości ciotki. Zagięły albo ktoś je celowo zniszczył. Czyżby zawierały jakieś szczegóły dotyczące romansu, które ktoś uznał za kompromitujące dla młodej dziewczyny? Inne wyjaśnienie nie przychodziło

nam do głowy. Podekscytowani, zaczęliśmy na nowo przeglądać zawartość pudełka i układać listy według dat.

- Dzień dobry! - W otwartych drzwiach salonu stał Claude, osłaniający dłonią oczy przed słońcem. Nawet nie usłyszeliśmy jego samochodu. - Co tam macie ciekawego? - Ruszył w naszym kierunku. - Mam nadzieję, że to nie modlitewnik?

Uspokoiliśmy gospodarza, który przycupnąwszy na brzegu mojego leżaka zaczął przeglądać razem z nami listy ze szkatułki. Poszukiwania nic jednak nie dały. List albo listy, w których Marie pisała o artystach, a może nawet o romansie, po prostu zniknęły.

Claude nie miał żadnych wątpliwości.

- Musiała je zniszczyć siostra Marie, żeby nie wpadły w ręce ich ojca. A to z kolei świadczy o tym, że musiało być w nich coś na temat romansu.

Trudno było odmówić logiki jego stwierdzeniu.

- Albo po prostu zaginęły. - Tadeusz, jak zwykle podsuwał najprostsze rozwiązania.

- No, cóż - westchnął Claude - mogło i tak być. - Dobrze, zobaczmy, co tam dalej. Może teraz ja poczytam - zaproponował - bo nie znam polskiego, a też jestem ciekaw.

- Bardzo proszę. - Oddałam mu kartkę. - Przynajmniej nie będę miała żadnych wątpliwości, bo przyznam, że czasami jej francuski sprawia mi trudność. Zwłaszcza te wszystkie kwieciste porównania i wyrażenia. Aż tak dobra nie jestem - uśmiechnęłam się zawstydzona. - Wyłapuję ogólny sens, ale przecież diabeł tkwi w szczegółach. Może więc coś przeoczyłam? W słownikach - wskazałam gestem dłoni pokazną pira-

midkę książek na stole - nie wszystko mogłam znaleźć. Brakuje mi słowników frazeologicznych.

- Chyba rzeczywiście nie mamy takich, chociaż nie dałbym za to głowy - zastrzegł się szybko. - Poszukam ich później, ale teraz, skoro nie sprawia ci to różnicy, chętnie poczytam.

Odczułam lekką satysfakcję, widząc, że Claude'owi tłumaczenie z francuskiego na angielski też przychodziło z lekkim trudem.

...Może zbyt zajęty teraz? Przecież nie zapomniał o mnie i o tym, co sobie wtedy obiecywaliśmy?

Dopisane po kilku dniach:

Dobrze, że nie zdążyłam posłać tego listu! Mój kawaler był tu wczoraj! Przepraszał za zwłokę w odwiedzinach, ale miał tyle na głowie. Przysięgał, że myślał o mnie cały czas i że tylko ja jestem w jego snach, i że tęsknił jak szalony...

- Tak - burknęłam zniesmaczona. - I z tej tęsknoty przeogromnej włączył się z kumplami po knajpach. Pewnie winem zapijał ból i smutek... Cholera, Fryciu, taki z ciebie był gagatek?

...Prosił, żebyśmy się znowu spotkali u Niego w mieszkaniu, tak jak w przeszłym tygodniu. Ale nie martw się o mnie, zawsze jest ktoś z nami do towarzystwa...

Nawet nie wiesz, droga siostrzyczko, jak tęsknię za jego obecnością. Móc z Nim rozmawiać, wpatrywać się w te cudne oczy...

- Niedobrze mi... Jakie te baby są głupie! - Tadeusz machnął zniecierpliwiony ręką. - Przecież wiadomo, jak to się

skończy. Gadki-szmatki. Następnym razem już nie będą mieli towarzystwa i... koniec „cudnego” romansu i wpatrywania się w „cudne” oczy. Zaczną się schody.

Musiałam to wszystko wytłumaczyć Claude'owi, bo Tadeusz z nerwów znów mówił po polsku.

- No cóż, wiemy przecież, jaki był finał, więc nawet nie mogę powiedzieć, że przesadzasz - przyznałam. - A tak swoją drogą, ktoś mi tu niedawno wypominał zachowanie matki-kwoki... Nawet ja się teraz tak bardzo nie przejmuję, jak obecny tu tatuś-kwoka.

Głośny śmiech naszej trójki niemal całkowicie zagłuszył przytłumiony dźwięk dzwonka wzywającego nas na obiad. Przez szybę w drzwiach od tarasu widziałam panią Leclerc szarpiącą za sznurek zabytkowego urządzenia, zakończonego niewielkim dzwonkiem, wiszącym wśród liści pnącej róży.

- Jest tam coś jeszcze? - zainteresował się Claude, podnosząc się z oparcia mojego leżaka. Solidny, wykonany z drewnianych szczebelków mebel ogrodowy z trudem utrzymywał podwójne obciążenie. Ale jeszcze chwilę wcześniej nawet tego nie zauważyłam.

- Nie, już tylko pozdrowienia dla siostry i całej rodziny, jak zwykle.

Stare przedmioty mają dla mnie jakąś magię. Zwłaszcza książki. Zawsze marzyłam o tym, żeby móc dotykem odczytać historię ludzi, którzy mieli je w swoich rękach. Każdy z nich zostawił przecież jakiś ślad. I nie mam tu na myśli tych zwyczajnych, widocznych gołym okiem śladów, jak plamy tłuszczu, herbaty czy kawy, zapisków na marginesach i zagiętych rogów. Chodzi mi o ślady emocjonalne.

Oto ktoś się wzruszył podczas czytania powieści, losy bohaterów wywołały wspomnienia z własnych przeżyć, ręka zadrżała, przeniosła emocje na kartki. Czy papier mógł je pochłonąć i „zapisać” jak na taśmie magnetofonowej? Czy gdybyśmy umieli to odczytać, mielibyśmy książkę w książce? Odnależlibyśmy między wierszami myśli i wspomnienia wcześniejszych czytelników, ich marzenia? A może byłoby to zwykłe: „Muszę zabrać się za obiad, bo mąż zaraz wróci i znowu będzie miał mi za złe, że marnuję czas na czytanie książek” lub: „Gdybym tak mogła przenieść się do tej dżungli, gdzie nie byłoby tatusia...”.

Jednak w przypadku starych książek ten przekaz mógłby okazać się jednym wielkim, niezrozumiałym szumem, ponieważ zbyt wiele osób trzymało je w rękach. Co innego, gdyby chodziło o coś osobistego, jak pamiętnik czy modlitewnik, które najczęściej dotykał tylko sam właściciel.

I teraz oto trzymałam w ręce modlitewnik Marie, usiłując odczytać zawarte w nim emocje. Niestety, nie posiadam takiego daru. Z niewielkiej książeczki unosił się tylko zapach starej skóry - zrudziałej i wytartej od częstego używania - kurzu, papieru oraz kwaskowa woń metalowych okuć. Nawet skąpe notatki na końcu nie mówiły nic ponad to, co było zapisane: jakieś daty, numery i krótkie „tak” lub „nie”. Pewnie dotyczyły nabożeństw, psalmów czy też pieśni. Wszystko to, co w takim modlitewniku mogłoby się znaleźć.

Pozostawało jeszcze owo wcześniej odkryte przeze mnie, tajemnicze zgrubienie na ostatniej, wewnętrznej stronie okładki.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zgrubienie było niewielkie, niemal niezauważalne na pierwszy rzut oka. Zdradzała je nieznaczna wypukłość wyczuwalna jedynie palcami, dlatego też pewnie zauważyłam je wtedy, w Paryżu, kiedy uważnie przeglądałam modlitewnik. Idealna skrytka na liścik.

Brzegi pożółkłego, niemal brązowego papieru sklezione były kruszącym się ze starości klejem. Wyraźniejsze gdzieniegdzie plamy wskazywały miejsca, gdzie klej został zbyt grubo nałożony i przemoczył kartkę.

- Co... co teraz? - Z wrażenia zaschło mi w gardle i z trudem wydobyłam z siebie głos.

- Otwieramy. Idę po ostry nóż. - Claude opanował się najszybciej i ruszył w kierunku kuchni.

- Zaczekaj. - Zatrzymał go Tadeusz. - Papier jest zbyt kruchy i możemy go uszkodzić. Spróbujmy otworzyć to nad parą. No co? - spytał, widząc zamarłego w niemym zdziwieniu Claude'a. - Nigdy nie odklejałeś w ten sposób znaczków pocztowych z kopert?

- Tadeus... Genial! - Claude wyrzucił w górę rękę. - Absolutnie genial!

- Słyszałaś, co on powiedział? Jestem genialny - Tadeusz mrugnął do mnie porozumiewawczo. - Jak miło, że chociaż inni to zauważają...

- Kochanie, u Francuzów wszystko jest genial. W ten sam sposób zachwycają się każdym prezentem, kiedy chcą zrobić przyjemność ofiarodawcy, każdym nowym zakupem. Wszystko, czym się akurat cieszą, jest genial. Ale dla mnie ty i tak jesteś genialny, a nie genial - dodałam szybko, widząc jego minę.

Ruszyliśmy wszyscy w stronę kuchni. Słyszałam, jak idący za mną Tadeusz mrucał pod nosem tak, żebym usłyszała:

- Zawsze człowieka ściągnie za nogę na ziemię... Wstrętna baba...

W kuchni, nad garnkiem z parującą wodą, Claude i mój genialny mężczyzna wyglądali jak para alchemików na chwilę przed przemianą ołowiu w złoto. Aż wychodzili ze skóry, co chwilę sprawdzając, czy kartka zaczyna się już odklejać i parząc sobie przy tym palce. Przyglądałam się im z uśmiechem, ale i z niecierpliwością. Sama byłam ciekawa, a jednocześnie obawiałam się tego, co mogło kryć owo zgrubienie na okładce modlitewnika. Mógł to być liścik, ale równie dobrze jakaś wada fabryczna, zamaskowana drugą warstwą papieru.

W końcu papier namięknął dostatecznie i zaczął się powoli odklejać. Claude położył modlitewnik na kuchennym stole i za pomocą tępej strony noża delikatnie podważył brzeg kartki. Uchwycił odstający skrawek i pociągnął go lekko w górę. Naszym oczom ukazał się róg zgiętej karteczki, leżącej dokładnie pośrodku skrytki.

- O, Boże... - jęknęłam cicho. - Mieliśmy chyba rację, to jakiś liścik. Czuję, że za chwilę wszystko się wyjaśni, a jednocześnie boję się...

- Czego się boisz? - Nie wiedzieć czemu, Claude zadał to pytanie szeptem.

- Sama nie wiem. Może rozczarowania. Że będzie tam coś innego, niż się spodziewam. Coś zupełnie zwyczajnego.

Tymczasem wewnętrzna strona okładki została już całkowicie odklejona, ukazując w środku zgiętą w pół karteczkę z pożółkłego, sztywnego papieru.

Sięgnęłam w jej stronę drżącą z przejęcia ręką, ale zawahałam się w ostatniej chwili. Nie byłam pewna, czy mam takie prawo. W końcu modlitewnik należał do rodziny Sophie, a w związku z chwilową nieobecnością gospodyni przywilej ten należał się Claude'owi.

- Otwórz. - Claude kiwnął przyzwalająco głową. - W końcu to ty go znalazłaś.

Karteczka była sztywna i krucha. Rozprostowałam ją ostrożnie i przybliżyłam do oczu. Nie potrzebowałam słowników. Tekst był krótki i zrozumiały.

Marie, najdroższa moja! - charakter pisma był bardzo niewyraźny, jakby piszący spieszył się albo pisał na kolanie.

Umieram, nie mogę Pani widzieć. Rozpływam się w powietrzu i czuję, jak jedna moja część płynie do Ciebie ukochana. Błagam o słowo, o jakąś nadzieję na spotkanie sam na sam. Pamiętasz o naszym ogrodzie?

Twój na zawsze F.

Usiadłam z wrażenia na jednym z krzeseł stojących wokół okrągłego stołu pośrodku ogromnej kuchni. Promień słońca przedarł się przez gęstwinę dzikiej winorośli oplatającej wy-

sokie okno i rozbłysnął na mosiężnym rondlu wiszącym nad starym paleniskiem.

Przez krótką chwilę miałam wrażenie, że w kącie, pod oknem, widzę niewyraźną sylwetkę młodej kobiety czytającej coś z przyciśniętą do ust pięścią. Jakby chciała powstrzymać płacz.

Mara znikła równie szybko, jak się pojawiła.

- Czuję, że to był jej ostatni kontakt z kochankiem. Że ten liścik ktoś jej dostarczył tu, do tego domu - powiedziałam cicho, kładąc karteczkę na stole.

Tadeusz i Claude popatrzyli na mnie zaskoczeni.

- Nie wiem skąd - wzruszyłam ramionami w odpowiedzi na ich nieme pytanie - ale takie odniosłam wrażenie. Świadczy o tym choćby fakt, że go tak przemyślnie schowała, czyli innych już potem nie było. Jedyna pamiątka po nim. Chyba że było jeszcze coś, co po nim zostało...

- Masz na myśli dziecko? Sądzisz, że Marie była w ciąży i dlatego wróciła do domu bez pożegnania z kochankiem? - Claude sięgnął po karteczkę, jakby mógł się z niej dowiedzieć czegoś więcej.

- Sam mówiłeś, że podobno ojciec ściągnął ją z Paryża siłą i wydał za mąż za starszego od siebie mężczyznę, którego pewnie nawet nie знаła. To wszystko wskazuje na pośpiech towarzyszący zwykle niechcianej ciąży.

- A to by z kolei znaczyło - głos zabrał milczący do tej pory Tadeusz - że nasz Frycio nie porzucił dziewczyny, tylko został z nią rozdzielony siłą. I że mógł ją naprawdę kochać.

- Już wierzysz, że to mógł być jednak on? - uśmiechnęłam się z lekką satysfakcją.

- No cóż, to F. na liściku miłosnym jest już raczej jednoznaczne. Chyba miałaś rację. A to dopiero... - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - To ci dopiero sensacja...

- Jeśli nawet było tak, jak mówiłaś - zwróciłam się do Claude'a - to znaczy, że ojciec dowiedział się jednak o romansie i być może ciąży. Skoro tak, dlaczego nie dążył do ślubu córki z ojcem dziecka, tylko wydał ją za kogoś innego?

- Hm... Myślę, że biedny obcokrajowiec, a do tego muzyk, po prostu nie był odpowiednim kandydatem na zięcia.

- A stary rzeźnik był?

- Stary rzeźnik miał majątek, a artysta nie śmierdział pewnie groszem. Garnek pozostawiony na płycie elektrycznej kuchenki zaczął nagle wydawać podejrzane odgłosy, przypominające trzaskanie. Claude zerwał się z krzesła i pobiegł w tamtą stronę.

- Merde! - Przekleństwo zlało się w jeden hałas z brzękiem upuszczonego na kamienną posadzkę, rozgrzanego niemal do czerwoności, garnka. - Merde! Oparzyłem się!

- Natychmiast pod zimną wodę! - Jednym skokiem znalazłam się przy zlewie i odkręciłam chromowany kurek kranu.

Przejęci odkryciem zapomnieliśmy o zdjęciu garnka z palnika.

W ogromnej kuchni zamku nowoczesność współgrała z tradycją. Ogromny kominek z wiszącym żeliwnym saganem nad paleniskiem i kompletem miedzianych rondli, stara dębowa szafa pachnąca konfiturami, a po przeciwnej stronie nowoczesny sprzęt kuchenny, czyli elektryczna kuchenka, piekarnik, zmywarka do naczyń, toster i ekspres do kawy. Nie

było tam tylko kuchenki mikrofalowej, uznanej przez Sophie za szkodliwą dla zdrowia.

- A nie pomyśleliście o tym, że może ojciec Marie rozmawiał jednak z tym muzykiem? - Tadeusz wrócił do tematu, kiedy Claude uznał, że dość ma już trzymania palca pod zimną wodą i siedział teraz z nami przy stole, dmuchając na oparzone miejsce.

- Czyżbyś chciał przez to powiedzieć, że młodzieniec nie chciał się żenić? - Spojrzałam na niego zaskoczona. - Przyznam, że o tym nie pomyślałam.

- Cóż, nie możemy tego wykluczyć.

- Ale przecież w tym liściku prosił o spotkanie, tęsknił...

- Tak, ale może ojciec najpierw zabrał ją do domu, a potem, kiedy dowiedział się, kto jest ojcem dziecka, wybrał się ponownie do Paryża na rozmowę. Liścik mógł zostać napisany zaraz po zniknięciu dziewczyny.

- Tak, to brzmi dość wiarygodnie. - Pokiwałam głową.

- Ale, z drugiej strony, to tylko nasze przypuszczenia. Nie wiemy nawet, czy rzeczywiście Marie była wówczas w ciąży.

- Wszystko. Na. To. Wskazuje - mruknął Claude między kolejnymi dmuchnięciami na palec.

- No właśnie. - Tadeusz podjął temat. - Ten nagły powrót Marie do Trigny i potem szybki ślub ze starym rzeźnikiem. Tylko dlaczego Frycek nie chciał się żenić z bogatą Francuzką?

- Kto powiedział, że nie chciał? - zdenerwowałam się.

- Przecież sami to przed chwilą wymyśliliśmy, a już rzucamy oskarżenia na niewinnego może człowieka. Nigdzie przecież nie ma informacji o tym, że ojciec Marie rozmawiał z młodym człowiekiem, a ten mu odmówił. To tylko nasze domysły. Hej, panowie! Opamiętajcie się! Tak właśnie rodzi się plotka.

Po południu zadzwoniła Sophie z Nowego Jorku. Była ciekawa, co odkryliśmy do tej pory. Jej pobyt przedłużał się trochę, ale wszystko wskazywało na to, że wróci już za parę dni. Rozmawialiśmy krótko, bo chociaż u niej był wczesny ranek, spieszyła się już na umówione spotkanie. Claude zdążył jej tylko w skrócie powiedzieć o liściku i naszych podejrzaniach oraz zapewnić, że czekamy niecierpliwie na jej przyjazd do Trigny.

- Bardzo żałowała, że nie może być tu teraz z nami. Ale, jak dobrze pójdzie... - Tu Claude zatarł ręce z zadowoleniem. - Aj! Uraziłem się w palec! No więc, jak dobrze pójdzie, w sobotę podamy jej pana Chopina na talerzu...

- Jak masz zamiar to zrobić? - zainteresowałam się.

- Sądzę, że odpowiedź znajdziemy w tych listach. - Wskazał kciukiem na otwartą szkatułkę.

Wprawdzie po obiedzie pomyszkowałam w bibliotece i znalazłam francusko-polski słownik frazeologiczny - zapomniałam, że Sophie od roku uczyła się polskiego - ale wyglądało na to, że Claude nie dopuścił mnie już do listów.

Nie przeszkadzało mi to zupełnie, a nawet wręcz przeciwnie. Jego angielski był o niebo lepszy od mojego. Nie wspominając już o francuskim.

Następne dwa listy nie zawierały niczego ciekawego, przynajmniej dla nas. W jednym z nich Marie opisywała wizytę u zaprzyjaźnionej baronowej, nudną i nieciekawą.

Baronowa - pisała - okropne babsko z dużą brodawką na nosie i nieświeżym oddechem nachylała się wciąż do mnie i szeptem obgadywała swoich gości. Ten za dużo je, tamta ma fatalną krawcową itp. Miałam już dość po półgodzinie, ale cioteczka dobrze się bawiła i nie chciała wyjść. Nie mo-

głam się tego dnia spotkać z moim ukochanym... Byłam tak nieszczęśliwa, że wieczorem, wymówiwszy się bólem głowy, poszłam prosto do łóżka.

W następnym, szczęśliwa i radosna jak skowronek, snuła plany na przyszłość.

Jest taki nieśmiały i pewnie boi się, że za biedny dla mnie, dlatego jeszcze się nie oświadczył, ale ja wiem, że Tatko Go pokocha całym sercem, tak jak ja. Nie sposób Go nie kochać, taki subtelny, zdolny i czuły. (...) Już sobie umyśliłam, gdzie zrobimy dla Niego pokój, żeby mógł komponować przez nikogo nie niepokojony i gdzie nasze dzieci by mu nie przeszkadzały. Bo będziemy mieli dużo dzieci. Wiem, że On je lubi.

I ostatni list z datą 16 grudnia 1833 roku.

Moja kochana!

Byłam wczoraj na wieczorze kompozytorskim pana Hillera w Konserwatorium. Kompozytor zaprosił Moje Szczęście i jeszcze innego muzyka do wzięcia w nim udziału. Szkoda, żeś tego nie widziała i nie słyszała! Zagrali na trzy fortepiany utwór niemieckiego kompozytora Bacha, który podobno w Niemczech jest teraz, po stu latach, na nowo odkryty. Utwór osobliwy i niespecjalnie mi się podobał, ale i tak skupiałam się tylko na grze mojego ukochanego. Po koncercie podszedł do mnie i przeprosił, że nie może poświęcić mi zbyt wiele uwagi. Obowiązki, jak stwierdził, w stosunku do gospodarza wieczoru. Ale umówiliśmy się na jutro. Szkoda, bo miałam dla niego prezent, o jakim nawet nie śnił...

Jak ja wytrzymam do jutra! Taka jestem szczęśliwa, że cały świat zacałowałabym na śmierć!

List kończył się nagle, bez pozdrowień dla rodziny umieszczanych zwyczajowo na samym dole strony, tak jakby zabrakło jeszcze jakiejś kartki. Ale i tak pewnie żadnych rewelacji tam nie było. Najważniejsza wiadomość pojawiłaby się pewnie dopiero następnego dnia, po rozmowie z kochankiem.

Niestety. Była to już cała korespondencja Marie do siostry, znaleziona w starym sekretarzyku i strychu.

- I co teraz? - Pierwszy odezwał się Claude, zapominając zupełnie o oparzonym palcu. - Obawiam się, że niewiele nam się wyjaśniło. Nadal mamy tylko podejrzenia, teraz wprowadzie mocniejsze, ale żadnej pewności, że to był Chopin. Będę musiał dać ten liścik od kochanka do ekspertyzy grafologicznej. To z całą pewnością rozwieje wszystkie nasze wątpliwości.

- Tak, dobry pomysł - przyznałam. - Niby wszystko wskazuje na to, że pisał to Chopin, ale... Cholera, myślałam, że będzie tu coś więcej. - Spojrzałam na otwartą szkatułkę na stole.

- A co z rodziną tego chłopca? - Tadeusz przestał bębnić palcami po stole, co, przyznam szczerze, zaczynało mnie już trochę drażnić. - Żyją jeszcze jacyś jego potomkowie?

- Tak, i to nawet niedaleko stąd - ożywił się nagle Claude. - Wprawdzie nie utrzymujemy z nimi zbyt częstych kontaktów, bo to jednak dość odległe pokrewieństwo, ale w tak małej miejscowości jak Trigny trudno nie znać wszystkich mieszkańców. Zwłaszcza sąsiadów.

- Sąsiadów? - Popatrzyliśmy na niego zdziwieni. - To oni gdzieś tu niedaleko mieszkają?

- Tak. - Claude miał bardzo zadowoloną minę, jak zawsze wtedy, gdy udało mu się nas czymś zaskoczyć. - Jeden z potomków Phillippe'a jest właścicielem winiarni, tej obok fontanny, na placyku przed ratuszem.

- Tej, obok której przejeżdżaliśmy w drodze do was?
- Nie ma innej drogi - uśmiechnął się. - Musieliście tamtędy przejeżdżać.

Zaskoczeni, przypomnieliśmy sobie nagle sylwetkę mężczyzny przepasanego białym fartuchem i stojącego w drzwiach swojej winiarni w wieczór naszego przyjazdu do Trigny. Czyżby to był potomek Chopina? Jego prapra - nieważne ile raz - wnuk?

Claude zadzwonił do niego natychmiast i po wstępnej, wprowadzającej w temat, rozmowie umówił nas na następny dzień rano, w winiarni.

- Dopiero jutro...? - Byłam zawiedziona.
- Tak, powiedział, że wieczorem będzie za duży gwar i trudno nam będzie swobodnie porozmawiać. Tymczasem przenieśmy się do ogrodu, a ja przygotuję wam coś na pocieszenie. - Claude zrobił tajemniczą minę.

Leniwe, słoneczne popołudnie przerwał na chwilę ogłuszający huk przelatujących nisko, w równym szyku samolotów odrzutowych. Ryk silników wypłoszył polującą w pobliskich krzakach burą kotkę. Wyskoczyła jak oparzona ze swojej kryjówki i pognęła wprost do otwartych drzwi od kuchni. Hałas znikł równie szybko, jak się pojawił.

- Co to było? - Tadeusz popatrzył zdziwiony w górę. - Jakież pokazy?
- To ćwiczenia - odparłam, odejmując dłonie od uszu. - Niedaleko stąd jest baza wojskowa i lotnisko. Pierwszy raz, gdy usłyszałam i zobaczyłam samoloty, omal nie dostałam zawału. Myślałam, że to nalot.

Kotka wpadła wprost pod nogi wychodzącego właśnie Claude'a, któremu, w cyrkowy niemal sposób udało się utrzymać w rękach tacę z butelką wina, talerzykami i melonami. Tuż za nim maszerowała lekko zdenerwowana Chutney, która najwyraźniej nie potrafiła przyzwyczać się do tego hałasu. Odkąd pamiętam, zawsze uciekała w takich chwilach z podkulonym ogonem do domu.

- Proszę. - Claude postawił wszystko na stole i rozdał talerzyki i łyżeczki.

- Mam iść po kieliszki? - Tadeusz podniósł się już z krzesła, sądząc, że gościnnie gospodarz zapomniał o najważniejszym.

- Nie - uśmiechnął się tajemniczo Claude. - Poradzimy sobie bez nich.

- Mamy pić z gwinta? - Tadeusz spojrział na mnie zdziwiony. Nie umiałam przetłumaczyć tego wyrażenia Claude'owi,

więc ograniczyłam się tylko do stwierdzenia, że trudno jest pić wino bez kieliszków.

- Po pierwsze, to nie wino. - Podniósł ciemnozieloną butelkę do góry i spojrział na nią pod słońce. - Po drugie, będziemy pić z melonów.

Każdy z żółtych, dojrzałych owoców został przekrojony na pół, a wgłębienie po pestce było tak duże, że z powodzeniem można było wlać tam alkohol. To nas specjalnie nie zdziwiło. Ale... Nie wino? W butelce po winie?

- To ratafia z szampana, specjalność Trigny. Tylko tu można ją kupić bezpośrednio od producentów. - Claude był wyraźnie zadowolony z niespodzianki.

- Ratafia z szampana? A cóż to znowu za wynalazek? -Spojrzeliśmy zdumieni na butelkę bez nalepki.

- Spróbujcie, to się przekonacie. - Gospodarz wlał ratafię do naszych melonów. - A teraz należy wyjadać miąższ łyżeczką, nabierając przy okazji alkohol.

Ratafia z szampana okazała się dość mocnym trunkiem, ale w połączeniu ze słodkim melonem smakowała bosko. Gdyby nie to, że wkrótce zabrakło owoców, dzień zakończylibyśmy niewątpliwie pod stołem w ogrodzie.

Po kolacji Claude zamknął się w swoim gabinecie, żeby trochę popracować przed czekającą go za parę dni rozprawą, a my przenieśliśmy się do pokoju telewizyjnego, gdzie na najnowszym sprzęcie kina domowego oglądaliśmy archiwalne filmy Alfreda Hitchcocka. Wtuleni w miękką, ciemnozieloną kanapę z przyjemnością daliśmy się znowu straszyc mistrzowi suspensu.

- Wiesz - powiedziałam, przytulając się do Tadeusza, kiedy już wróciliśmy do naszej sypialni. - W tych murach wyczuwam smutek. To pewnie z powodu nieszczęśliwej miłości Marie. Nie kłóćmy się więcej, mam wrażenie, jakbyśmy sprawiali jej przykrość.

- Nie będę się z tobą kłócił, jeśli nie będziesz mnie prowokowała - odparł cicho. - Zresztą, ty też musisz się trochę zmienić.

- Zmienić? - Poruszyłam się niespokojnie. - Nie rozumiem.

- Czuję jakbyś się ode mnie oddalała. Nie przerywaj, proszę... Mam wrażenie, że coraz mniej jest miejsca dla mnie w twoim życiu, jakbym ci zaczął przeszkadzać. Zrobiłaś się obca i kłótliwa.

- Ależ... - Usiłowałam się wtrącić, ale Tadeusz wszedł mi w słowo.

- Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale tak to właśnie wygląda. Dawniej byłaś inna.

- Kochanie - udało mi się w końcu dojść do głosu. - Pewnie masz rację, ale nie ma to nic wspólnego z moimi uczuciami do ciebie. Jestem zabiegana i zmęczona. Sam wiesz, ile mam teraz obowiązków, a lat mi, niestety, nie ubywa. Pewnie dlatego to wszystko. Czasami mam ochotę wrócić do domu, zaszyć się gdzieś w kącie, wyłączyć telefon i udawać, że mnie nie ma.

- To dlaczego nie chcesz się zgodzić, żebyśmy zamieszkali razem?

- Hmm... - Zastanowiłam się. - Może dlatego, że zawsze byłam niezależna i nie wiem, czy potrafię jeszcze żyć z kimś na co dzień. Boję się, że nie umiem się już przystosować. Zresztą, każde z nas ma swoje przyzwyczajenia i mogłoby to się okazać niewypałem.

- Gdybyś mnie kochała... nie, nie, to żaden szantaż emocjonalny - przerwał, widząc moją reakcję na te słowa. - Myślę, że gdybyś mnie naprawdę kochała, chciałabyś być ze mną zawsze, a nie tylko wtedy, gdy masz na to czas i ochotę.

- Jezu... - jęknęłam bezsilnie. - Nie mamy już po dwadzieścia lat, nie zakładamy nowej rodziny, nie będziemy już mieli dzieci. To jest inna miłość, dojrzała...

- Inna? - odsunął się ode mnie nieznacznie. - Jak to inna? Miłość to miłość. Albo jest, albo jej nie ma.

- Mam ci zrobić wykład? Są różne rodzaje miłości i każda z nich może być wielka. Jest miłość do dziecka, do rodziców, a nawet... - usiadłam z impetem na łóżku. Ogromny baldachim zakołysał się niebezpiecznie nad naszymi głowami - ...a nawet do takiego starego osła jak ty!

- To dlaczego nie chcesz być ze mną? Nie chcesz, żebyśmy się pobrali?

Przez chwilę w naszej sypialni zapanowała cisza. Słysząc było delikatny poświsł wiatru w kominku. Stare mury wydawały swoje tajemnicze odgłosy.

- A... a prosiłeś mnie o to kiedykolwiek? - pierwsza przerwałam milczenie.

- No... - zmieszał się trochę. - Może i wprost nie pytałem, ale przecież dawałem do zrozumienia.

- Może kiedy „dawałeś”, to mnie przy tym akurat nie było. Bo jakoś nie przypominam sobie.

- A gdybym poprosił, zgodziłabyś się?

- Spróbuj...

Tadeusz zszedł z łóżka, narzucił na siebie szlafrok i podał mi mój.

- Chodź. - Pociągnął mnie za sobą w stronę kominka. Rozbawiona szłam za nim, usiłując po drodze zawiązać pasek w rozchylającym się szlafroku. W sypialni było zimno, od kominka wiał lekki przeciąg. Tadeusz ukląkł na jedno kolano.

- Wyjdiesz za mnie? - spytał cicho, przytrzymując moją dłoń w swojej.

W swoich długich szatach wyglądaliśmy w półmroku jak postaci z przeszłości, dawni mieszkańcy tego zamku. Z początku bawiła mnie ta sytuacja, jednak coś w postawie Tadeusza kazało mi spoważnieć. Poczułam nagłe wzruszenie.

- Tak... - powiedziałam ze ściśniętym gardłem. - W końcu o to spytałeś.

Rano, zaraz po śniadaniu, wybraliśmy się do kuzyna Sophie.

Mała winiarnia, na skraju okrągłego placu z fontanną pośrodku, sprawiała bardzo przyjemne wrażenie. Kilka stolików na zewnątrz ocienionych było białymi, lekkimi parasolami, a lniane obrusy w biało-czerwoną kratę i skrzynki z kolorowymi kwiatami stwarzały miły, domowy nastrój. Weszliśmy do chłodnego wnętrza, zaproszeni przez gospodarza.

- Chyba będzie dziś burza - stwierdził, kierując nas do środka. - Powietrze jest nieruchome i parne. Ciężko oddychać na zewnątrz.

Przywitał się z nami, wydał kilka dyspozycji pracownikowi na zapleczu i po chwili siedzieliśmy już wszyscy przy stoliku w kącie sali. Na szczęście on też mówił po angielsku, chociaż słabo, ale w ten sposób wszyscy mogliśmy uczestniczyć w rozmowie.

- Opowiedzcie, proszę, o waszym znalezisku - zwrócił się do nas, kiedy młody chłopiec w białym fartuchu postawił przed nami schłodzonego szampana i kieliszki. - Musimy to uczcić - dodał, otwierając pokrytą mgiełką rosy butelkę.

Paul Vieillard, bo tak brzmiało nazwisko naszego gospodarza, słuchał w skupieniu, nie przerywając. Opowiadał Claude, a ja od czasu do czasu uzupełniałam. Tę część rozmowy prowadziliśmy po francusku, żeby nie utrudniać Paulowi odbioru. Tadeusz i tak znał całą historię, więc mógł przez ten czas skupić się na swoim kieliszku z szampanem i rozglądaniu po wnętrzu winiarni.

Gospodarz słuchał nas uważnie, od czasu do czasu tylko ściągając w zdziwieniu brwi lub kiwając głową, jakby zgadzał się z tym, co usłyszał.

- Muszę wam powiedzieć - odezwał się w końcu - że takie podejrzenia co do tożsamości mojego odległego przodka były

w naszej rodzinie od dawna. Dużo się mówiło na ten temat jeszcze za życia mojego ojca, potem, po jego śmierci, sprawa jakby umarła. Ja już nie miałem takiego zapału jak on i przestałem się tym wszystkim interesować. Prawdę mówiąc, oprócz podejrzeń, nie mieliśmy żadnych, nawet najmniejszych dowodów świadczących o tym, że to mógłby być Chopin. Ojciec miał jakieś swoje tajemnice, którymi, widząc brak zainteresowania z naszej strony, przestał się dzielić. Pamiętam jednak, że coś tam sobie cały czas notował, coś zbierał, pisał listy. Uznaliśmy to za dziwactwa starego człowieka i nikt go nie dopytywał o szczegóły. Ale teraz - tu pokręcił głową zaskoczony - muszę przyznać, że mnie zaciekawiliście. Phillippe, syn Marie, którego jestem w prostej linii potomkiem, nie zostawił po sobie żadnych listów ani pamiątek. Wasze odkrycie to coś zupełnie nowego, co zmienia postać rzeczy. Chętnie włączę się do poszukiwań. Co mógłbym zrobić?

Nie wiedzieliśmy. Ustaliliśmy, że przejrzy notatki i rzeczy swojego ojca i być może tam znajdzie jakieś wskazówki, kim mógł być ów tajemniczy przodek.

- Nie robiłbym sobie jednak zbyt wielkich nadziei - zastrzegł z westchnieniem. - Po śmierci ojca porządkowałem jego dokumenty, ale niewiele tego zostało. Zresztą, duża część rzeczy spłonęła w pożarze, jaki mieliśmy tu dziesięć lat temu. Zawiniła stara instalacja elektryczna, jak stwierdzili strażacy, którzy przyjechali już tylko po to, żeby dogasić resztki pożaru. Dobrze, że ojciec tego nie dożył. Wszystkie notatki i prawie cała jego kolekcja starych zdjęć, tych robionych przez niego samego i tych, które zbierał od lat, poszły z dymem. Zachowała się tylko niewielka ich część, szczęśliwym przypadkiem

przechowywana w nowszej części domu. Jak choćby te tutaj -zakreślił w powietrzu krąg dłonią.

Ściany winiarni zawieszono zdjęciami Trigny sprzed lat. Na czarno-białych fotografiach uchwycono scenki z życia miasteczka: kobiety i mężczyźni z wielkimi koszami w winnicy, tłum rozbawionych gości w ogrodzie, który wydał mi się znajomy, wierni wychodzący z kościoła i winiarnia ze starym jeszcze szyldem, jakby trochę mniejsza niż dzisiaj.

- Tak, rozbudowałem ją, zwłaszcza po tym pożarze. - Paul uśmiechnął się w odpowiedzi na moje pytanie. - Dzięki temu mam teraz więcej miejsca na zapleczu. A ogród poznajesz? -zapytał Claude'a.

- Nasz...? - Claude wstał i podszedł bliżej do zdjęcia. - Nasz. Poznaje okno od kuchni za tymi drzewami i kawałek piętra wschodniego skrzydła zamku. My takiej fotografii nie mamy...

- To było właśnie w zbiorach ojca. Kto wie, czy nie jego autorstwa nawet. Możemy zrobić kopię, nic nie stoi temu na przeszkodzie.

Moją uwagę przyciągnęły wiszące nad kontuarem karykatury, prawdopodobnie mieszkańców Trigny.

- To bywalcy naszej winiarni - Paul powiedział z dumą. - Autorem jest mój syn Stanislas, bardzo zdolny architekt.

Świetne rysunki, prowadzone pewną ręką, przedstawiały mężczyzn i kobiety w różnym wieku. Oszczędna kreska z lekką złośliwością podkreślała charakterystyczne cechy tych osób. Oto olbrzymia kobieta nachyla się groźnie nad malutkim, skulonym ze strachu człowieczkiem. Jeśli to małżeństwo, nie ma wątpliwości, kto w tym związku jest mężczyzną. Tu z kolei zmęczony życiem człowiek, ledwie widoczny zza

ogromnego kieliszka z winem. Dalej, podparta pod boki kobieta, z otwartymi ustami na szerokość całej twarzy.

- A co na to mieszkańcy? - spytałam ostrożnie. Paul wzruszył ramionami.

- Część się obraziła, jak to zwykle z ludźmi bywa, ale reszcie się podoba. Mój syn się tym specjalnie nie przejmuje - dodał - i jak tylko ma czas, tworzy następne karykatury. Nie wszystkie się tu zmieściły, sporo wisi u nas w domu.

W mojej torebce rozćwierkały się nagle ptaszki. Przeprosiłam towarzystwo i wyszłam na zewnątrz. Słońce prażyło niemiłosiernie, jak tuż przed burzą, którą zapowiadały zbierające się już na horyzoncie chmury.

Dzwonił Mark, ciekaw naszych dalszych odkryć i moich stosunków z Tadeuszem.

- Jak wasze sprawy? Ułożyły się jakoś? - spytał, przepraszając jednocześnie za być może zbyt dużą ciekawość. - Nie chcę być wścibski, ale byłaś taka smutna ostatnio.

-Tak, jak najbardziej - odpowiedziałam radosnym tonem, wspominając wczorajsze oświadczenia. - Wszystko w porządku, chociaż Tadeusz jest chyba o ciebie trochę zazdrosny.

- Zazdrosny? O mnie? - Mark roześmiał się serdecznie. - Bardzo mi to pochlebia, ale... - zawahał się na moment, może dlatego, żeby mnie nie urazić - ...ale twój miły nie ma się czego obawiać. Jestem już zajęty. Jak i ty, zresztą...

- Rozumiem, że i u ciebie wszystko w porządku?

-Tak - przyznał. - Pewnie przyniosłaś mi szczęście. Gdyby nie nasze spotkanie i rozmowy, być może podjąłbym złą decyzję. Prawdę mówiąc byłem już bliski zerwania tego związku, tymczasem wszystko dobrze się ułożyło.

- Bardzo się cieszę, naprawdę. A teraz wyobraź sobie... -Zmieniłam temat i opowiedziałam mu o liściku z modlitewnika i o odkryciu na stryżku.

- Niesamowite! - wykrzyknął zaintrygowany. - To przecież prawdziwa rewelacja! A może wpadlibyście na dzień do Paryża? - dodał szybko. - Zapraszamy na kolację do nas, proszę... Brzmi to wszystko tak interesująco, że chętnie rzuciłbym okiem na ten liścik, jeśli można. Takie znalezisko...

Zgodziłam się również w imieniu Tadeusza, chociaż nie byłam pewna jego reakcji na zaproszenie Marka i wróciłam do winiarni.

- Szybko, szybko! Kawalek papieru i długopis - zawołałam od drzwi, powtarzając pod nosem nazwę ulicy - bo zapomnę!

Kiedy już zapisałam dość skomplikowany adres, mogłam spokojnie powiedzieć, kto i w jakiej sprawie dzwonił. Tadeusz, wbrew moim obawom, nie miał nic przeciwko spotkaniu.

- Będzie okazja pogadać. - Spojrzał na mnie przeciągle, a ja wyczułam lekką pogroźkę w jego głosie. A może byłam tylko przewrażliwiona?

- To bardzo mądry człowiek - odwrócił się do pozostałych - koneser sztuki, a poza tym wielki miłośnik i znawca muzyki Chopina. Może nam wiele pomóc. Chętnie też poznam jego żonę, z pewnością to równie kulturalna i wykształcona osoba.

Chwilę jeszcze rozmawialiśmy o karykaturach Stanisława i o innych, równie utalentowanych dzieciach Paula.

- Najmłodsza córka, Christine, studiuje malarstwo w Paryżu, średnia, Anne, jest nauczycielką muzyki w naszej szkole -zakończył z dumą nasz gospodarz. - Jedyne ja nie miałem nigdy żadnych artystycznych uzdolnień - roześmiał się serdecznie. - Słoń nadepnął mi w dzieciństwie na ucho i śpiewam

tylko czasami w kościele, podczas nabożeństwa, a i to nie za głośno, żeby mnie ksiądz nie wyprosił za drzwi. A co do rysowania, to moje ludziki i tak zawsze przypominały raczej semafony lub pierwotniaki widziane pod mikroskopem, dlatego już dawno dałem sobie spokój z tego rodzaju twórczością.

Pożegnaliśmy miłego gospodarza, obiecując informować go o wszystkim, co jeszcze uda nam się ustalić. On ze swej strony zobowiązał się do przejrzania dokumentów i rzeczy pozostawionych przez ojca i podzielenia się z nami wynikami tych poszukiwań.

Do zamku dobiegliśmy już w strugach ulewnego deszczu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Do Paryża wybraliśmy się z samego rana, żeby jeszcze pochodzić po mieście przed kolacją u Marka. W planach mieliśmy też cmentarz Père Lachaise, którego nie zdążyliśmy odwiedzić podczas naszej poprzedniej wizyty.

- Ale wróćcie jutro po południu - poprosił Claude, wręczając nam klucze od apartamentu na Ferdinand Duval, gdzie mieliśmy przenocować. - Sophie wraca, więc musimy jej opowiedzieć o naszych odkryciach.

Poruszanie się samochodem po Paryżu to prawdziwy koszmar, jak w każdym wielkim mieście. Dlatego też coraz więcej mieszkańców zostawia swoje auta na parkingach, przesiadając się do metra i autobusów. My też postanowiliśmy zostawić auto na ulicy przed bramą budynku, a sami ruszyliśmy w kierunku metra Hôtel de Ville, żeby tam szukać połączenia z Père Lachaise.

- Linia 11 w kierunku Mairie des Lilas - tłumaczyłam Tadeuszowi, stojąc przed dużym planem metra na przystanku Hôtel de Ville. - Potem, na République, przesiadamy się na trójkę w kierunku Gallieni.

Ruszyliśmy w stronę peronu, mijając po drodze kudłatego młodzieńca dźwięczącego niemal od kolczyków wbitych

wprawie każdą część twarzy. Mężczyzna grał na gitarze i śpiewał przeboje Beatlesów. Całkiem udanie, trzeba mu było to przyznać. Świadczył o tym spory stosik monet w otwartym futerale na gitarę.

- Zauważyłaś, jaka tu świetna akustyka? - spytał Tadeusz.

- Tak. I pewnie dlatego ci młodzi ludzie chętniej śpiewają tutaj niż na ulicy.

Po wyjściu ze stacji metra Pere Lachaise zauważyliśmy od razu wysoki, kamienny mur cmentarza biegnący wzdłuż ruchliwego bulwaru Menilmontant. Przeszliśmy na drugą stronę ulicy i ruszyliśmy do wejścia w stronę widocznych z daleka kamiennych pachołków połączonych łańcuchami.

W głównej alei, na lewo od wejścia, stała duża tablica z mapą cmentarza, ja jednak miałam swój własny plan, kupiony kiedyś w pobliskiej kwiaciarni.

- Bez mapy można się tu zgubić. - Zaszeleściłam płachtą papieru, na której czerwonym kolorem zaznaczyłam parę lat temu trasę i kierunek zwiedzania. - Teraz pójdziemy prosto, proszę wycieczki. - Machnęłam ręką przed siebie. - Zobaczymy grób Colette, a potem przejdziemy do mauzoleum Abelarda i Heloizy.

- Tak jest! - Wycieczka wyglądała na zadowoloną i gotową do wyprawy. - Prowadź, wodzu.

- Nazwa cmentarza pochodzi od spowiednika Ludwika XIV, ojca Lachaise - zaczęłam czytać z wysłużonego przewodnika. - Początkowo stał tu pałac i ogrody podarowane przez króla jezuitom. W pałacu zorganizowano hospicjum dla zakonników, prowadzone właśnie przez ojca Lachaise. W 1763 roku posiadłość jezuitów wykupiło miasto, a w 1801 prefekt

Paryża Frochot wydał rozporządzenie o budowie cmentarza, który powstał ostatecznie w roku 1804.

Większość mijanych przez nas grobowców wyglądała jak małe kapliczki. Część z nich zadbana i odnowiona, po innych widać było, że nikt ich już nie odwiedza. Uchylone drzwi z porzewiałej żelaznej kraty *ukazywały* ciemne wnętrza z zakurzonymi resztkami świec i rozsypującymi się ze starości klęcznikami.

Grób Colette był skromny, bez żadnych ozdób. Na pionowej steli z czarnego, błyszczącego marmuru wyryto prosty napis: „Tutaj spoczywa Colette”. I tyle.

- A wiesz, że podobno na jej grób do dziś przychodzą koty? Pisarka była wielką miłośniczką tych zwierząt - powiedziałam, rozglądając się wokoło. Niestety, wyglądało na to, że jeśli tam naprawdę przychodziły, robiły to wyłącznie w nocy.

Wróciliśmy na odchodzącą łukiem w lewo alejkę, mijając po drodze lekką, białą budowlę ze strzelistymi wieżyczkami wspartą na smukłych kolumnach. To grobowiec Abelarda i Heloizy, nieszczęśliwych kochanków, których prochy przeniesiono tu w 1817 roku. W środku, na białym katafalku, artysta wyrzeźbił w kamieniu dwie sztywno leżące obok siebie postaci.

- Chcesz pójść na grób Morissona? - spytałam, spoglądając na plan.
- Wiesz... niekoniecznie. - Skrzywił się, widząc na mapce lokalizację.
- To chyba nie po drodze do Chopina?
- No, tak - przyznałam. - Musielibyśmy odbić trochę w prawo. W porządku. - Złożyłam plan i schowałam go do torebki. - Idziemy prosto do Frycka.

Niewielki biały pomnik, z medalionem przedstawiającym profil Chopina, pokryty był bukietami kwiatów. My też położyliśmy naszą skromną, kupioną po drodze wiązanekę. Usunęłam zwiędłe kwiaty leżące tuż za kratą i schowałam do reklamówki, żeby je wyrzucić.

- Słyszałeś o tym, że mają być przeprowadzone badania genetyczne na jego sercu? - spytałam, spoglądając na biały profil kompozytora. - Dobrze, że chociaż ono się zachowało, bo podobno tutejsza gleba jest tak zakwaszona, że przyspiesza rozkład zwłok, więc resztki szkieletu nie nadawałyby się do analizy.

- Jeśli dobrze pamiętam, ktoś z rodziny przywiózł jego serce do Polski... Starsza siostra?

- Tak, to była Ludwika. Podobno przewiozła to serce przez granicę w słoju z koniakiem i w hebanowej szkatułce, schowanej pod spódnicą.

- Sprytna kobieta. Toż to prawie międzynarodowy przemyt - powiedział Tadeusz.

- Tak - uśmiechnęłam się. - Ale dzięki temu możliwe są teraz ewentualne badania genetyczne, z których dowiemy się być może, czy zmarł na gruźlicę, czy na mukowiscydozę.

- Mukowiscydoza? A cóż to jest?

- W naszej rodzinie jest chłopiec chory na muko, wiem sporo na ten temat. Może więcej, niżbym chciała. I powiem szczerze, zastanawiam się, jak w tamtych latach chory mógłby dożyć prawie czterdziestu lat. Patrząc na naszego Marcinka, na te wszystkie inhalacje, drenaże i ilość podawanych mu leków, trudno mi to sobie wyobrazić. Podobno jednak wykryto około tysiąca odmian tej choroby, więc wszystko jest możliwe.

- Właśnie. Może Chopin miał jakąś łagodniejszą formę? -Tadeusz był wyraźnie zainteresowany tematem. - A na czym właściwie polega ta wada genetyczna?

- Tak dokładnie to ci nie powiem - zastanowiłam się. - Nie jestem fachowcem. Wiem tylko, że jest to mutacja jakiegoś genu i że najczęściej występująca odmiana dotyczy niewydolności trzustki. Organizm wydziela nadmierne ilości gęstego śluzu, który powoduje zaburzenia w układach: oddechowym, pokarmowym i rozrodczym. A śluz, zalegający w narządach rodnych na przykład, uniemożliwia podobno zapłodnienie.

- Czyli wynika z tego, że chorzy są bezpłodni?

- Na to wygląda.

- W takim razie Chopin nie mógłby być ojcem dziecka Marie. Jasne jak słońce.

Wzruszyłam ramionami.

- Jeszcze nie mamy przecież pewności, że chorował na mukowiscydozę. Poza tym, słyszałam, że prawie w stu procentach są bezpłodni, a prawie, jak wiesz, robi różnicę. Mógł się zmieścić po tej lepszej stronie skali.

- A jaki wpływ ma ta choroba na resztę organizmu? - spytał Tadeusz, nie komentując już ewentualnej płodności czy też niepłodności naszego Frycka.

- Śluz w oskrzelach powoduje duszności i uporczywy kaszel oraz stwarza idealne wręcz warunki do rozwoju bakterii - kontynuowałam, odginając pierwszy palec dłoni. - Stąd też u chorych obserwuje się częste zapalenia oskrzeli i płuc.

- Jak na razie wszystko pasuje do objawów choroby Chopina. Co dalej?

- Zaburzenia trawienia i wchłaniania z powodu niewydolności trzustki. - Odgięłam następny palec. - Chorzy mają dużą niedowagę i nie są zbyt wysocy.

W miarę wyliczania objawów sama byłam coraz bardziej przekonana, że naukowcy mogą mieć jednak rację.

- Wyczytałem gdzieś ostatnio, że przy wzroście stu siedemdziesięciu centymetrów Chopin ważył około pięćdziesięciu kilogramów.

- Ja czytałam nawet o czterdziestu, ale to wydaje mi się już mocno przesadzone. Wyglądałby przy tym jak szkielet, a znamy przecież jego podobizny i nie odnosimy takiego wrażenia. Zaraz, zaraz... - Spojrzałam przyjemnie zaskoczona na Tadeusza. - „Wyczytałem gdzieś ostatnio...”? Ktoś tu się dobrze przygotował, jak widzę...

- No... to prawda. - Tadeusz zmieszał się trochę. - Sprawdziłem to i owo na temat Chopina przed wyjazdem z Polski. W końcu, skoro mam szukać jego śladów, muszę coś więcej na jego temat wiedzieć. Nieprawdaż?

- Prawdaż, prawdaż - przytaknęłam poważnie. -Tylko zaskoczyłeś mnie, bo nic się tym faktem nie chwaliłeś po przyjeździe.

- A, jakoś tak wyszło. - Wzruszył ramionami. - Zresztą, nie pytałaś.

- Cieszę się, że temat cię zainteresował. Naprawdę - dodałam z mocą. - A ja, wyobraź sobie, trafiłam w Internecie na stronę z listami Chopina i dopiero teraz zaczynam go naprawdę poznawać. Wyłania się z nich całkiem zwyczajny facet.

- Chcesz powiedzieć, że na co dzień nie chodził z kamienną wierzwą przyczepioną do pleców, tak trochę bokiem, jak faraon?

- Pijesz do tego obrazka z Eurowizji? - zaśmiałam się, ubawiona wizją kompozytora noszącego ze sobą nieszczęsne drzewo niczym jakiś romantyczny garb.

- To pomnik z warszawskich Łazienek.

- Wiem, wiem - z trudem łapałam oddech.

- Taki dwupak. Do każdego Chopina rozfalowana na wietrze wierzba gratis.

- Przestań! To prawie jak: chrząszcz brzmi w trzcinie.

- Jak on się z tym cholerstwem mieścił do dorożki? - Tadeusz nakręcał się coraz bardziej.

- Opanuj się. Jesteśmy na cmentarzu.

- Już jestem poważny.

- No, ja myślę.

- Dobra. Opowiadaj dalej o Chopinie.

Przez chwilę milczeliśmy, starając się dojść do siebie.

- Podobają mi się listy pisane przez jego ojca - powiedziałam wreszcie. - Bez przerwy przypomina synowi o tym, żeby dbał o siebie, nie włóczył się po nocach, oszczędzał kasę, bo co zrobi, jak przyjdzie choroba czy inne nieszczęście. I żeby wyrażał się dobrze o innych ludziach.

- Czy oznacza to, że zdarzało mu się wyrażać o niektórych źle? - zapytał Tadeusz z udawanym zdumieniem.

- Zdarzało - odparłam spokojnie, nie zważając na jego teatralne miny.

- Nie tylko źle, ale i obraźliwie. Ojciec w jednym z listów pisze coś w tym stylu: „Nie pochwalam twojej niechęci do pewnych osób, a słowo gnój nie podoba mi się wcale”.

- Gnój...? - Tadeusz uniósł brwi, tym razem naprawdę zaskoczony. - No, to jest niezłe, słowo daję!

- Też tak myślę. Nie wiem wprawdzie, kto mu się wtedy naraził, ale skoro ojciec to wytknął, musiało coś być na rzeczy.

- Gnoj... - Tadeusz pokręcił głową. - A to skubany...
- Myślałeś, że wtedy nie znano takich słów, naiwniaku? - Nie mogłam sobie darować tej szpilki.
- No dobrze. - Tadeusz otarł chusteczką czoło. - Wracając jednak do mukowiscydozy: dlaczego jednak sądzisz, że Chopin nie miał wtedy zbyt wielkich szans na przeżycie tylu lat? Przecież cały czas był pod opieką lekarzy.
- Tak, lekarzy, którzy najczęściej puszczali krew, przystawiali pijawki i stosowali drakońskie diety. W ten sposób prawdopodobnie wykończyli Emilkę, jego najmłodszą, czternastoletnią siostrę. Nawiasem mówiąc, to było dopiero utalentowane dziecko! Wiesz, że pisała wiersze po francusku i po polsku, a pod koniec swojego życia wzięła się nawet za tłumaczenie jakiejś niemieckiej książki?
- Niemożliwe... - Tadeusz pokręcił z niedowierzaniem głową. - Taka mała dziewczynka?
- Wyobraź sobie, że tak. Wróżono jej dużą przyszłość. Miała podobno niezwykły talent literacki. Razem z Fryciem redagowała w dzieciństwie gazetkę domową, mieli podobne poczucie humoru i taką samą łatwość pisania. Prawdziwie pokrewne dusze. Jakie to życie niesprawiedliwe - westchnęłam. - Ale, wracając do tematu. Patrząc na dziecko w mojej rodzinie, nadal wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby Chopin chorował na mukowiscydozę.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Mały ma dziesięć lat i niemal od urodzenia robione inhalacje kilka razy dziennie. Mam wrażenie, że bez tego mógłby się udusić. - Wzdrygnęłam się na samo wspomnienie odgłosów towarzyszących każdemu takiemu zabiegowi. - Już teraz ma powiększoną wątrobę. Przy każdym posiłku bierze enzy-

my, których jego trzustka nie produkuje, bo bez nich miałyby ciągle biegunki i nic nie zatrzymałoby się w jelitach. Umarłyby, jeśli nie z powodu niewydolności płuc, to z wycieńczenia. A nasz Frycek dożył przecież trzydziestu dziewięciu lat.

- A co z nim teraz? Z tym Marcinkiem?

- To bardzo mądre i nad wiek rozwinięte dziecko. Chodzi do szkoły, ćwiczy karate, jeździ na nartach, słowem żyje prawie tak, jak jego rówieśnicy, ale gdyby nie te wszystkie leki, wątpię czy tak by to wszystko wyglądało.

- A jakie ma szanse na wyzdrowienie?

- No cóż, jeszcze na razie jest to choroba nieuleczalna, ale przy dzisiejszym postępie medycyny szanse są duże. Najbardziej obawiamy się teraz o jego płuca. Ale już podobno prowadzone są prace nad terapią genową polegającą na wszczepieniu prawidłowego genu do komórek nabłonka oddechowego. Od lat trwają badania kliniczne, więc mamy nadzieję, że to już tylko kwestia czasu. W każdym razie szanse ma dużo większe niż Chopin w tamtych czasach. W najgorszym razie zawsze może jeszcze liczyć na przeszczep płuc.

- Dużo wiesz na temat tej choroby. - Tadeusz popatrzył na mnie z uznaniem.

- Gdybyś miał takiego chorego w swojej rodzinie, też byś się tym interesował - odparłam przygaszona.

Zamyśliliśmy się oboje. Biała postać kobiety na szczycie pomnika, będąca personifikacją Muzyki, pochylała ze smutkiem głowę. Przechodzący obok ludzie przystawali przed grobem, kładli kwiaty, następnie sprawdzali na planie następne miejsca, które wypadało odwiedzić.

- Fred Chopin?! - Tadeusz przerwał nagle ten minorowy nastrój, spoglądając dopiero teraz na napis widniejący na po-

mniku. - A cóż to, do cholery, znaczy? Brzmi co najmniej jak Fred Astaire, albo Fred Flinstone...

Stojący obok ludzie odwrócili się zaskoczeni. Pewnie Polacy.

- Po tym Fred jest kropka, więc pewnie to skrót od Frédéric -powiedziałam półgłosem, zadowolona, że wyrwał mnie z ponurych rozmyślań. - Ale, masz rację, mogli wyryć całe imię.

- Oszczędzali na literach? Dawniej usługi kamieniarskie też były drogie? - spytał nadal wzburzony Tadeusz.

- Nie wiem. - Spojrzałam do przewodnika. - Z tego, co tu piszą, nagrobek robił Jean-Baptiste Clésinger, zięć George Sand. Nie sądzę więc, żeby chodziło w takiej sytuacji

o oszczędności. Chociaż, diabli go tam wiedzą. Może panowie nie przepadali za sobą. Mógł jednak zrobić mniejsze litery -przyznałam - i wtedy zmieściłoby się całe imię.

No i co, Fryciu?, spytałam w myślach. Byłeś tym kochankiem Marie?

Wiatr zakręcił nagle między ozdobnymi elementami kraty

i przewrócił naszą wiązanekę, którą oparliśmy o pomnik.

A mógłbyś jaśniej? Oburzasz się na takie posądzenie, czy też potwierdzasz z takim zapalem?, nie dawałam spokoju.

Ale nie było już żadnej odpowiedzi. Najwyraźniej nasz Fryderyk nie chciał powiedzieć ani tak, ani nie, żebyśmy sobie nie pomyśleli ani tak, ani nie...

Spacer po cmentarzu przypominał przechadzkę po ogromnym parku. Zresztą, Père Lachaise jest właśnie jednym z największych parków w Paryżu. Brukowane dróżki ocienione ogromnymi, starymi drzewami, pokryte zielonym mchem stare grobowce i trawniki z klombami kwiatów przy głów-

nych alejkach - wszystko to stwarzało atmosferę spokoju i ciszy.

Przeszliśmy jeszcze do grobu Théodore Géricault, ciekawego z uwagi na płaskorzeźbę nawiązującą do jego obrazu *Tratwa Meduzy*. Nad zaśnieżoną płytą przedstawiającą skłębione ciała rozbitków, na górze widniała postać malarza ułożonego w swobodnej pozie z pędzlem w jednej i paletą w drugiej ręce.

- Przyznam, że jestem już trochę zmęczona - poskarżyłam się. - Ciągle wspinamy się pod górę, wchodzimy gdzieś po schodkach. Może przysiadzimy na chwilę?

- I ja czuję ten spacer w nogach - odparł Tadeusz, lekko zasapany. - Chodź, poszukamy ławeczki.

Zeszliśmy alejką w dół, a następnie po schodkach do Monument aux Morts, obok którego znaleźliśmy wolne ławki.

- Co jeszcze mamy w planie? - Tadeusz z lubością wyciągnął nogi przed siebie.

- To zależy, kochanie, od ciebie. Zobaczyliśmy właściwie niewiele, a tu dookoła same sławy. Edith Piaf?

- Gdzie to? - Spojrzał na plan. - O, nie. Dziękuję. Za daleko.

- Gay-Lussac?

- Nie, kiedyś w szkole dostałem dwóję z nieznamości jego prawa. Źle mi się kojarzy.

- Molière, La Fontaine, Oscar Wilde, Balzak. - Nie dawałam za wygraną.

- Może następnym razem. O! Kolumbarium z prochami Izadory Dulkan i Marii Callas. - Tadeusz stuknął palcem w rozłożony na moich kolanach plan. - Ciekawa może być sama budowla.

- Zgoda. Chociaż, jeśli chodzi o Marię Callas, podobno jest tam tylko płyta z nazwiskiem, bo prochy, zgodnie z jej życzeniem, rozsypano w Morzu Egejskim.

- Nie przeszkadza mi to. - Mój mężczyzna wzruszył ramionami. - Do urny bym przecież i tak nie zaglądał. Chciałbym zobaczyć samo miejsce.

- Widziałam kiedyś w telewizji dokument o Marii Callas -przypomniałam sobie. - Był tam właśnie moment tego symbolicznego pogrzebu na morzu. Makabra. - Otrząsnęłam się. - Wiatr zwiewał jej prochy na twarze uczestników rejsu.

Tadeusz skrzywił się z niesmakiem.

- Umiesz człowieka zachęcić, nie ma co... Wcale nie jestem już pewien, czy nadal chcę tam iść.

- Nie przesadzaj, mój drogi. Zresztą, jak mówiłam, i tak jest tam tylko tabliczka z jej nazwiskiem. A skoro już idziemy w tamtą stronę - uśmiechnęłam się tajemniczo - pokażę ci po drodze nagrobek, na który przychodzą nocami kobiety w jednoznacznych zamiarach...

- W jak jednoznacznych...? - Tadeusz spojrział na mnie spod oka.

- No... Jakby ci to powiedzieć... Masturbują się na pewnej części ciała, przedstawionej przez rzeźbiarza chyba nazbyt pochlebnie dla zmarłego...

- No, nie... To muszę koniecznie zobaczyć. Gdzie to jest? Rozłożyłam mapkę i pokazałam mu palcem kwaterę.

- Cholera, też daleko - zerknął na plan - ale nie odpuszczę. A swoją drogą, że też potrafisz znaleźć takie ciekawostki. -Poklepał się rozbawiony po kolanie. - Na szczęście, nie wszystkie są makabryczne - dodał.

Victor Noir, młody dziennikarz, został zastrzelony w obronie honoru swojego przyjaciela po fachu, w przeddzień własnego ślubu. Francuzi okrzyknęli go bohaterem narodowym i ufundowali pomnik z brązu na Pere Lachaise. Rzeźbiarz Da-lou przedstawił Victora leżącego w rozchełstany ubraniu, na wznak, z dużym wybrzuszeniem poniżej pasa, i to właśnie wybrzuszenie, wyświecone od ciągłego pocierania, błyszczy już z daleka na zielonym, zaśniedziałym pomniku.

- No, niech mnie... - Tadeusz kręcił z niedowierzaniem głową. A czubki butów też wyświecone, popatrz. Coś takiego! To się chyba nazywa pigmalionizm, prawda?

- Nie sądzę, żeby tu o taką miłość chodziło. - Złożyłam niepotrzebny już plan cmentarza i schowałam go do torebki. Tę akurat opowieść znałam z Internetu. - Podobno kobiety traktują te nocne rytuały na jego grobie jako magiczny sposób na miłość. Do żywych mężczyzn, nie do posągów - dodałam.

Wróciliśmy z cmentarza zmęczeni i głodni. Mieliśmy jeszcze trochę czasu do kolacji u Marka, więc postanowiliśmy zjeść coś lekkiego na mieście. Nie musieliśmy daleko szukać -zapachy, dochodzące przez otwarte okna naszego apartamentu z restauracji Jo Goldenberga na dole, pomogły nam w podjęciu szybkiej decyzji.

Nie żałowaliśmy.

Szerokie, pociemniałe i wyświecone od ciągłego używania drewniane schody zaprowadziły nas na pierwsze piętro kamienicy w Dzielnicy Łacińskiej, gdzie mieszkał Mark. Staroświecki okrągły dzwonek zabrzmiał całkiem współczesnym, ostrym terkotem, słyszalnym doskonale zza ogromnych drzwi.

Jeszcze tylko szczek odsuwanych zasuw i zamków i w progu stanął uśmiechnięty gospodarz.

- Witajcie! - Jego przystojna twarz aż promieniała z radości. - Tak się cieszę, że skorzystaliście z naszego zaproszenia. Proszę, wejdźcie dalej.

Przywitaliśmy się po francusku, całowaniem w oba policzki, chociaż żadnego Francuza między nami nie było.

- A to dla żony - wyjaśnił Tadeusz, podając mu dłoń, a w drugiej trzymając doniczkę z kwitnącym hibiskusem.

- Hm... - Mark speszył się nieco, rzucając przepraszające spojrzenie moją stronę. - Nie mam żony...

- Pewnie coś źle zrozumiałem? - Tadeusz rzucił mi pytające spojrzenie, ale wzruszyłam tylko ramionami, też zaskoczona, chociaż może nie tak bardzo jak on. Chyba domyślałam się tego od jakiegoś już czasu...

- Ale mam Richarda - gospodarz szybko odzyskał rezon. - Jesteśmy parą od roku. Richard, pozwól, mamy gości - rzucił z pozorną swobodą w stronę uchylonych drzwi od kuchni, skąd dochodziły do nas odgłosy krzątania.

Na korytarzu ukazał się wycierający pospiesznie ręce nasz drugi znajomy z Luvru.

- Przepraszam, słyszałem dzwonek, ale nie mogłem odejść od piecyka... - urwał, patrząc na nasze miny.

Tadeusz zadziwił mnie, po raz kolejny w naszym wspólnym życiu. Znając jego skostniałe nieco poglądy bałam się, że odwróci się teraz na pięcie i będę go musiała gonić na schodach. Tymczasem, po nie dłuższym niż sekundowe zawahaniu, z wdziękiem wręczył doniczkę Richardowi.

- W takim razie to dla obu panów. A tak, przy okazji: co tak pięknie pachnie? - Pociągnął z lubością nosem.

- Żeberka w sosie barbecue. - Gospodarze wymienili krótkie spojrzenia.

Pokój, do którego nas zaprosili, urządzony był nowocześnie i z wielkim smakiem. Miękki, biały dywan z długim włosiem przykrywał niemal całą podłogę z desek, zapewne tak starych jak cały ten budynek. Pod oknem kanapa z białą, wełnianą narzutą i dwa wygodne fotele po bokach, a przed nią stolik z kutymi misternie w żelazie nóżkami i ze szklanym blatem. Ściany, od podłogi do sufitu, zastawione były książkami na ciemnogrnatowych regałach, w nielicznych, wolnych przestrzeniach wisiały maski i inne egzotyczne ozdoby. Jedynym staroświeckim meblem w tym domu wydawał się czarny fortepian widoczny przez uchylone drzwi do następnego pomieszczenia.

- Dużo podróżujemy - wyjaśnił Mark, widząc, że przyglądamy się maskom na ścianie. - Z każdego zakątka świata przywozimy jakąś pamiątkę. - O, tu, proszę - wziął do ręki stojący na półce brązowy drewniany posążek jakiegoś potworka o wyłupiastych oczach i dziwnym, wysokim nakryciu głowy - jeden z czterech głównych bogów Polinezji, Kanaloa. To bóstwo wiecznej nadziei, obdarzający wszystkich ludzi wzajemnym zrozumieniem i obiecujący nieustające szczęście. Przywieźliśmy go sobie dwa lata temu z Hawajów - dodał, odstawiając bożka z powrotem na półkę, skąd wykrzywiona paskudnie figurka łypnęła na nas nieprzyjaźnie wyłupiastym okiem.

- Czego się napijecie przed kolacją? - spytał, sadzając nas na kanapie.
- Martini, manhatan wytrawny, gibson, bronx, a może whisky na kwaśno?

- Mark jest specjalistą od drinków i koktajli - wyjaśnił lekko jeszcze spięty Richard. - Ja tu jestem tylko od garów.

- Poza whisky i martini reszta nic mi niestety nie mówi. -Tadeusz rozłożył ręce w żartobliwie bezradnym geście. Widać było, że jest w doskonałym nastroju.

Panowie roześmiali się serdecznie. Atmosfera stawała się coraz swobodniejsza.

- Martini może być tradycyjnie z oliwką lub wytrawne ze skórką świeżej cytryny - zaczął wyjaśniać Mark. - Gibson, to wytrawne martini z marynowaną cebulką. Ja osobiście polecam broroca - to ćwiartka pomarańczy zalana ginem oraz włoskim i francuskim wermutem w specjalnie dobranych proporcjach. Wszystko dobrze wstrząśnięte.

- Wstrząśnięte, nie zmieszane? - upewnił się z poważną miną Tadeusz.

- Wstrząśnięte, nie zmieszane - uspokoił go równie poważnie Mark.

- A whisky na kwaśno? - spytałam rozbawiona tą wymianą zdań, a jednocześnie zainteresowana szeroką gamą propozycji.

- To jedna część soku z cytryny, dwie części whisky i łyżeczka cukru pudru.

Otrząsnęłam się, jakbym wypila sam sok z cytryny.

- To ja jednak poproszę o bronx.

- Ja też. - Tadeusz podniósł dłoń do góry.

- Zapraszamy zatem do jadalni. - Mark szerokim gestem wskazał drzwi na prawo od salonu. - A po kolacji musicie nam wszystko dokładnie opowiedzieć. Co za historia... Umieramy wprost z ciekawości. - Zatarł ręce z zadowolenia.

Żeberka smakowały bosko. Podane na gorących talerzach i polane sosem barbecue były odpowiednio spieczone z wierzchu i soczyste w środku.

- Wyśmienity ten sos. - Tadeusz zanurzył w nim kawałek mięsa. - Jest tu coś, czego nie rozpoznaję. Co to takiego?

- Pewnie sos Worcestershire - odpowiedział zadowolony z pochwały Richard. - Nie wszyscy go dodają, a szkoda, bo świetnie podkreśla smak.

Jak wynikało z dalszej rozmowy, Richard urodził się w Nowym Jorku, a Mark w Filadelfii. Poznali się na jednym z koncertów symfonicznych w Carnegie Hall i dla obu panów był to prawdziwy coup de foudre, czyli miłość od pierwszego wejrzenia. Przez jakiś czas mieszkali razem w Nowym Jorku, potem postanowili przenieść się do Paryża.

Przyznam, że początkowo czułam się trochę skrępowana. Nie bardzo wiedziałam, jak się mam w takiej sytuacji zachować. W „normalnych” warunkach, gdyby to była para hetero, wzruszyłabym się wielkim uczuciem, bo zawsze się w takich sytuacjach wzruszam, ale to było dla mnie absolutną nowością. Gejów znałam tylko z amerykańskich filmów i jednej, oglądanej kiedyś w Paryżu, Parady Miłości. I niekoniecznie dobrze mi się kojarzyli. Na szczęście jednak, Mark i Richard byli zupełnie inni, a o swoim związku mówili tak zwyczajnie i po prostu, że nawet nie zauważyłam, kiedy przestało mi to w końcu przeszkadzać.

- A co rodzina na to, że wyjechał pan do obcego kraju? I to pewnie na stałe? - Tadeusz zwrócił się do Richarda.

- Rodzice bardzo to przeżyli - przyznał ze smutkiem. - Jestem jedynakiem, więc zostali teraz sami, ale uszanowali mój wybór i pogodzili się z tym faktem. Zresztą, odwiedzamy ich

razem przy każdej, nadarzającej się okazji. A na te święta Bożego Narodzenia przyjadą do nas, do Paryża. - Chłopięcy uśmiech rozjaśnił jego twarz.

Przez chwilę rozmawialiśmy jeszcze o Tadeuszu i o mnie, a zanim przenieśliśmy się do salonu na wygodną kanapę, wszyscy już mówiliśmy sobie po imieniu. Stało się to całkiem naturalnie, bez zbędnych ceregieli, do których byliśmy przyzwyczajeni w Polsce. Podobało mi się to zawsze u Amerykanów.

- Co wolicie teraz: szkocką, wino czy piwo? - Mark stanął w drzwiach salonu.

- Jesteśmy miłośnikami piwa - powiedział Tadeusz i za siebie i za mnie - więc po tak obfitej kolacji chętnie się go napijemy. Wprawdzie jesteśmy we Francji, ale mamy już trochę dość wina. Prawda, kochanie?

- Tak - przytaknęłam gorliwie. - Marzę o zimnym piwie.

- Może być bud, czy macie jakieś specjalne życzenia?

- Bud? Masz na myśli budweisera? - Tadeusz wolał się upewnić. - Może być, chociaż wolałbym tyskie - uśmiechnął się przekornie.

- Zdziwisz się, ale przewidziałem to i kupiłem również tyskie.

- Poważnie...? Ja tylko tak zażartowałem. - Zbity z panta-łyku Tadeusz, to naprawdę rzadki widok. Siedział teraz na kanapie i spoglądał to na mnie, to na Marka. - Ale mnie zaskoczyłeś.

„Żeby nie robić kłopotu”, jak mawialiśmy często w żartach, poprosiliśmy i o budweisera, i o tyskie.

- No, to mówcie teraz, co takiego ciekawego udało się wam odkryć. - Mark postawił butelki i szklanki na blacie stolika.

Zaczęłam od ostatniego listu Marie, w którym pisze o wieczorze kompozytorskim Hillera, następnie opowiedziałam

o modlitewniku znalezionym w paryskim mieszkaniu moich przyjaciół. Przywiozłam go ze sobą, więc panowie ostrożnie i z nabożeństwem przerzucali teraz pożąłkłe kartki starej książeczki. Zatrzymali się przy odklejonej tylnej stronie okładki.

- Tu był ten liścik? - spytali niemal jednocześnie. Kiwnęłam potakująco głową i podałam im złożoną

w czworo karteczkę. Mark przysunął bliżej chromowane ramie stojącej obok lampy. W milczeniu przez chwilę przyglądał się pismu.

- Hm... Trochę wyblakły atrament, ale bez problemu można wszystko odczytać. Pisane jakby w pośpiechu, z lekka *krzywe* te litery, ale mimo to ładny charakter pisma. Niemal kaligrafia. Właśnie tak pisano gęsim piórem.

Uniósł kartkę pod światło.

- Tu niemal przedziurawił papier. - Pokazał palcem. - A tu, proszę, kleks świadczący o tym, że w końcu złamał pióro. Wszystko to wskazuje na duże wzburzenie. Trudno jednak będzie stwierdzić, czy to pismo Chopina - mruknął zawiedziony.

- Już uzgodniliśmy z Claudem, że da ten liścik do oceny grafologom - wtrącił Tadeusz. - Bez tego się nie obejdzie.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze... - Mark kiwał głową, nie odrywając wzroku od kartki. - Wygląda na to - wyraźnie był myślami zupełnie gdzie indziej - że rozstanie młodych było gwałtowne i nieoczekiwane dla nich samych.

- Pewnie to sprawka jej ojca, który podobno zabrał córkę siłą do domu - powiedziałam - i wydał za mąż za dużo starszego od niej rzeźnika.

- Za rzeźnika? - Richard skrzywił się z niesmakiem. - Wrażliwą, młodą malarzkę? To straszne.

- Tak, nie był to najszcześniejszy wybór, zwłaszcza że dziewczyna była już zakochana w kimś innym. I prawdopodobnie w ciąży - dodałam znacząco.

- Wszystko na to wskazuje. - Mark położył karteczkę na stole i zamyślony sięgnął po szklanę. - Zastanawia mnie cały czas ten koncert Hillera. To było dość dobrze opisane wydarzenie z tamtych czasów...

- Kochanie - zaśmiał się głośno Richard, podnosząc butelkę z piwem. - Z pustego i Salomon się nie napije. - Pozwól, że ci naleję.

Mark spojrział ze zdziwieniem na pustą szklanę, która aż się prosiła, żeby ją uzupełnić.

- Rzeczywiście. Nalej, bo na trzeźwo trudno w to wszystko uwierzyć. Czyżby to miał być jednak Chopin?

Opowiedzieliśmy jeszcze o naszym znalezisku na strychu w Trigny. Obrazami Marie wydawał się bardziej zainteresowany Richard, Mark był dziwnie milczący.

- Powiadacie, że była na tym koncercie Hillera? - spytał nagle, jakby tknięty jakąś myślą. - I że jej ukochany grał tam z innymi kompozytorami?

- Tak... - Popatrzyliśmy zdziwieni po sobie. - Nie było takiego koncertu?

- Był, był. Jak najbardziej. - Mark zerwał się z fotela i podszedł do półki z książkami. Chwilę szukał czegoś, wyjmował pojedyncze tomy, by w końcu wyciągnąć jeden z nich i z dziwnym uśmiechem ruszyć w naszym kierunku.

- Poznacie? - Otworzył książkę na rysunku przedstawiającym młodego człowieka z długim nosem i charakterystyczną fryzurą.

- No... - Popatrzeliśmy wszyscy troje na podobiznę, a potem na Marka. - To przecież Chopin.

- Nie, moi drodzy - uśmiechnął się triumfalnie - to nie Chopin. - Odsłonił dłonią podpis na dole strony.

Młodym człowiekiem na rysunku był Franciszek Liszt, węgierski kompozytor.

Teraz i my musieliśmy się napić. Mark, trzęsącą się z emocji ręką uzupełnił nasze szklanki. Wypiliśmy w milczeniu, gospodarz poszedł do lodówki po następne butelki.

- Tak, moi kochani. To mógł być równie dobrze Liszt, a nawet jest to bardzo prawdopodobne - powiedział w końcu, rozsiadając się w fotelu.

- Jego nie braliśmy wcale pod uwagę, a przecież Liszt przebywał w Paryżu w tym samym czasie co Chopin. Nawet się przyjaźnili i razem włączyli po knajpach. No i to właśnie on - dodał, przerzucając kilka stron biografii Liszta - o, tutaj jest właśnie ten fragment - postukał palcem w tekst - to on, obok Chopina, brał udział w koncercie, o którym pisze Marie. Hiller zaprosił obu kompozytorów do wzięcia udziału w swoim wieczorze, gdzie podczas drugiej części wspólnie wykonali *Allegro z Koncertu d-moll* Bacha - przeczytał na głos.

- Znana jest powszechnie romansowa przeszłość Liszta - dorzucił Richard, który ochłonął chyba pierwszy. - Ten to był dopiero pies na kobiecie. Ile miała wtedy lat Marie?

- Jakieś siedemnaście, osiemnaście. Nie więcej - powiedziałam, wciąż jeszcze oszołomiona.

- No, to akurat dobry w tamtych czasach wiek na zamąż-pójście. Pewnie obiecywał jej małżeństwo, a ona, naiwna, uwierzyła. Zapewne miał na koncie setki takich dziewcząt. Musicie pamiętać, że Liszt i równie wtedy sławny Paganini, to były ówczesne gwiazdy estrady. Odpowiednik dzisiejszych gitarzystów rockowych. Pewnie panienki piszczwały na ich koncertach - roześmiał się, ubawiony własnym żartem.

Poczułam się nagle w obowiązku bronić honoru Marie.

- Mówisz to tak, jakby to była jakaś głupia gaska - oburzyłam się. - To mądra dziewczyna z towarzystwa, nie jakaś tam puszczańska i widocznie miała swoje powody, żeby mu wierzyć. Myślę, że młodzi się kochali i że to jednak był Chopin, a nie Liszt.

- Lucyna uparła się, że to Chopin i tak łatwo z tego nie zrezygnuje - Tadeusz poklepał mnie z uśmiechem po dłoni. - Spokojnie, kochanie. Pewnie masz rację, musimy jednak wziąć pod uwagę i inne ewentualności. To mógł być przecież Liszt, nie można tego wykluczyć.

- Nie można, wiem - przyznałam niechętnie. - Muszę się tylko z tym oswoić. Cały czas myśląc o kochanku Marie miałam przed oczami naszego Frycia, a teraz... Cholera, nigdy nie uda nam się wyjaśnić tej sprawy.

- Wydaje mi się - Mark znów zabrał głos - że ekspertyza grafologiczna tego liściku miłosnego wszystko nam wyjaśni. W końcu i Chopin i Liszt zostawili po sobie wystarczająco dużo materiału porównawczego. Na szczęście nie istniały wtedy komputery, ani nawet maszyny do pisania i wszystko pisane było odręcznie.

- Może się jeszcze okazać, że to żaden z nich - Richard zaśmiał się głośno. - Nie będziecie żałowali, że straciliście tylko czas?

- Nawet, jeśli się tak okaże - powiedziałam poważnie - nigdy tego czasu nie uznaję za stracony. Już dawno nie przeżyłam tylu ciekawych przygód, jak podczas szukania tajemniczego kochanka Marie. A ty, skarbie? - zwróciłam się do Tadeusza.

- To był chyba najlepszy urlop, jaki miałem od lat. - Uniósł szklanę w górę i mrugnął do mnie porozumiewawczo. - Wypijmy za to.

- Słuchajcie! - Mark zwrócił się do nas wszystkich. - Czy to był Chopin, czy Liszt wyjaśni się prędzej czy później i w tej chwili nie ma to większego znaczenia...

- Dla mnie ma - zrobiłam żalostną minę - bo chciałam, żeby to był Chopin.

- Może to właśnie on. Poczekajmy spokojnie na ekspertyzę grafologiczną. Tak, czy inaczej cała ta historia jest niezmiernie ciekawa i cieszę się, że podzieliliście się nią z nami. Ale trzeba przyznać, że obaj panowie byli do siebie dość podobni, jeśli chodzi o wygląd. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi. Bo jeśli chodzi o twórczość, to - poza powierzchownymi podobieństwami - raczej niewiele już mają wspólnego.

- A więc Liszt nic nie zawdzięcza Chopinowi? - wtrącił się Tadeusz. - Przecież był zakochany w jego muzyce.

- Oczywiście, że zawdzięcza - odparł Mark. - Ale trudno go chwycić za rękę. Natomiast inni kompozytorzy już się tak nie maskowali.

- Jak to? - spytał.

- Możemy sprawdzić przy fortepianie - zaproponował Richard. - Coś mi przyszło do głowy. Chodźcie, pokażę wam. - Wstał i przeszedł do pokoju muzycznego, zapraszając nas gestem ręki.

Przenieśliśmy się do sąsiedniego pomieszczenia i rozsiedli na miękkiej sofie z czarnej skóry. Richard usiadł przy otwartym fortepianie i zaczął grać.

Chromatyczne garnki w prawej ręce z czymś mi się kojarzyły. Cienka, wijąca się strużka dźwięków, natarczywych i lekko drażniących, zdawała się bardzo znajoma.

- Nie jestem ekspertem, ale dla mnie to brzmiało jak *Lot trzmiela*. - Zaryzykował Tadeusz, kiedy Richard skończył.

- O właśnie - wykrzyknęłam. - Rimski-Korsakow?

- Chopin - odpowiedział Richard z szerokim uśmiechem. - Nie bez przyczyny skojarzyliście to z *Lotem Trzmiela*. Na tej chopinowskiej etiudzie zapewne wzorował się Rosjanin, kiedy portretował natrętnego owada.

- Może to tylko przypadkowa zbieżność? - zasugerowałam.

- Może. Ale nie tylko w tym miejscu Rimski-Korsakow romansuje z Chopinem. Znacie zapewne ten fragment z trzeciej części *Szerezydady*? - Richard zagrał dwa pasaży o bardzo orientalnym kolorycie. Zabrzmiały tak, jakby zostały napisane na harfę.

- Znam to - powiedziałam.

- No a teraz *Lento eon gran espressione* czy, jak kto woli, *Nokturn cis-moll* - Richard powtórzył niemal te same nuty. - Ktoś tutaj chyba zbyt mocno zachwycił się Chopinem, prawda?

- To zresztą normalne wśród rosyjskich kompozytorów - powiedział Mark, który stał za plecami Richarda. - Oni wszy-

scy trochę z niego brali. Może nie tak dosłownie, ale jednak. Skriabin, Liadow, Rachmaninow. Francuzi zresztą też.

- Dokładnie - przerwał mu Richard. - Oto Debussy. *Passe-pied* z *Suite bergamasque*. Czwarta część, o ile pamiętam.

Zagrał fragment utworu o dziwnym, pulsującym rytmie.

- A oto kilkadziesiąt lat wcześniejsza *Etiuda a-moll* Chopina. Czwarta z drugiego tomu.

Podobieństwo wręcz uderzające.

- Ale nie myślcie, że sam Chopin nie podbierał pomysłów innym kompozytorom.

- Dowody! - wykrzyknęłam, podekscytowana tematem dyskusji.

- No, akurat nie mam nut - odparł Richard, nieco zmieszany. - Musicie mi uwierzyć na słowo, że w *Konercie a-moll* Hummela są załączki obydwu chopinowskich koncertów. A wolna część u niejakiego Fielda to prototyp słynnego *Nokturnu Es-dur* z *op. 9*. Inna sprawa, jak genialnie zostało to rozwinięte przez naszego ulubieńca.

- Czyli Chopin też podkradał? - Tadeusz nie mógł oczywiście darować sobie tego rodzaju pytania.

- Wszyscy kompozytorzy tak robili - powiedział Mark.

- Bach, Mozart, Beethoven i tak dalej. Różnica pomiędzy zwykłymi, a wielkimi twórcami polega na tym, że ci ostatni kradną pomysły po to, żeby wykazać, ile można było na ich bazie osiągnąć. Tak zrobił Mozart, wykorzystując cudzy temat w genialnej uwerturze do *Czarodziejskiego fletu*. Znacie to pewnie, prawda? Nie muszę grać? - przytaknęliśmy zgodnie głowami.

- Tak zrobił też Chopin, przekształcając czyjeś motywy w muzyczne arcydzieła.

Była już późna noc, kiedy wychodziliśmy z gościnnego domu w Dzielnicy Łacińskiej. Przy drzwiach Mark objął mnie i przygarnął do swojej szerokiej piersi.

- Przepraszam... nie wiedziałem, jak ci to wszystko powiedzieć... - szepnął przy tej okazji. - Bałem się, że cię wystraszę.

W odpowiedzi uściśnęłam go bez słowa.

- To był wspaniały wieczór. - Miałam wrażenie, że odetchnął z ulgą i już głośno zwrócił się do nas obojga. - Naprawdę cieszymy się, że zechcieliście nas odwiedzić. Będziemy z niecierpliwością czekać na nowiny w sprawie kochanka Marie i ewentualnej książki, która ma powstać. Przyjedziemy na promocję.

- No, no, bo będę trzymać za słowo. - Pogroziłam mu żartobliwie. - My też wam dziękujemy. Za wszystko, a zwłaszcza za informacje dotyczące Chopina i jego muzyki - tu zwróciłam się do Richarda. - Przyznam, że sama jestem zaskoczona, jak wielu jeszcze rzeczy na ten temat nie wiedziałam.

Mark podał rękę Tadeuszowi.

- Masz, chłopie, szczęście - powiedział z udawaną powagą.

- Gdyby Lusina była mężczyzną, zakochałbym się w niej.

Tadeusz z uśmiechem objął mnie mocno.

- Zawsze cieszyłem się, że jest kobietą - odpowiedział.

- Ale teraz cieszę się podwójnie. Nawet nie wiesz jak bardzo...

- Ja też się z tego cieszę... - stojący obok Richard poklepał go po ramieniu.

Wracaliśmy przez opustoszałe niemal ulice Paryża. Było już naprawdę późno, nawet turyści mieli pewnie dość, bo spotkaliśmy zaledwie parę osób. Od Sekwany powiało wilgotnym

chłodem. Przy brzegu kołysały się z chlupotem mieszkalne barki.

- Wiedziałaś o Marku? - Tadeusz nie wytrzymał i spytał mnie o to zaraz po wyjściu z ich mieszkania.

- Nie - przyznałam zgodnie z prawdą. - Ale chyba domyślałam się już od pewnego czasu. A teraz, składając to wszystko razem, jego zachowanie, niedopowiedzenia, gesty, zastanawiam się, jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć. Ale zupełnie mi to nie przeszkadza, a tobie?

- Mnie też nie - wyczułam uśmiech w jego głosie. - Nawet mnie to w jakimś stopniu uszczęśliwiło.

- W jakim stopniu?

- W dużym... - zapewnił mnie z powagą. - W dużym stopniu.

- Lubię Paryż nocą - powiedziałam, przytulając się do Tadeusza.

- Okazuje się, że ja też. - Objął mnie mocno. - Chyba szkoda mi będzie stąd wyjeżdżać.

- I mnie - przyznałam. - Zawsze jednak możemy tu przecież wracać. Pokój na poddaszu mamy obiecany dożywotnio. Pamiętasz, co powiedziała Sophie?

- Tak, pamiętam. I chętnie będę z tego zaproszenia korzystał, zwłaszcza teraz, gdy poznaliśmy tych dziwnych Jankesów. Będzie kogo odwiedzać. Polubiłem ich.

- Ja też ich polubiłam. Wyglądają na dobraną parę, prawda?

- Tak, fajni ludzie. A jaką mają wiedzę. Zaimponowali mi.

Przed snem wyjrzałam jeszcze przez szybę na atelier malarskie w kącie podwórza. Cienie wyglądały zwyczajnie, jak to cienie. Nie zauważyłam żadnego podejrzanego ruchu. Wszędzie panowała cisza, duchy też pewnie poszły już spać.

Wróciłam cicho do łóżka.

TRIGNY, ROK 1849

Zima była wyjątkowo nieprzyjemna tego roku. Lodowaty wiatr wciskał się przez wszystkie szpary starego zamku, wył w kominach, poruszał ciężkimi kotarami z aksamitu w ogromnych oknach. Tego dnia spadł nawet śnieg, zjawisko dość rzadko spotykane w tym rejonie Francji, i przykrył cienką warstwą ogród oraz taras przed oknami sypialni Marie.

Wątpiąca kobieta o twarzy naznaczonej chorobą otuliła się mocniej ciepłym szalem i podeszła do kominka, w którym dopalały się już grube kłody. Przez chwilę stała zapatrzona w ogień, w końcu ocknęła się i pochyliła nad skrzynią z drewnem.

- Mamo...? - Drobnny chłopiec o dziewczęcej urodzie wszedł niemal bezszelestnie do pokoju. - Pukałem, ale nie odpowiadałaś. Dlaczego wyszłaś z łóżka? Zapomniałaś, że lekarz zabronił ci jeszcze chodzić? Jesteś za słaba. Mogłaś przecież zadzwonić i ktoś by przyszedł poprawić ogień. I dlaczego...

- Phillippe. - Błada twarz Marie rozjaśniła się na widok syna. - Nie wiem, na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw. Jak zwykle zadajesz ich tysiące na minutę. Nie nadążam... - Zaniósł się suchym kaszlem.

- Wiesz doskonale, o co mi chodzi - powiedział chłopiec, odprowadzając ją w stronę łóżka. - Zapalenie płuc to nie żarty, tak powiedział przecież doktor.

- Mój ty opiekunie. - Matka pogładziła go czule po ręce. - Już dobrze, wracam do łóżka, ale tak naprawdę, mam dość tego leżenia. Bolać mnie już wszystkie kości. Chciałabym pójść

do pracowni i pomalować trochę, zobaczyć kolory, a nie ciągle to... - Niechętnym gestem wskazała widok za oknem. - Mam już dosyć.

- Lekarz powiedział, że musisz jeszcze trochę poleżeć. Dopiero co spadła ci gorączka, a w pracowni są przeciągi, kominek niesprawny. Ale - ożywił się nagle - poproszę dziadunia, żeby się tym zajął. Obiecuję ci to.

Marie przyglądała się synowi z macierzyńską miłością. Jak on wyrósł i wydorósł!, pomyślała. Jeszcze niedawno był małym urwisem, którego wszędzie było pełno, teraz spoważniał i bardzo starał się sprawiać wrażenie dorosłego mężczyzny, co z czasami załamującym się głosem nie zawsze mu wychodziło. Brak ojca sprawił rzecz jasna, że chłopiec był mocno związany z matką, bała się więc, że wychowała go na zbyt delikatnego i zbyt wrażliwego człowieka. Czy poradzi sobie w życiu, gdyby mnie nagle zabrakło?, pomyślała ze smutkiem.

- Kochanie - odezwała się zmęczonym głosem, - Poproś Marcela, żeby przyniósł jeszcze trochę drewna do kominka. Zimno tu. - Wstrząsnęły ją dreszcze. - Teraz trochę się zdrzemnę, ale wieczorem poczytasz mi do snu, dobrze?

- Oczywiście, mamu. Z wielką przyjemnością - uśmiechnął się zadowolony Phillippe.

Drzwi zamknęły się z hukiem za wychodzącym chłopcem. Widać było, że energia aż go rozpiera i młody człowiek z trudem wytrzymuje w roli „dorosłego mężczyzny”.

- Przepraszam... - w uchylonych drzwiach ukazała się kędzierzawa głowa Phillippe'a - tak mi się jakoś trzasnęło...

Marie uniosła rękę na znak, że nic się nie stało i z ulgą przymknęła oczy, kiedy chłopiec wyszedł, tym razem bezszelestnie, z pokoju.

Czuła się bardzo źle, ale nie chciała martwić tym syna, więc w jego obecności udawała zdrowszą, niż była w istocie. Zapalenie płuc, którego nabawiła się jeszcze w październiku, pozbawiło ją zupełnie sił. Już wydawało się, że wszystko jest w porządku, gdy znów powalala ją gorączka i słabość. Pora roku również nie sprzyjała wyzdrowieniu. Ogromne, źle ogrzewane pomieszczenia zamkowe, pełne przeciągów i wilgoci, sprzyjały nawrotom choroby.

Tak, zdecydowanie za lekko ubrała się wtedy na pogrzeb Fryderyka, ale kiedy wyjeżdżała z Trigny, było dość ciepło, tłumaczyła sama przed sobą. A potem stała tak długo nad jego grobem, aż poczuła zimno ciągnące od ziemi poprzez cienkie podeszwy bucików. Ale chowano właśnie część jej młodości, jakby kawałek jej samej, nie mogła więc stamtąd odejść jak inni. Musiała zostać dłużej. Wiatr wiejący między grobami wciskał się w każdą, nieosłoniętą część jej ciała. Kiedy wreszcie wróciła do domu ciotki, u której zatrzymała się na parę dni, długo nie mogła rozgrzać zmarzniętych stóp. Ciotka, leciwa już, ale wciąż energiczna dama, zarządziła od razu ciepłe kąpiele i gorący bulion, ale mimo to nazajutrz, Marie rozpalona gorączką dojeżdżała do swojego domu. To wtedy właśnie ojciec, który utrzymywał z nią raczej sporadyczne kontakty, zabrał ją i Phillippe'a do siebie, gdzie miała lepszą opiekę niż w domu, w którym rządził szwagier ze swoją ponurą i kłótliwą żoną. I wtedy też, ku radości Marie, starszy pan poznał lepiej i pokochał swojego wnuka.

Drzwi uchylły się lekko i tym razem stanęła w nich starsza siostra Marie. Podeszła do łóżka chorej.

- Lepiej się czujesz, kochana? - zapytała z troską, kładąc jej dłoń na czole. - Znów masz gorączkę...

- Nie, to ty masz zimne ręce i dlatego tak ci się wydaje
-zaprotestowała słabo chora.

- Słyszałam o świetnym lekarzu w Paryżu, niemal cudotwórcy. Wyślę jutro po niego.

- Czyżbyś uważała, że już tylko cudotwórca jest w stanie mnie wyleczyć? - Na twarzy Marie pojawił się przekorny uśmiech.

- No, co też ty opowiadasz! - zachnęła się siostra i przeżegnała bogobojnie. - Nawet nie waż się tak myśleć!

- Już sama nie wiem, co myśleć. Tak długo to trwa...

- Tak. Od jego pogrzebu, pamiętam. Gdybym wiedziała, nigdy nie pozwoliłabym ci tam jechać.

- Chyba nie wiesz, co mówisz... To przecież cała moja młodość, wszyscy znajomi i przyjaciele tam byli. I mnie miałoby zabraknąć? - Kaszel znów wstrząsnął nią całą i pozbawił resztek sił. Opadła na poduszki z zamkniętymi oczami, oddychając ciężko.

- Sophie... - Ciepłe, suche pace odszukały dłoń siostry i zacisnęły się na niej z niespodziewaną siłą. - Gdybym... To znaczy, gdyby mnie zabrakło... Zajmiesz się Phillippem? - spytała cicho, drżącym głosem.

- Przysięgam ci, że tak będzie. - Sophie odwzajemniła uścisk. - Nie musisz nawet o to pytać. Ale ty wydobrejesz, zobaczysz. Sprowadzimy ci z ojcem najlepszych lekarzy i wyzdrowiejesz. Sama go wychowasz, z naszą tylko pomocą. Zobaczysz... - Kobieta przełknęła głośno ślinę, ale nadal miała wrażenie, że ogromna kula tkwi w jej gardle. - Odpoczywaj teraz kochana, prześpij się trochę, a ja pójde wydać dyspozycje kucharce co do kolacji. Musisz się teraz dobrze odżywiać. Śpij. - Poprawiła jej szybkim ruchem kołdrę i wybiegła z sypialni.

W pokoju znów zapanowała cisza. Po Sophie został tylko ulotny zapach perfum, kojarzący się Marie z domem i poczuciem bezpieczeństwa. Siostra była dla niej jednocześnie i siostrą, i matką, którą niewiele pamiętała z dzieciństwa. To do Sophie przychodziła z każdym dziewczynskim kłopotem, to ona później, jako jedyna, poznała największą tajemnicę jej życia. Nigdy nie rozmawiały o tym głośno, ale ona jedna wiedziała.

Na kominku trzasnęło polano. Przestraszona kobieta potrąciła stolik z książką i dagerotypem oprawionym w ozdobne ramki. Schyliła się z trudem i podniosła fotografię, sprawdzając, czy nie zaszкодził jej upadek.

Na szczęście nic się nie stało. Z metalowej płytki spoglądała na nią jej własna podobizna, zdjęcie zrobione latem 1846 roku w Paryżu. Dwa lata później przypadkiem spotkała Fryderyka przy moście Pont des Arts. Marie uśmiechnęła się blado na samo wspomnienie.

Zamknęła oczy i ze zdjęciem przyciśniętym do piersi zaczęła przypominać sobie ten dzień. To był marzec, czy już kwiecień?, zastanawiała się sennie. Chyba koniec marca. Było wyjątkowo ciepło, forsycja nad brzegiem Sekwany miała już spore pączki. Tak, to chyba był marzec. Kilka dni później wróciła do domu z dwutygodniowego pobytu u ciotki, która chorowała trochę i chciała się widzieć ze swoją ulubioną siostrzenicą. A w Trigny forsycja była już obsypana żółtymi kwiatkami. To musiało być pod koniec marca.

Przeniosła się myślami do wiosennego Paryża.

To był pierwszy taki ciepły dzień tej wiosny, dlatego też postanowiła przejść się po mieście pieszo. Zaoszczędzony frank na dorożce, to zawsze jeden frank więcej w pugilaresie. Mogła go przeznaczyć na inny cel, choćby na bukiet pierwszych leśnych kwiatków, kupionych od ulicznej handlarki, albo na mostowe na Pont des Arts. Lubiła przechodzić przez ten most w stronę Luwru, pośród szpaleru krzewów posadzonych w donicach. Opłata nawet nie podrożała, nadal wynosiła trzy sous od osoby. Wcale nie tak drogo, pomyślała, wyjmując pieniądze z małej torebki.

Liczni o tej porze przechodnie obrzucali ją obojętnymi spojrzeniami. Ubrana na ciemno, ze skromną elegancją, kobieta nie rzucała się specjalnie w oczy. Ale sama też nie szukała żadnego towarzystwa, zadowolona, że choć przez chwilę może się do nikogo nie odzywać. Zeszła z mostu i ruszyła ulicą Rivoli w stronę Luwru, jedyne miejsce w Paryżu, które zawsze napełniało ją spokojem. Czuła się już trochę zmęczona wiecznym gwarem panującym w domu ciotki, która zdrowiejąc, robiła więcej hałasu niż odwiedzający ją goście. Staruszka niedosłyszała na jedno ucho i sądząc, że wszyscy dookoła też źle słyszą, niemal wykrzykiwała jak do tuby każde zdanie. Poza tym Marie tęskniła jak szalona za swoim synem Phillipem, który w lipcu tego roku kończył już piętnaście lat. Mój malutki... Ależ nie, uśmiechnęła się z rozrzewnieniem do własnych myśli, już wcale nie taki malutki... Przypomniała sobie za długie ręce i nogi, wiecznie poobijane kolana i radosny śmiech rozpraszający każdy jej smutek. Phillippe, westchnęła, moje...

Drgnęła przestraszona, widząc, że dorożka, która jechała za nią od pewnego już czasu, zatrzymała się nagle. Miała wra-

zenie, że z ciemnego wnętrza ktoś bacznie ją obserwuje. Ruszyła szybszym krokiem, powóz również przyspieszył, a kiedy był już całkiem blisko, ujrzała wysuwającą się przez okienko rękę w eleganckiej rękawiczce, za nią zaś głowę nieznanego mężczyzny. Przez myśl przeleciały jej wszystkie zasłyszane opowieści o mordercach i porywaczach kobiet. Rozejrzała się rozpaczliwie dookoła w poszukiwaniu pomocy.

- Marie...? Marie, to ty...? - Usłyszała nagle znajomy głos. Zmrużyła oczy i wyciągnęła szyję, wpatrując się intensywnie w pasażera dorożki.

- Fry... Fryderyk...? - Dopiero po dłuższej chwili dotarło w końcu do niej, kim jest ów wymizerowany i przedwcześnie postarzały mężczyzna. Zdziwienie i niedowierzenie w głosie kobiety sprawiło mu wyraźną przykrość, ale uśmiechnął się tylko smutno i pokiwał twierdząco głową.

- Tak, to ja, we własnej osobie. - Udał, że zamiata przed nią ziemię wymagowanym kapeluszem z piórem. - Do usług szanownej pani. Pozwolisz, że zaproszę cię do środka? - Podał jej dłoń.

Marie skorzystała z zaproszenia i zagarnawszy poły spódnicy, weszła na schodki kołyszącej się dorożki. Wewnątrz zapachniało znaną jej wodą kwiatową, której, jak zapamiętała, zwykle używał. Często nawet w nadmiarze.

- Tyle lat! - Usiadła naprzeciwko grubo ubranego, mimo ciepłej pogody, mężczyzny. - Co porabiasz? Co słychać? Opowiadaj! - zawołała, uszczęśliwiona widokiem dawno nie widzianego znajomego.

- Najpierw mów, ile masz czasu i czy mogę cię porwać na parę godzin - spytał, dając jednocześnie woźnicy znak do odjazdu. - Gadać by dużo... - W oczach kompozytora pojawiły się

iskierki humoru. - Tylko nie wiem, czy chciałabyś tego wszystkiego wysłuchiwać.

- Chcę, bardzo chcę - przytaknęła ochoczo. - Od lat mam wiadomości o tobie tylko z gazet i od znajomych, teraz mi to wszystko potwierdzisz albo zaprzeczysz. A czasu mam sporo, nie spieszy mi się za bardzo do domu cioteczki. Dopiero stamtąd wyszłam.

- To hrabina żyje jeszcze? - ucieszył się. - Miło mi to słyszeć.

- Żyje i nie dalej jak wczoraj właśnie pytała o ciebie. Ucieszy się, jak powiem jej, kogo spotkałam...

Przez chwilę zapanowała niezręczna cisza. Fryderyk przyglądał się dyskretnie Marie, jakby nie wiedział, o co najpierw pytać. Upłynęło zbyt wiele czasu od ostatniego spotkania, zbyt wiele ich dzieliło i zbyt mało mieli już wspólnego.

Od dnia, w którym złośliwy plotkarz, pan Potignac, doniósł ojcu Marie o jej tajemnym romansie, upłynęło już wiele lat. Wyjechała wtedy z Paryża tak nagle, że nie zdążyła się nawet z nikim pożegnać. Ojciec dał jej wtedy czas tylko na spakowanie własnych rzeczy.

- Nie poznałaś mnie - Fryderyk raczej stwierdził, niż zapytał.

- To prawda - przyznała. - Tyle czasu przecież upłynęło. Ile to już lat?

- Zaczęła obliczać coś na palcach. - Piętnaście? Ale poznałam cię po głosie.

- A ja ciebie po chodzie. Zawsze tak drobisz kroki jak Chinka. I stale się garbisz. - Pogroził palcem. - Już wtedy zwracałem ci na to uwagę.

Uśmiechnęła się gorzko. Nie poznali się nawzajem, to prawda. Ona pamiętała wesołego, skłonnego do żartów fircyka, on młodą, radosną dziewczynę, ciekawą życia. A teraz... On przed

wcześnie postarzały i złamany chorobą, ona trzydziestoparoletnia wdowa o twarzy naznaczonej wiecznym smutkiem.

Mężczyzna prawdopodobnie myślał o tym samym, bo dyskretnie lustrował Marie spojrzeniem. Przez otwarte okno powozu dochodził do nich gwar ulicy.

- A co u... - zaczęli jednocześnie i roześmiali się głośno.

- Nieważne, co u kogo. - Machnął ręką Fryderyk. - Powiedz, co u ciebie. Słyszałem, że wyszłaś za męża. To prawda? -dokończył cicho.

- Taak... - zaczęła niepewnie. - Ale rok później owdowiałam - dodała szybko.

- Przykro to słyszeć. A... - zawahał się przed zadaniem następnego pytania.

- Nie, nie wyszłam drugi raz za męża - odpowiedziała mimo wszystko.

- Ale nie jestem sama - uśmiechnęła się promiennie. - Mam syna, który jest największą miłością mojego życia.

- Ależ ci zazdroszczę! Ja nie miałem tyle szczęścia, niestety

- zasmucił się, ale zaraz zawołał ożywiony. - Musisz mi go przedstawić, koniecznie! Syn małej Marie... Gdzie on teraz jest? Tu, w Paryżu?

- Nie, nie. - Marie pokręciła przecząco głową. - Został z moją rodziną w Trigny. Nie chciałam go brać ze sobą do chorej ciotki. Jeszcze by się czegoś nabawił, nie daj Boże.

- Szkoda. - Mężczyzna skulił się w sobie i zakaszał.

- Przepraszam - wytarł nos w ogromną chustkę - ale ciągle nie mogę wydobrżeć. Wlecze się to choróbsko za mną i wlecze. Najchętniej zostałbym w domu i nie wychodził z łóżka, ale umówiony jestem dziś z fotografem i muszę tam pojechać. Wszystko przez moją rodzinę. - Rozłożył ręce w bezradnym geście. - Im nigdy niczego nie mogę odmówić.

- Jak to? - Marie zrobiła zdziwioną minę. - A co oni mają z tym wspólnego?

- Uparli się, żebym kazał sobie zdjąć fotografię. Mają wprawdzie mój dagerotyp sprzed paru lat, ale twierdzą, że mało do siebie podobny. Rzeczywiście wyglądam na nim jak kretyń - zaśmiał się, co spowodowało atak kaszlu. - Ponoć fotografie dzisiejsze są bardziej wyraźne - podjął temat po chwili, kiedy już uspokoił się na tyle, żeby mówić. - Nie załamują światła jak te metalowe. Zresztą, sama wiesz dobrze... - przerwał nagle i szybko zmienił temat. - Wyobraź sobie, że spotkałem niedawno...

- Kiedy robiłeś ten dagerotyp? - przerwała mu Marie, spoglądając nań badawczo.

Fryderyk zmieszał się i uciekł spojrzeniem w bok.

- Nie wiem. Nie pamiętam dokładnie.

- Mogło to być trzy lata temu?

- Czy ja wiem... może i tak. Takie to ważne?

- Ważne, bo i ja trzy lata temu kazałam się w tym zakładzie zdagerotypować. A kiedy przyjechałam po odbiór fotografii, okazało się, że ktoś już za nią zapłacił. Nie wiesz czasami, kto...?

Chwilę milczał, a w końcu machnął zniecierpliwioną ręką.

- No dobrze - zabrzmiało to trochę za głośno - to byłem ja. I cóż z tego? Nie mogłem sprawić prezentu przyjaciółce?

- Ale skąd wiedziałeś, że tam właśnie robiłam zdjęcie? Fryderyk spuścił głowę i odpowiedział innym już tonem, starając się nie patrzeć jej w oczy.

- Widziałem cię, jak wchodziłaś do pracowni. Byłem w pomieszczeniu obok i szykowałem się akurat do wyjścia.

Marie przypomniała sobie, że fotograf mówił coś wtedy o poprzednim, grymaszącym ponad miarę, kliencie. „Tacy są ci artyści”, skwitował w końcu sprawę wzruszeniem ramion, ale ona nie zwróciła na to szczególnej uwagi. Myśli miała zajęte Phillippem, który przechodził właśnie jedną z dziecięcych chorób i chciała jak najszybciej wrócić do domu.

- To dlaczego mnie nie zawołałeś? - spojrzała na niego zdumiona. - Byłeś tak blisko...

- Bałem się, że nie będziesz ze mną rozmawiać - wyznał. - Wyjechałaś wtedy bez pożegnania, więc myślałem, że nie chcesz mnie więcej widzieć. Zresztą, byłaś w towarzystwie jakiegoś mężczyzny - dodał, wzruszając ramionami. - Sądziłem, że to mąż.

- Nie. - Marie poczuła, że zbiera jej się na płacz. - To był brat mojego zmarłego męża. O, Boże... Myślałam nawet wtedy, czy cię nie spotkam gdzieś na ulicy. Jakież miałabym powód, żeby z tobą nie rozmawiać? - Zamilkła, bo głos zaczął jej się niebezpiecznie załamywać. - Ech, szkoda gadać. - Machnęła w końcu ręką. - Stare dzieje. Dajmy temu pokój.

Fryderyk kręcił się niespokojnie na siedzeniu.

- To teraz mogę ci się jeszcze przyznać, że poprosiłem Eu-gene'a, żeby mi wymalował portret z tego dagerotypu. Wprawdzie fotograf nie bardzo chciał się zgodzić na wypożyczenie twojej podobizny, ale odpowiednia sumka przekonała go szybko. Dlatego tak długo czekałaś na odbiór - dodał, spoglądając na nią niepewnie.

Rzeczywiście, Marie musiała aż dwa razy przyjeżdżać z Trigny po odbiór dagerotypu, bo za pierwszą wizytą nie był jeszcze gotowy. Fotograf tłumaczył coś nieskładnie, a gdy powiedział jej w końcu, że ktoś za niego zapłacił, pomyślała, że

to on sam chciał w ten sposób wynagrodzić klientce te niedogodności.

- Frédéric... - Uścisnęła jego dłoń ze łzami wzruszenia. - Ty paskudny, kochany tchórze, co ja mam z tobą teraz zrobić? Nic, tylko chyba udusić.

Przez chwilę oboje pociągali nosami i spoglądali na siebie spod oka.

- No dobrze. - Marie pierwsza się opanowała, wytarła oczy i nos chusteczką, a potem schowała ją do torebki. - To co z tym twoim nowym zdjęciem? Myślisz, że wyjdiesz na nim mądrzej? Wątpię.

- Ja też wątpię - roześmiał się głośno z wyraźną ulgą. - Ale nie dadzą mi spokoju. Twierdzą, że obrazy obrazami, rysunki rysunkami, a takie coś to zdjęcie z natury i pamiątka na całe życie - niezniszczalna, przetrwa całe pokolenia... Mam dalej wyliczać, co tam jeszcze mówili? - uśmiechnął się łobuzersko i Marie ze wzruszeniem zobaczyła Fryderyka sprzed lat. Wesołego i skłonnego do żartów. I uciekającego przed trudnymi sytuacjami, niestety.

- Słowem - kontynuował zadowolony ze zmiany tematu -kazali to zrobić i nawet wysłali na ten cel pieniądze. Nie mam już zatem wyjścia, więc umówiłem się na dzisiaj z tym magikiem od obrazów z natury w domu mojego wydawcy. I chciał, nie chciał, muszę tam jechać. Słuchaj... zakrztusił się nagle śliną, rozkaszał i poczerwieniał na twarzy. - A może pojechałabyś tam ze mną, skoro masz czas? Będziemy mogli porozmawiać jeszcze po drodze, a potem może pójdziemy gdzieś na obiad. Co ty na to?

- Na miejscu i tak dużo nie pogadamy. - Marie wzruszyła ramionami.
- Tam trzeba siedzieć bez ruchu przez prawie pół godziny.
- ~ Nawet mnie nie strasz - przerwał jej zaskoczony. - Słyszałem o paru, najwyżej kilkunastu minutach.
- Teraz już pewnie krócej niż pół godziny - wycofała się -ale wtedy jak pamiętasz, to chyba tyle właśnie trwało. A może to był kwadrans? Nieważne, w każdym razie długo. Słońce raziło w oczy, a ja miałam wrażenie, że oblaży mnie mrówki i wszystko mnie swędziało. A tu ruszyć się nie było wolno. Koszmar.
- Oj, pamiętam, pamiętam. - Pokiwał głową Fryderyk. - Myślałem wtedy, że się rozpuknę. Może dlatego z taką głupią miną mnie zdjął ten fotograf. Teraz to już wszystko nowoczesne, aparatura lepsza i warunki pewnie inne. To jak -uśmiechnął się zachęcająco - pojedziesz tam dzisiaj ze mną?
- Ale nie jestem odpowiednio ubrana. - Popatrzyła na swoją ciemną, skromną suknię i zniszczone buciki...
- Wyglądasz pięknie, jak zwykle - zapewnił ją z ciepłym uśmiechem.
- Piękniej niż niejedna kobieta na tej ulicy. O, popatrz na tę niewiastę chociażby. O, tam!
- Ależ... - Marie spojrzała na niego zdumiona. - To jest przecież mężczyzna w pelerynie i z długimi włosami...
- Doprawdy? - Fryderyk wychylił się z powozu, a kiedy znów się odwrócił, dojrzała ten znany jej z młodości błysk w jego oczach, jak zawsze wtedy, gdy żartował.
- No dobrze. - Uśmiechnęła się rozbrojona. - Chyba nie sposób ci odmówić. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

- Bo ja się tak bardzo nie zmieniłem - uśmiechnął się przekornie. - Nawet tego samego walca wpisuję nadal panią do sztambuchów...

Marie zaśmiała się głośno i przytuliła go mocno do siebie.

- To dobrze - powiedziała z mocą. - Nie chciałabym, żebyś aż tak się zmienił.

Do umówionej wizyty pozostało jeszcze trochę czasu, postanowili więc wysiąść przed ogrodem Tuileries i resztę drogi przebyć pieszo. Fryderyk kazał zatrzymać dorożkę przed wejściem, wysiadł pierwszy i podał Marie dłoń.

- Chodź, usiądziemy gdzieś na ławce w słońcu. Stale mi zimno, muszę się rozgrzać.

Weszli na północny taras, wychodzący na ulicę Rivoli. Poniżej widać było przechadzające się po alejkach damy w pelerynach z tafty i aksamitnych sukniach. Ich krynolinowe spódnice i talie jak u osy wzbudziły zachwyty Marie.

- Nawet nie wiem, jaka teraz obowiązuje moda - westchnęła. - Do nas takie wieści docierają z opóźnieniem. Jak to się nosi? - zastanowiła się głośno, patrząc na młodą kobietę schylającą się właśnie po coś na ścieżce. Obszerna spódnica na metalowych obręczach uniosła się nagle w górę, ukazując całą bieliznę pod spodem.

- Arcy ta moda ciekawa, nie powiem. - Fryderyk zaśmiał się cicho. - A jakie przy tym widoki...

Przysiedli na małej ławeczce, mając za niedalekie towarzystwo tylko starszych panów drzemiących w fotelach nad wypożyczonymi gazetami. Na wschodnim krańcu ogrodu szeroki rów oddzielał tereny publiczne od królewskich, głównie z uwagi na częste zamachy na życie króla. Gdzieś tam widać było żołnie-

rzy Gwardii Narodowej czuwających dyskretnie nad porządkiem i spokojem, zwłaszcza w tej części ogrodu.

- Powiedz, czy masz jakieś wieści od Franza Liszta? - spytała Marie, kiedy zaczęli wspominać wspólnych znajomych. - Czy to prawda, żeście się poróżnili?

- Nie chcę o tym mówić. - Machnął z niechęcią ręką. - Stare dzieje.

- Czyli prawda - stwierdziła. - Co się stało? Przecież przyjaźniliście się tyle lat?

- Kochana - pokręcił przecząco głową - to nie ma już znaczenia. Niech ci wystarczy, że związane to było z jurnością naszego przyjaciela. Słyszałaś pewnie niejedną plotkę na ten temat. W każdym razie wyrznął mi taki kawał w moim własnym mieszkaniu, że... Nie, nie chcę już tego wspominać. Ale utrzymujemy nadal kontakty, tyle że już nie takie serdeczne jak kiedyś. Zresztą, każdy z nas ma już swoje własne życie i problemy.

- Dobrze, nie będę drażnić tego tematu, skoro sobie nie życzysz. Myślałam, że poszło o muzykę.

- I o to też trochę - przyznał. - W sumie, to o wszystko po trochu. Zaczął mnie drażnić.

Zamilkli oboje. Marie przemknęła przez głowę myśl, że być może Fryderyk zazdrościł trochę Franzowi powodzenia u kobiet. Widząc teraz jego zmarszczone gniewnie brwi, trudno było uwierzyć, że nadal złości go tamto wydarzenie sprzed lat. Jak dobrze jednak pamiętała, Frédéric potrafił długo żywić do kogoś urazę. Ale co to ma teraz za znaczenie, przestała się nad tym zastanawiać.

Obok ławki przebiegł pies, a za nim zdyszany właściciel, na którego już z daleka machał żołnierz Gwardii Narodowej. Psy w ogrodzie Tuileries należało trzymać na smyczy

- Nad czym teraz pracujesz? - Marie zmieniła temat. - Dajesz jeszcze koncerty?

- Nie - mężczyzna nagle posmutniał. - Nic już właściwie nie robię. Moja muzyka wydaje mi się w ogóle nieudana. Czuję się tak słaby, że najchętniej nie wychodziłbym z łóżka. Dasz wiarę, że był taki czas, że służący musiał mnie wnosić po schodach do mojego mieszkania? I lekcje mnie już męczą i drażnią. I ci wszyscy ludzie dookoła, z tymi swoimi opiekami. Chciałbym, żeby mnie w końcu zostawili w spokoju i dali spokojnie umrzeć.

- Co też ty opowiadasz?! - przeraziła się Marie. - Nie wolno nawet tak myśleć, przecież wyzdrowiejesz!

- Przestałem już w to wierzyć. Jest mi smutno. Nudzę się sam ze sobą i nie wiem, jak inni ze mną wytrzymują. Nie pracuję, to i nie zarabiam - ciągnął dalej gorzkim głosem. - Dlatego cieszę się, że nie założyłem rodziny. Może to i dobrze, że nie mam dzieci. Teraz mogę sam w szpitalu zdechnąć, ale przynajmniej żony ani dziecka bez chleba nie zostawię. Ale cieszę się, że chociaż ty znalazłaś miłość i szczęście w życiu. I że masz syna. - Pogłaskał ją po dłoni. - Naprawdę się cieszę.

Marie spuściła głowę bez słowa. Cóż tu zresztą mówić? Cokolwiek bym teraz nie powiedziała, zabrzmiałoby to jak banał, puste pocieszenie, którego on wcale nie oczekuje, pomyślała. Fryderyk potrzebuje kogoś, kto go wysłucha i nie będzie się pchał z radami, ani swoimi problemami. Tylko wysłuchać i nic więcej, postanowiła.

Jeszcze przed chwilą chciała mu się przyznać, jak komuś bliskiemu i drogiemu, że tak, jej syn jest owocem wielkiej miłości, lecz nie do męża. Że to nie mąż był ojcem tego dziecka, ale zrezygnowała. Ta wiedza nie była mu teraz do niczego potrzebna, mogłaby tylko sprawić przykrość i zmać jego spokój. W końcu to przecież nieślubne dziecko. Miałby jej może za złe, potępił za to, co wtedy zrobiła. Nie, nic już nie będzie mówić.

- I znowu cię zasmuciłem - uśmiechnął się gorzko. - Widzisz, ja już nawet nie potrafię rozmawiać z przyjaciółmi. Opowiem ci coś bardziej optymistycznego, chcesz?

W odpowiedzi kiwnęła głową i spojrzała na niego zachęcająco.

- To nie całkiem prawda z tym, że nic nie robię - zaczął tajemniczo. - Projektuję nowy koncert fortepianowy, bo z tych warszawskich nie jestem kontent. A od pewnego już czasu chodzi mi też po głowie pomysł napisania podręcznika gry fortepianowej. Nazwałbym go *Metodą*.

Marie z przyjemnością zauważyła, jak twarz jej przyjaciela ożywia się, oczy nabierają blasku, a na blade policzki wypełza ceglasty rumieniec. Widać było, że samo napomknięcie o tym pomysle sprawia mu radość, mimo wyraźnych trudności w mówieniu. Brakowało mu oddechu, zatrzymywał się zdyszany, przerywał w pół słowa, zniecierpliwiony własną słabością, a potem podejmował wątek z jeszcze większym żarem.

- Jakie palce ma twój syn? - spytał nagle.

- Jakie? - Zastanowiła się przez chwilę i popatrzyła na swoją dłoń. - Chyba długie i smukłe... Tak, z pewnością takie, bo pamiętam, jak kiedyś mu mówiłam, że mógłby zostać muzykiem.

A gra na fortepianie?

- Niestety... - Pokręciła przecząco głową. - Nie udało mi się znaleźć odpowiedniego nauczyciela. Żaden nie był w stanie wytrzymać dłużej niż miesiąc, bo Phillippe szybko się zniechęca i...

- Phillippe? - uśmiechnął się Fryderyk. - Ładne imię dla chłopca. Chociaż, gdybym ja miał syna, dałbym mu na imię Tytus albo Mikołaj. Ale Phillippe też ładnie. Zatem powiadasz -wrócił do tematu - że palce ma długie? Otóż, poradź mu, żeby ćwiczenia rozpoczynał od tonacji Ges-dur, bo dla takich właśnie długich palców wygodniejsze są czarne klawisze. Potem, używając coraz mniej czarnych klawiszy, stopniowo będzie przechodził do najtrudniejszej gamy C-dur. Ale nie przymuszaj go na siłę. Może po prostu fortepian to nie jego instrument. Długie i cienkie palce są w sam raz dla skrzypiec.

Przerwał na chwilę, żeby złapać oddech i wyjąć okrągły zegarek z kieszeni surduta, widocznego pod płaszczem.

- Jeszcze mamy trochę czasu - powiedział, chowając go z powrotem - ale powoli będziemy musieli się zbierać. Rue de Richelieu, to wprawdzie niedaleko stąd, ale ja nie chodzę teraz zbyt szybko.

- Dobrze - powiedziała Marie, podnosząc się z ławki. - Możemy przecież dokończyć rozmowę po drodze.

- Na czym to ja stanąłem? - zapytał, kiedy ruszyli spacerowym krokiem w stronę ulicy Rivoli. - Ach, tak. Już wiem. -Klepnął się otwartą dłonią w czoło. - O palcach. Niektórzy uważają, że do wszystkich palców należy stosować jednaką siłę, a ja się z tym nie zgadzam. Moim zdaniem należy indywidualnie rozwijać możliwości każdego z osobna, biorąc pod uwagę ich predyspozycje, a nie bębnić po fortepianie wszystkimi jednakowo.

Zasapał się i przystanął na moment. Marie, starając się nie urazić go przesadną troską, udała, że wyjmuje w tym czasie kamyk z bucika. Ogrodowe alejki wysypane były drobnym żwirem.

- Ważna jest też praca przegubu - kontynuował, kiedy znów ruszyli. - Większość pianistów uderza z całego ramienia, łokcia, a nawet z barku. A cała siła ma iść z nadgarstka, który powinien być rozluźniony, o tak - zademonstrował jej to w powietrzu. Przystanął na chwilę, schylił się i oparł dłonie na kolanach, jak szybkobiegacz dla wyrównania oddechu. - Te wszystkie i inne wskazówki mam zamiar umieścić w mojej *Metodzie* - wrócił do tematu, lekko jeszcze zasapany. - Po tylu latach praktyki i lekcji z uczniami wiem już, na co trzeba zwracać szczególną uwagę. Może kiedyś ten podręcznik przyda się i twojemu synowi? - uśmiechnął się do własnych myśli. - Może dzięki niemu chętniej przyłoży się do lekcji? Dopilnuj tego, Marie. On powinien umieć grać. - Znów przystanął zdyszany, a Marie poczuła, że i jej zaczyna brakować oddechu. Męczyło ją samo patrzenie na duszności przyjaciela. - Muzyka to przecież sztuka wyrażania myśli dźwiękami i manipulowanie nimi - kontynuował coraz ciszej. - Musi się nauczyć techniki, bo inaczej będzie wydobywał z instrumentu tylko pojedyncze dźwięki bez sensu. Może właśnie dlatego gra go jeszcze nie bawi. Sam dźwięk to jeszcze nie muzyka.

Fryderyk mówił teraz do siebie. Jakby zupełnie zapomniał, że obok idzie Marie, starająca się dostosować krok do jego tempa. Nie chciała przerywać. Szła zasluchana w ten głos, przypominając sobie podobne wykłady i rozważania sprzed lat, kiedy to o muzyce potrafili przegadać całe godziny.

Doszli do ulicy Rivoli, ale kompozytor był już zbyt zmęczony, żeby iść dalej pieszo. Wyraźnie też dokuczały mu spuchnięte nogi, na które zwróciła uwagę, gdy siedzieli na ławce. Skinął więc na przejeżdżającą obok dorożkę i kazał woźnicy zawieźć ich na Rue de Richelieu, coraz bardziej zirytowany koniecznością zrobienia zdjęcia.

- Diabli nadali tego fotografa - mrucał pod nosem. - Gdyby nie to, nie musiałbym w ogóle wychodzić z domu. Tylko że... - popatrzył na siedzącą obok Marie - gdyby nie to, może byśmy się wcale nie spotkali! Dobrze jednak. Bardzo dobrze się stało.

A jednak taki jak zawsze, kobieta uśmiechnęła się do własnych myśli. Zmienia nastroje jak rękawiczki. A rękawiczki zmieniał często.

W jednym z pomieszczeń w oficynie budynku przygotowane już było krzeselko dla fotografowanego. Widać było, że fotograf starannie przygotował miejsce do zrobienia tego zdjęcia: jasna ściana służyła jako tło, obok wysoka szafka z książkami oraz stolik z leżącym na nim albumem na fotografie. Jak w profesjonalnym zakładzie fotograficznym. Pudło aparatu ze szklanym obiektywem zwrócone było wprost na siedzący nieruchomo obiekt.

- Proszę tak trzymać główkę - fotograf ustawiał odpowiednią pozę - i nie ruszać się, aż nie zawołam, że to już koniec.

Podszedł z ważną miną do aparatu.

- Nazywa się to podobno camera obscura czy jakoś tam - Fryderyk szepnął w stronę Marie, pokazując ruchem głowy w stronę ciemnego, ustawionego na wysokim trójnogu pudła.

- Znajomy mi tłumaczył, jak to działa, ale... - Wzruszył lekceważąco ramionami.

- Mówiłem, nie ruszać się! - krzyknął zniecierpliwiony fotograf, wymachując rękami w powietrzu. - Nie możemy tu przecież siedzieć do wieczora! - Szybko jednak zreflektował się, że zbyt ostro to zabrzmiało, więc zawołał dla złagodzenia efektu. - Wygląda pan przepięknie! O, tak właśnie proszę trzymać głowę. Bardzo dobrze. A teraz proszę się nie ruszać, a nawet jak najmniej oddychać.

Fryderyk zastygł bez ruchu ze złożonymi na podołku rękami. Marie zauważyła bolesny wyraz, jaki pojawił się na jego opuchniętej twarzy. Teraz dopiero mogła przyglądać mu się bez skrępowania i ze smutkiem obserwować spustoszenie, jakie spowodowała choroba.

Mimo kilku warstw ubrania, widocznych spod rozpiętego płaszcza, mężczyzna wyglądał na trzęsącego się z zimna. Na wpół otwarte usta i pionowa zmarszczka między brwiami świadczyły o wielkim napięciu, wręcz bólu. Nawet kilkanaście sekund to cała wieczność dla kogoś, kto musi złapać głęboko oddech. Marie bała się, że jej przyjaciel nie da rady. Że zerwie się z krzeselka i wybiegnie z podwórza, nie bacząc na konsekwencje.

A jednak wytrzymał. Kiedy fotograf zakrył wreszcie szkło i jak sztukmistrz zawołał: „Merci!”, Fryderyk stęknął boleśnie, wstał i zrzucając niechcący album ze zdjęciami, oparł się mocno rękami o brzeg stolika. Starał się rozszerzyć w ten sposób mięśnie klatki piersiowej, by wciągnąć jak najwięcej powietrza w umęczone płuca.

- Jezu, myślałem już, że się uduszę - jęknął po chwili, pochylony i z zamkniętymi jeszcze oczami.

Poszarzał na twarzy i jakby skurczył się cały w sobie. Marie z przerażeniem śledziła tę przemianę.

- Chodźmy stąd - powiedziała, podchodząc do niego. - Odwiozę cię do domu. Musisz się chyba położyć.

- Tak - przyznał niechętnie. - Muszę się położyć. Czuję się bardzo zmęczony i nie wysiedzę już w tym dusznym pokoju ani chwili dłużej.

- Nie chce pan zobaczyć swojej podobizny? - zawołał fotograf za odchodzącym klientem. - Zaraz dam kliszę do łaźni i niedługo będzie gotowa do oglądania. Nie uzgodniliśmy też jeszcze, jak ją mam oprawić.

- Nie, nie chcę teraz. Znam swoją fizjonomię z lustra i wcale nie jestem jej ciekaw. - Fryderyk machnął zniecierpliwiony ręką. - Oprawi pan tak, jak tam się oprawia takie wizerunki. Nie znam się na tym. Proszę mi przysłać rachunek i fotografię do domu.

Ruszyli razem w kierunku bramy, skąd pomocnik fotografa zawołał dla nich dorożkę.

- Mieliśmy pojechać na obiad - uśmiechnął się przeprasząco. - Nie ma co, interesujące ci się trafiło dziś towarzystwo.

- I tak musiałabym zjeść drugi obiad u cioteczki, znasz ją przecież - pocieszyła go - a nie wiem, czy bym to wytrzymała. Jak pewnie pamiętasz, niewiele jest większych nietaktów, jak wymówienie się od obiadu w jej domu.

- Tak, pamiętam doskonale. No cóż - westchnął ciężko - może następnym razem uda się nam spędzić więcej czasu razem. Przywieziesz tu swojego syna? Bardzo bym go chciał poznać. Ile on już ma lat?

- Piętnaście - odparła Marie ze łzami w oczach.

Jesienią, tego samego roku, przeczytała w gazecie wiadomość o śmierci wielkiego, polskiego kompozytora. Natychmiast zabrała Phillippe'a i pojechali razem, tak jak to obiecała przyjacielowi, do Paryża. Uroczystości pogrzebowe przeciągały się jednak zbyt długo, więc musiała w końcu odesłać syna do Trigny, żeby nie zaniedbywał nauki. Sama została aż do końca u ciotki.

Na uroczyste nabożeństwo żałobne w kościele św. Magdaleny przyszło mnóstwo przyjaciół, znajomych i nieznajomych. Tłumy wypełniały szczelnie wnętrze kościoła, a ci, którzy się nie zmieścili w środku, stali na zewnątrz, w nadziei, że zobaczą chociaż kondukt żałobny po nabożeństwie i odprowadzą go na cmentarz Pere Lachise.

Marie zostawiła wujostwo przy drzwiach, a sama precyzyjnie się tak, aby być możliwie jak najbliżej katafalku, na którym ustawiono trumnę ze zwłokami Fryderyka. Kiedy wynoszono ją z krypty, orkiestra zagrała *Marsz żałobny* z jego *Sonaty b-moll* Marsz, który przejmował go lękiem i który podobno sam tak niechętnie wykonywał.

W ławce blisko ołtarza zauważyła bladą, bardzo podobną do niego kobietę, siedzącą prosto, ze skamieniałą z żalu twarzą. Pewnie siostra, pomyślała, wpatrując się w nią dyskretnie. Pewnie Ludwika, o której z taką miłością zawsze opowiadał. Mam nadzieję, że chociaż zdążył się z nią jeszcze pożegnać...

Kogo teraz udajesz Frederic?, szepnęła w myślach, patrząc na stojącą na katafalku trumnę. To najmniej udana z twoich parodii... przestań.

Uśmiechnęła się mimo woli, przypominając sobie jego popisy pewnego dnia w domu ciotki. Wszyscy byli przekonani, że za zamkniętymi drzwiami pokoju kłóć się trzy osoby,

a znaleziono tam tylko bardzo zadowolonego z żartu kompozytora. Wuj, nie wierząc, że można aż tak udanie kogoś naśladować, obchodził cały pokój w poszukiwaniu pozostałych uczestników kłótni.

Marie posmutniała, wracając do rzeczywistości.

Tymczasem kościół wypełniły dźwięki dwóch preludiów Fryderyka, wykonanych z dużym talentem przez organistę. Potężny dźwięk instrumentu sprawił, że łzy popłynęły już niepowstrzymanie po jej twarzy. To była przecież jego muzyka.

Na zakończenie uroczystości orkiestra i chór Towarzystwa Koncertowego wykonały *Requiem* Mozarta, według ostatniego życzenia Chopina. Marie była wzruszona. Fryderyk byłby z pewnością zadowolony, słuchając tego wykonania. Muzycy dali z siebie wszystko, a soliści odśpiewali swoje partie z całym mistrzostwem sztuki wokalne i z ogromnym sercem.

Tak przynajmniej wydawało się wtedy Marie. Później doszły do niej słuchy, że kazali sobie za ten występ słono zapłacić.

Kondukt żałobny ruszył spod kościoła, odprowadzany przez liczne pojazdy żałobne i prywatne karety. Wokół trumny szli, podtrzymując całun, najbliżsi przyjaciele kompozytora, wśród których Marie zauważyła Eugène Delacroix, przygarbionego i złamanego smutkiem. Za trumną szła siostra z córką, dalej, pogrążeni w żałobie, bliźni i dalsi znajomi oraz wielbiciel kompozytora. Marie, ze względu na wiek wujostwa, jechała razem z nimi w przybranej na czarno karecie.

Na cmentarzu nikt na szczęście nie przemawiał nad grobem. Pełne żalu milczenie wyraziło więcej, niż napuszone mowy.

W takim samym milczeniu Marie stała jeszcze długo nad świeżym grobem, odsyłając wuja i ciotkę samych do domu. Chciała jeszcze ostatni raz porozmawiać z Fryderykiem w samotności.

Powiedzieć wszystko to, czego nie zdążyła podczas ich ostatniego spotkania.

Na kominku znów dogasał płomień. Marie odłożyła dagerotyp na stół i z trudem sięgnęła po dzwonek. Niemal natychmiast, tak jakby tylko czekał na taki znak za drzwiami, wszedł stary służący - Marcel. Bez słowa podszedł do skrzyni z drewnem i podłożył do ognia. Po chwili znikł równie bezszelestnie, jak się pojawił.

Za wysokim oknem śnieg zmienił się w deszcz, zacinający wprost na szyby Marie znów powróciła myślami do tamtego ostatniego spotkania.

Zabawne, uśmiechnęła się lekko, Frederic przestraszył mnie, kiedy go pierwszy raz w życiu spotkałam, wtedy, wieczorem na ulicy, i po raz ostatni, też na ulicy, w ciemnej dorożce. Ale i wyglądał jak jakiś porywacz kobiet, zachichotała cichutko. On - zawsze piękny, uwodzicielski i czarujący wszystkie kobiety swoimi manierami i cudowną muzyką - wzięty za zbir. A jeszcze wcześniej za zwykłego pijaka. Dobrze, że tego wszystkiego nie wiedział. Bardzo dobrze...

Targnął nią gwałtowny kaszel. Zmęczona opadła na poduszki. Za oknem nagle pojaśniało, a zza chmur wyszło na moment ostre słońce i napełniło świat kolorami. Krople deszczu w pajęczynie za oknem zamigotały tęczowymi iskierkami.

Jak garść brylantów rzuconych na czarny tiul, pomyślała Marie, patrząc na poruszaną wiatrem, porwaną sieć. Zupełnie

jak klejnoty, które kopiowałam na sukniach malowanych przez Velazqueza. Teraz umiałabym już je odwzorować.

Drzwi od sypialni uchyliły się znów z lekkim skrzygnięciem, a po chwili pojawił się w nich ojciec Marie, trzymający w ręce jakieś zawiniątko. Kobieta zauważyła, jak bardzo postarzał się i jakby skulił w sobie. Przez rzadkie, siwe włosy prześwitywała błyszcząca skóra głowy. Ciemne, kiedyś piękne oczy stały się teraz matowe i bez wyrazu, obwiedzione czerwonymi obwódkami i jakby zapadnięte w głąb czaszki.

- Tatu. - Kobieta podniosła się z wysiłkiem na łóżku. - Czy coś się stało? Wyglądasz, jakbyś był chory.

- Nie wstawaj dziecko, proszę. - Zatrzymał ją gestem dłoni. - Nie możesz się teraz męczyć, a ja... - zawahał się przez chwilę, a potem dodał głucho - a ja nie zasługuję na taki wysiłek z twojej strony.

- Co też... - zaczęła zaskoczona, ale ojciec przerwał jej niecierpliwie.

- Nie zasługuję. Skrzywdziłem cię, a teraz przyszedłem błagać o wybaczenie, chociaż sam sobie nigdy nie wybaczę.

Przez chwilę panowała cisza, przerywana jedynie trzaskaniem ognia na kominku i wyciem wiatru w szczelinach dużego okna. Marie zastygła w oczekiwaniu, bojąc się odezwać, żeby nie spłoszyć tej chwili. Fakt. Ojciec bardzo ją skrzywdził, sprowadzając siłą do Trigny i wydając za mąż wbrew jej woli, ale to dawne czasy. Nawet największy ból przestaje być tak dokuczliwy po latach, największe cierpienie staje się tylko echem tamtego strasznego przeżycia, wszystko można przeboleć i przeżyć. Na początku bardzo cierpiała, ale po narodzinach Phillippe'a odzyskała radość życia. To dziecko wynagrodziło jej wszystkie niepowodzenia i smutki. A teraz, kiedy jej

ojciec poznał i pokochał swojego wnuka, czuła się naprawdę szczęśliwa. Niczego więcej nie oczekiwała już od życia.

- Ależ ojciec kochany... - zaczęła ostrożnie, widząc, że starzec milczy, nie umiając widocznie znaleźć odpowiednich słów. Ten dumny i wyniosły mężczyzna rzadko, o ile nie w ogóle, przyznawał się do błędów. Nigdy też nie słyszała od niego słowa: „przepraszam”. - Ojciec - chwyciła go rozpaloną dłonią za rękę - ja już dawno ci przebaczyłam...

Starzec pokręcił gwałtownie głową.

- Nic nie wiesz! Znienawidzisz mnie za to, co ci teraz powiem, ale muszę zrzucić ten ciężar z serca. Nie mogę już dłużej z nim żyć.

Przysunął ciężkie, dębowe krzesło do łóżka córki i usiadł na nim ciężko, chowając twarz w dłonie.

- Pamiętasz, jak przywiozłem cię tutaj z Paryża? - odezwał się przytłumionym głosem. Nagle wyprostował się i kontynuował niemal ze złością. - Byłaś w ciąży z tym... z tym cherlawym wymoczkim bez grosza przy duszy. Nie mogłem pozwolić, żeby moja ukochana córka klepała biedę z artystą, w dodatku cudzoziemcem. Nasza rodzina...

- Skąd wiedziałaś, że jestem w ciąży? - Marie przerwała mu, z trudem opanowując drżenie głosu. Miała już dość opowieści o wyjątkowości ich arystokratycznej rodziny i o tym, kto do niej pasował, a kto nie. Bardziej interesowało ją teraz, kto mógł donieść ojcu o tajemnicy, której nie zdążyła nawet wyjawić ukochanemu. Teraz to już i tak niczego nie miało zmienić, ale chciała wiedzieć. To pytanie gnębiło ją od lat.

- Potignac, największy plotkarz w Paryżu - przyznał niechętnie. - Dowiedział się, że odwiedziłaś lekarza, przekupił jej asystentkę i w ten sposób poznał, po co tam przyszłaś.

A potem napisał do mnie list, po którym pojechałem natychmiast do Paryża i zabrałem cię do domu. Ale to jeszcze nie wszystko.... - Ojciec wyjął z rękawa dużą chustkę i wytarł nią spocone czoło. - On pisał do ciebie listy. To znaczy, twój kochanek, a nie Potignac - poprawił się.

- Nie pisał! - krzyknęła i w tym jednym krótkim zdaniu zawarł się cały, tłumiony przez lata żal. - Właśnie, że nie pisał. Nawet nie odpisywał na moje ... - Pomyślała przez chwilę o liściku dostarczonym jej przez siostrę, kiedy ta wróciła z odwiedzin u ciotki w Paryżu. Był tylko ten jeden, jedyny liścik, który ukryła przed światem w modlitewniku i na który odpisała, ale nie doczekała się nigdy odpowiedzi. - Nie było żadnych listów! Nie chciał nawet... - przerwała, zaskoczona, jakby dopiero teraz zauważyła zawiniątko na kolanach ojca.

I nagle wszystko zrozumiała. Potrząsnęła głową, jakby chciała wyrzucić tę straszną myśl, a potem opadła bez sił na poduszki.

- Pisał... Ale zatrzymywałem te listy, bo przychodziły na ten adres, a nie na adres twojego męża. Nie mogłem pozwolić na skandal, w końcu byłaś już mężatką - dodał, bezradnie wzruszając ramionami.

- A ja myślałam, że o mnie zapomniał, że nie chciał mnie już znać... - Marie nie próbowała już nawet wstrzymać łez. - To znaczy, że jednak wiedział o Phillippe. - Uśmiechnęła się z ulgą. - Pisałam mu o naszym synu i...

- Nie wiedział. Wszystkie wasze listy są tutaj. - Ojciec położył dłoń na małym zawiniątku.

- Jak to? Przecież wysyłałam je z tamtego domu. Miałam tam zaufaną służącą.

Jedno spojrzenie na ojca wyjaśniło Marie i tę kwestię. Spuścił tylko głowę i w milczeniu położył pakunek na brzegu łóżka.

- Wybacz mi, jeśli potrafisz. Jeśli jednak mnie teraz znienawidzisz, zrozumieć. - Starszy pan podniósł się z trudem i wyszedł ciężkim krokiem z pokoju.

Marie przez dłuższą chwilę patrzyła jak skamieniała na zamknięte drzwi, na dogasający ogień w kominku, na okno, na wszystko inne, byleby tylko nie spojrzeć na paczkę listów leżącą tuż obok, na wyciągnięcie ręki.

Wiatr zerwał pajęczynę za oknem, wraz ze słońcem zniknęły też tęczowe krople, czarne strzępy powiewały za szybą jak porwana koronka wdowiego szala. Świat poszarzał, zrobiło się zimno. Kobieta wstrząsnął dreszcz. W końcu sięgnęła po listy. Szary, zakurzony papier zaszeleścił pod niecierpliwymi palcami. Ciekawe, gdzie ojciec je trzymał?, zastanowiła się bez emocji, wyjmując paczkę listów. Rozpoznała swoje pismo. Te listy odłożyła na bok. Nie chciała już tego czytać. Uczucia, o których w nich pisała, dawno się w niej wypaliły. Nie mogłaby na nowo przeżywać tej tęsknoty i nadziei, że coś mogłoby się jeszcze odmienić. Za późno.

Drugi, znany dobrze charakter pisma spowodował, że krew uderzyła jej do głowy. Poczowała raczej, niż usłyszała, pulsujący szum w uszach. Znała kształt tych liter na pamięć, z liścików przenoszonych w tajemnicy przed ciotką przez kuzynkę Juliette. Liścików wyznaczających miejsce i godzinę spotkania, skrawków papieru pełnych miłosnych zaklęć i ogromnej tęsknoty.

Pierwszy z brzegu list miał datę świadczącą o tym, że pisany był parę miesięcy po jej wyjeździe, a raczej porwaniu, pomyślała ponuro, z Paryża. Już wtedy była żoną pana Vieillarda

i mieszkała w jego brzydkim, zimnym domu, otoczona nieprzyjaznym towarzystwem nowej rodziny. Zwłaszcza szwa-gierki spoglądającej podejrzliwie na jej rosnący brzuch i dopytującej bezceremonialnie o ich intymne sprawy małżeńskie. Nikt w rodzinie męża nie wiedział o jego układzie z teściem. Małżeństwo z Marie, a w zamian spore pieniądze na podupadający już interes, tak brzmiała umowa. Chciwy rzeźnik za nic nie chciałby jej zrywać, co miałoby niechybnie miejsce w przypadku wyjawienia tajemnicy. Zaszleściła sztywna kartka papieru.

Najdroższa!

Nie umiem tu żyć bez Ciebie. Co zrobiłem, czym Ci się aż tak naraziłem, że porzuciłaś mnie bez jednego słowa wyjaśnienia. Przecież byliśmy tak szczęśliwi... A nasze plany?

Dość! Kobieta zmięła gwałtownie list i zamknęła oczy Nie mogła już tego czytać, ani rozpamiętywać dramatu na nowo. Ból wrócił ze zdwojoną siłą, spotęgowany teraz poczuciem bezsilności. Na wszystko już było za późno. Tamta miłość umarła i nic ani nikt nie był jej w stanie wskrzesić. Na nic się zda teraz rozdrapywanie ran, pomyślała ze smutkiem.

Niecierpliwym gestem odrzuciła pościel i wstała z łóżka. Przygasający płomień w kominku rozpałił się na chwilę jasnym płomieniem. Moment wystarczający na pochłonięcie paczki starych kartek zwijających się teraz i czerniejących w palenisku. Ostatni, niespalony jeszcze skrawek papieru zsunął się w końcu w ogień, ukazując podpis ukochanego. Po chwili i on przemienił się w kupkę białego popiołu.

Marie objęła się ciasno ramionami, następnie cichutko, tłumiąc kaszel w gruby szal, wspięła się stromymi schodkami do swojej pracowni w wieży. Zimno przeniknęło ją na wskroś, ale nie zwracała już na nie uwagi. Rozejrzała się dokoła z nową energią. Zapomniane sztalugi pokryły się kurzem, między pędzlami pajak zastawił swoją sieć i czekał ukryty gdzieś w pobliżu.

Namaluję sobie wiosnę, pomyślała, usuwając kurz i pajęczyny, i szykując farby. Muszę znowu zobaczyć konwalie.

Konwalie z tamtej wiosny, kiedy wszystko było jeszcze takie proste i piękne.

Kiedy pocałunki i sny miały zapach tych kwiatów.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Cale przedpołudnie spędziłyśmy z Sophie na przeglądaniu zawartości kufra ze stryżku. W końcu miałam z kim porozmawiać na temat sukien Marie i szczegółów jej bielizny.

Tadeusz spędzał mnóstwo czasu z Claudem, zaniedbując mnie niemal zupełnie. Obaj panowie byli sobą zachwyceni. Jak się okazało, nasz gospodarz pisywał też kiedyś do jednego z fachowych prawniczych czasopism, tak więc rozmawiali teraz prawie jak dziennikarz z dziennikarzem.

- Spójrz, jaki piękny wzór - westchnęła Sophie, podsuwając mi pod nos koronkową wstawkę aksamitnej sukni. - Dziś już takich się nie spotyka.

- A te buciki? Popatrz tylko. - Wyjęłam parę całkiem dobrze zachowanych trzewików zapinanych na guziki. - Wyglądają na wygodne i nawet dzisiaj można by w nich chodzić.

- Tak, piękne - przyznała. - Swoją drogą, to niesprawiedliwe, że wszystko to odkryliście podczas mojej nieobecności. Że też akurat musiała mi teraz wypaść ta konferencja... To chyba kara za to, że przez tyle lat nie interesowałam się historią mojej rodziny - zaśmiała się - a zwłaszcza dagerotypu z salonu. Dobrze, że przyjechaliście.

- Dobrze, że Claude nie wyrzucił starego sekretarzyka, tylko oddał go do konserwacji - podkreśliłam. - Bez tego nie byłoby całej tej historii.

Z równie nabożną czcią Sophie przeglądała obrazy. Były prawie niezniszczone, nawet farba nie popękała, być może dlatego, że zostały starannie zapakowane w gruby materiał.

- Jak myślisz, kto schował to wszystko na stryszek? - zapytała, głaszcząc delikatnie olejną powierzchnię płótna. - Jej siostra, czy ojciec?

- Moim zdaniem raczej ojciec - odparłam bez namysłu. - Gdyby zrobiła to jej siostra, z pewnością dałaby obrazy do oprawy i powiesiła w tym domu. Ojciec mógł to zrobić z dwóch powodów - albo chciał jak najprędzej zapomnieć o córce, albo tak bardzo przeżywał jej śmierć, że pochował wszystko, co mu ją przypominało. Mogły go dręczyć wyrzuty sumienia i dlatego też starał się zapomnieć. Patrząc na pieczołowitość, z jaką zapakował to wszystko i uchronił przed zniszczeniem, stawiałabym raczej na to drugie. Patrzenie na obrazy córki, którą w jakiś sposób skrzywdził, byłoby dla niego zbyt bolesne. Tak ja to sobie wyobrażam.

- Pewnie masz rację - zamyśliła się Sophie.

W ogrodzie rozległ się dźwięk małego dzwonka wzywającego nas na obiad. Kiedy umyte już i przebrane zeszliśmy na dół, przy stole siedzieli już nasi panowie z zaproszonymi gośćmi, Paulem Vieillardem, jego synem i kilkuletnim wnukiem.

Kuzyn Sophie, a być może i potomek Chopina, uśmiechnął się szeroko na mój widok.

- Witam, witam - zawołał, wstając zza stołu - i przedstawiam mojego syna Stanisłasa oraz jego latorośl, a mojego

wnuka. Cyril - zawołał na biegającego za sporych rozmiarów szczeniakiem chłopca. - Chodź tu przywitać się ładnie.

Cyril niechętnie podszedł do stołu, ukłonił się niedbale i czym prędzej wrócił do zabawy.

- Uczymy go dobrych manier, ale jak na razie efekty są mizerne - Stanislas uśmiechnął się przepraszająco, podając mi rękę na przywitanie.

- Wyrośnie z tego - uspokoiłam go. - To taki dziwny wiek u dziecka. Już nie chce być traktowane jak maluch, ale nadal jeszcze tak się zachowuje.

Rozsiedliśmy się wszyscy wokół stołu i po krótkiej, grzecznościowej wymianie zdań przeszliśmy do głównego tematu.

- Niestety - zaczął Paul - niczego ciekawego nie udało mi się znaleźć w papierach ojca. Wygląda na to, że w tej rodzinie tylko kobiety zostawiały jakieś zapiski w pamiętnikach czy też listy.

- Marie nie zostawiła pamiętników - sprostowałam. - A szkoda, bo z nich może więcej byśmy się dowiedzieli.

- No, tak. Nie mam pojęcia, dlaczego wydawało mi się, że były i pamiętniki. Ale to nic. - Paul machnął ręką. - Podsumujmy teraz wszystko to, co już wiemy. Częściowo wprowadziłem już Stanislasa w sedno sprawy, ale może coś pomyliłem albo dodałem od siebie, tak jak z tym pamiętnikiem, może więc zacznijmy od początku.

Przez cały obiad opowiadaliśmy na zmianę z Tadeuszem i Claudem całą historię naszych odkryć. Na szczęście Stanislas, jak przystało na człowieka wykształconego, również znał angielski, więc nie trzeba było mu niczego tłumaczyć.

Trzeba przyznać, że mieliśmy sporo szczęścia, trafiając tu akurat na ludzi mówiących po angielsku. Ogólnie wiadomo bowiem, że Francuzi, przekonani o wyższości swojego języka nad innymi, niechętnie uczą się języków obcych. Tadeusz jednak odczuwał pewien dyskomfort.

- Cholera - mruknął w przerwie między jednym opowiadaniem a drugim. - Chyba zacznę się uczyć francuskiego, bo czuję się trochę jak niepełnosprawny w tym towarzystwie. Zwłaszcza - dodał jeszcze ciszej, jakby ktoś mógł zrozumieć nasz polski - że oni fatalnie mówią po angielsku...

Rzeczywiście, wszyscy, oprócz Claude'a, którego matka była rodowitą Angielką, mówili z silnym francuskim akcentem. Brzmiało to nawet sympatycznie i nie przeszkadzało w odbiorze, ale Tadeusz miał rację. Przytaknęłam mu więc z porozumiewawczym uśmiechem.

Po obiedzie przenieśliśmy się wszyscy do biblioteki, gdzie nadal leżały rzeczy wyjęte z kufra na stryszku, które złożyliśmy tam przed paroma dniami. Paul i Stanislas oglądali je z ciekawością i niedowierzaniem.

- Pomyśleć tylko, że to należało kiedyś do mojej prababki. - Pokiwał głową zdumiony Paul. - Całe życie mieszkałem tuż obok i ani nie przypuszczałem... Szkoda, że mój ojciec tego nie dożył. Szukał, ale niczego konkretnego nigdy nie znalazł.

- Mogę zobaczyć ten dagerotyp? - spytał Stanislas, rozglądając się wokół w poszukiwaniu fotografii.

- Oczywiście. - Claude wstał i ruszył w stronę salonu. - Zaraz go przyniosę.

Tymczasem obaj panowie, ojciec i syn, pochylili się nad obrazami Marie. Podawali je sobie ostrożnie, jakby w obawie, że

stare płótna rozsypią im się w rękach. Niedokończony obrazek z konwaliami zatrzymał ich na dłużej.

- Mam pewną teorię na ten temat - powiedziałam, kiedy Claude wrócił ze starą fotografią Marie. - Jeśli chcecie, przeczytam wam coś, co napisałam wczoraj wieczorem. Powiecie, czy będzie pasowało do książki.

- A więc jednak napiszesz o tym książkę - ucieszyła się Sophie, wymieniając spojrzenie z Claudem.

- Taki mam zamiar - przyznałam z niepewnym uśmiechem. - Nie wiem jednak, co z tego wszystkiego wyjdzie. Na razie mam tylko fragment próbujący wyjaśnić pochodzenie dagerotypu i tego niedokończonego obrazu. Prawdy i tak już się pewnie nigdy nie dowiemy. Mogłam więc sobie pofantazjować na ten temat.

- Kiedy ty to napisałaś? Wczoraj wieczorem? - Tadeusz popatrzył na mnie zdumiony. - Przecież razem położyliśmy się spać i ani na chwilę nie spuściłem cię z oka...

- Tak, aż do momentu, gdy to oko zamknęłaś i zaczęłaś chrapać - roześmiałam się.

- Ja chrapię? Też coś...

- Chrapiesz kochanie, chrapiesz. Wczoraj wyjątkowo mi to przeszkadzało, więc zeszałam tu, na dół, i w spokoju przeglądałam ponownie te obrazy. Poszłam również do salonu popatrzeć na dagerotyp. Miałam nadzieję, że znajdę na nim coś, co posłuży nam za wskazówkę: jakiś podpis na odwrocie...

- Jeśli już, to musiałyby być wygrawerowany, bo to przecież metal. - Tadeusz był jeszcze lekko naburmuszony. Nie lubił, kiedy coś działo się bez jego wiedzy.

- Masz rację, takiego podpisu właśnie szukałam, ale bez skutku. Może jest wewnątrz, pod ramką albo w innym jeszcze

miejscu. W każdym razie nie rozbierałam fotografii w tym celu - to już dodałam na użytek Claude'a, który wyraźnie zaniepokojony przyglądał się jej teraz uważnie.

- Wtedy - kontynuowałam, widząc, że gospodarz odetchnął z wyraźną ulgą - spróbowałam sobie wyobrazić, jak to mogło być i spisałam wszystko tutaj. - Podniosłam do góry zeszyt, leżący na biurku tam, gdzie go zostawiłam poprzedniej nocy. - Chcecie posłuchać?

Chcieli, więc rozsiadłam się wygodnie w fotelu, założyłam okulary i przez dłuższą chwilę delektowałam się brzmieniem własnego głosu.

- Ale... - pierwszy odezwał się Paul, kiedy skończyłam już czytać - ale z tego, co mówiliście przedtem, wcale nie wynika jednoznacznie, że to był Chopin. To mógł być przecież Liszt, a pani pisze o Chopinie.

- Mógł być też ktoś zupełnie inny - zgodziłam się - jednak skoro mam napisać o tym książkę, chcę, żeby była ciekawa. Kogo zainteresuje romans zwykłego pana X? Liszt też nie byłby, przynajmniej dla mnie, tak interesujący. A Chopin, to zupełnie coś innego. Poza tym - dodałam z mocą - jestem wewnętrznie przekonana, że to był jednak nasz Fryderyk. Tak sobie założyłam na samym początku i według mnie wiele za tym właśnie przemawia.

- Piękna opowieść - odezwała się milcząca do tej pory Sophie. - Jestem skłonna w nią uwierzyć. Brzmi bardzo prawdopodobnie. Przekonuje mnie nawet ta historia z listami przechowywanymi przez ojca i z niedokończonym obrazem. Mogło tak być...

- Mogło - przyznali zgodnie obaj panowie Vieillard, spoglądając z uczuciem na dagerotyp Marie. Mimo zniszczeń i plam wilgoci na posrebrzanej płytce, widać było nieprzeciętną urodę przedstawionej tam kobiety.

- Mam chyba jej brodę - ucieszył się Stanislas, pochylając głowę nad płytką - zobacz papa! - Wysunął do przodu swój mocny, zdradzający zdecydowanie, podbródek. - Nie sądzicie? - To już było do nas wszystkich.

Przyznaliśmy mu rację, mimo że na starej fotografii niewiele było widać. Chociaż, gdyby się tak dokładniej przyjrzeć, to kto wie? Może i było jakieś podobieństwo.

W kieszeni mojego żakietu rozdzwoniła się nagle komórka. Przeprosiłam towarzystwo i wyszłam do ogrodu z telefonem przy uchu. Dzwonił bardzo podekscytowany Władysław. Oczami wyobraźni widziałam, jak krąży po pokoju, wymachując wolną ręką w powietrzu.

- Moja droga Lucyno... - zaczął bardzo uroczyście, co już świadczyło o tym, że przekazane mi za chwilę wieści będą z pewnością niezwyklej wagi. - Wydarzyło się coś tak niesamowitego, że pozwoliłem sobie przerwać ci zasłużony wypoczynek w pięknej Francji, gdzie...

- Zamieniam się cała w słuch - przerwałam mu szybko, bojąc się, że zanim dowiem się w czym rzecz, zmuszona będę wysłuchać, która z postaci historycznych i w jakich okolicznościach przebywała w tym kraju.

- No tak - chrząknął zakłopotany, bo pewnie miał jednak taki zamiar. - Co to ja... Aha, już mam. Pamiętasz zapewne, jak wspominałem o planowanym seansie spirytystycznym?

W natłoku ostatnich wydarzeń niemal o tym zapomniałam, ale teraz przypomniałam sobie naszą poprzednią rozmowę i wzmiankę o seansie.

- Czyżby już się odbył i... - zawiesiłam głos w oczekiwaniu.

- Tak, moja droga, tak. Seans odbył się właśnie wczoraj. -1 udał się?

- I tak, i nie - Władysław chciał być absolutnie szczery. - Ale wydarzyło się coś naprawdę niezwykłego i jestem przekonany, że odwiedził nas Mesje Szopę. Zacznę od samego początku, jeśli pozwolisz.

- Naturalnie. Umieram z ciekawości.

Przez parę minut słuchałam opowieści o tym, jak to Władysław i kilku jego znajomych postanowili urządzić seans spirytystyczny. Była to ta sama od lat grupka ludzi, tworząca krąg i interpretująca stukania, pukania oraz inne manifestacje pojawiających się na takich seansach duchów. Jedna z kobiet była doskonałym medium i to przez jej usta przemawiały czasami te zaświatowe byty. Władysław uprzedził znajomych, że zależy mu tym razem na duchu Chopina, bo bardzo chciałby pomóc swojej przyjaciółce piszącej książkę. Wzruszył mnie tym niezmiernie. Niezależnie od efektów swej działalności, zawsze wykazywał w tym duże zaangażowanie i entuzjazm.

- Tym razem jednak od początku wszystko szło nie tak, jak powinno - ciągnął dalej. - Nie przyszedł jeden z naszego grona, więc krąg, który utworzyliśmy, był niepełny. Być może z tego właśnie powodu duchy niechętnie się pojawiały. Był ktoś, kto podawał się za Chopina, ale to nie był on.

- Skąd ta pewność? - zainteresowałam się.

- Mówił jakoś od rzeczy, a kiedy go spytałem wprost, czy miał ze swoją kochanką we Francji dziecko, zaczął się gwał-

townie wypierać. Powiedział, że to pomówienia, to absolutnie nie on i że nikt mu niczego nie udowodni.

- I wszystko wystukał w talerzyk? - nie wytrzymałam. - Wybacz, ale trudno mi jakoś w to uwierzyć. To brzmi raczej jak reakcja kogoś, kto wypiera się ojcostwa w obawie przed ściganiem go po sądach w sprawie o alimenty, a nie jak rozmowa z duchem. I to z dziewiętnastowiecznym duchem.

- Toteż mówiłem ci przecież, że to nie on. A co do talerzyka - Władysław zaśmiał się wyrozumiale - to od razu widać, że nigdy nie brałaś udziału w seansie spirytystycznym. W talerzyk nic nie stuka. Talerzyk, z narysowaną strzałką, przesuwa się po okręgu i wskazuje litery oraz cyfry, ale nie będę ci teraz tłumaczył tego przez telefon. To dość skomplikowane. Kiedyś zaproszę cię po prostu na taki seans. Są też duchy, które manifestują swoją obecność stukaniem i innym hałasem, ale o tym później. Ten duch przemawiał przez nasze medium, panią Halinkę.

- A, to zmienia postać rzeczy - zgodziłam się. - I co jeszcze ciekawego powiedział?

- On? Nic ciekawego. Ale w tym samym czasie wydarzyło się coś, co postawiło mi wszystkie włosy na głowie...

Przez moment mignął mi obraz skromnej zaczeski na głowie Władysława. Jednak ciekawość wzięła górę, więc szybko przestałam o tym myśleć i zadałam pytanie, na które mój znajomy wyraźnie czekał:

- No, nie trzymaj mnie tak długo w niepewności! Mów! Władysław, zadowolony z efektu, kontynuował ze swadą.

- W czasie gdy oszust udający Chopina przemawiał jeszcze przez usta naszego medium, odezwał się prawdopodobnie prawdziwy Fryderyk. Zresztą, jestem tego niemal pewien.

- Jak to, odezwał się? Medium zmieniło głos, tak?

- Nie - odpowiedział krótko. Po chwili efektownej pauzy dodał: - Nie odezwał się głosem, ale zastukał i to bardzo głośno, najwyraźniej zdenerwowany obecnością oszusta.

- I co mówił?

- No - Władysław zmieszał się lekko, co spowodowało zapalenie się ostrzegawczej lampki w moim mózgu - jeszcze tego nie wiemy, bo trzeba to będzie dokładnie zanalizować. Zapisaliśmy wszystko i teraz rozszyfrowujemy, bo wygląda na to, że mówił w różnych językach. Pewnie z powodu zdenerwowania.

- Czyli stukał alfabetem Morse'a ?

- Na to wygląda, ale były tam tylko jakieś pojedyncze słowa, trochę bez ładu i składu - przyznał. - Coś o ziemi albo o ziemniakach, sama widzisz, że to nie ma najmniejszego sensu. Ale może dlatego, że zmieniał siłę i natężenie pukania, a nawet jego tempo. Tak jakby koniecznie chciał nam coś przekazać i denerwował się, że nie rozumiemy. Jednak nie dał się zaprosić do rozmowy przez nasze medium. Dziwne zachowanie, przyznam szczerze, bo jeszcze żaden duch nam nie stukał Morse'em... - w głosie Władysława słychać było lekką niepewność. - Ale rozgryziemy ten problem, nie martw się - ożywił się znowu. - Według mnie to nie mógł być nikt inny jak Chopin właśnie. Pojawił się akurat w momencie, gdy słuchaliśmy tamtego oszusta.

- Taa... - pozwoliłam sobie na lekki sceptycyzm. - Myślałam, że odczytaliście chociaż jedno słowo, które by to potwierdziło...

Niestety, nic konkretnego... Ale pracujemy nad tym - Władysław nie tracił zapachu. - A wszystko przez to, że nie

tworzyliśmy dokładnego kręgu. Gdyby nasz znajomy pojawił się na czas, wyglądałoby to pewnie inaczej. Nigdy nie wolno niczego zmieniać podczas takich spotkań.

- A dlaczego znajomy się nie pojawił? - spytałam już tylko po to, żeby podtrzymać rozmowę, bo wcale mnie to nie obchodziło.

- Podobno tramwaj, którym jechał na nasze spotkanie, zderzył się z samochodem. Niegroźnie, ale trzeba było czekać na przyjazd policji i cały ruch został wstrzymany. Twierdzi, że spóźnił się tylko piętnaście minut i stukał do drzwi, ale nikt mu nie otwierał. Bzdura. Przecież wszyscy byliśmy w środku i usłyszelibyśmy pukanie, zwłaszcza, że jak mówił, stukał dość długo i głośno, aż zaspana sąsiadka wyjrzała na korytarz. A że nie mam dzwonka, bo...

Przez chwilę zapanowała głucha cisza po obu stronach słuchawki. Usłyszałam tylko przyspieszony oddech Władysława i ciche piknięcie świadczące o tym, że wyładowuje się bateria w moim telefonie.

- A nie sądzisz... - zaczęłam ostrożnie - że to tajemnicze stukanie...

- Nie! - przerwał mi zbyt szybko, jak na kogoś, komu taka myśl nawet nie zaświtałaby w głowie. - To nie mógł być on. Jeszcze potrafię odróżnić stukanie z zaświatów od zwykłego pukania do drzwi, moja droga.

Ale w jego głosie zabrakło mocy. Najwyraźniej sam też zaczął się zastanawiać nad taką ewentualnością. Szybko jednak zmienił temat.

- Zostawmy to na razie - zaproponował. - Kiedy tylko odszyfrujemy przekaz, natychmiast cię o tym poinformuję. A te-

raz, jeśli pozwolisz, przeczytam ci wiersz, który ułożyłem specjalnie na tę okazję. To będzie o Chopinie.

- Chętnie, tylko obawiam się, że zaraz rozładuje mi się komórka...

- Może zdążę. - Władysław bardzo chciał się pochwalić swoim dziełem. Oprócz rozlicznych talentów i zainteresowań miał też dar pisania poezji. Jego ulubioną formą był sonet pełen zwykle wzniosłych uczuć, a przy tym przeróżnych Atlasów, Hefajstosów, Zeusów Gromowładnych i całej reszty tego mitologicznego towarzystwa. Ten człowiek renesansu - lubił, kiedy go tak nazywano - zajmował się wszystkim po trochu. Wiersze były w jego życiu chyba najważniejsze. Często odczytywał mi je przez telefon, deklamując z piękną dykcją i artystycznym zacięciem.

Przełożyłam słuchawkę do drugiego ucha i zastygłam w oczekiwaniu.

Władysław chwilę jeszcze chrząkał, oczyszczając gardło, odkaszlnął i nagle zawołał z patosem:

- O! Fryderyku! Ty, coś...

Trzy szybkie piknięcia i nagła cisza po nich mogły oznaczać tylko jedno - bateria w moim telefonie rozładowała się na dobre.

Towarzystwo w salonie wciąż siedziało przy naszych znaleziskach. Z fragmentów rozmów zorientowałam się, że mowa jest tym razem o modlitewniku. Stanislas trzymał małą książeczkę w ręku i ostrożnie przewracał kruche kartki.

- Nigdy go nie zauważyliście? - zwrócił się zdziwiony do Sophie. - Przecież przez te wszystkie lata leżał u was na półce z książkami.

- No, właśnie nie... - Sophie rozłożyła bezradnie ręce. - Ale zapraszam przy okazji do Paryża i wtedy sam się przekonasz, ile jest tych półek i ile leży na nich książek. Przeważnie starych. Bardzo łatwo jest coś w takiej masie przeoczyć.

- Fakt - wtrąciłam się do dyskusji. - Poza tym, półki sięgają aż do sufitu, gdzie dość trudno się dostać.

- A jeśli się przy tym nie wie, czego szukać... - dorzucił Claude. - Modlitewnik nie był podpisany, nie miał żadnych dedykacji, tylko te inicjały na okładce, które nic nam wtedy nie mówiły.

Stanislas i Claude pochylili się z ciekawością nad monogramem. Duże, wypukłe litery MP, umieszczone symetrycznie po obu stronach krzyża były bardzo dobrze zachowane.

- M jak Marie. - Stanislas popatrzył na nas pytająco. - A co oznacza ta druga litera? Jak ona miała na nazwisko? Niestety, nic na jej temat, praktycznie rzecz biorąc, nie wiem. Dziadek był jedyną osobą, która zajmowała się przeszłością naszej rodziny, ale byłem zbyt mały, kiedy umarł, więc nie miałem okazji porozmawiać z nim na ten temat. A ojciec - tu spojrział na Paula - raczej nie interesował się tym tematem.

-To prawda - przyznał zmieszany lekko Paul. - Nawet nie pamiętam, jak miała na nazwisko nasza prababka. Ojciec mówił o tym z pewnością, ale wyleciało mi z głowy.

- Perrault - wyjaśniła Sophie. - Marie Perrault.

- Perrault, Perrault... - Paul w zamyśleniu pocierał wysokie czoło. - Powiadacie, Perrault...?

Wszyscy, jak jeden mąż, spojrzeliśmy na Paula. Z ogrodu dochodził do nas śmiech małego Cyrila i radosne szczekanie jego pieska oraz uszczęśliwionej zabawą Chutney. Starej już suce przypomniały się najwyraźniej szczenięce lata. Jeden

z patyczków rzucanych psom trafił w nasze okno. Stanislas wstał i pogroził synowi przez szybę.

- Słuchajcie, to niesamowite... - zaczął nagle Paul z wyrazem oszołomienia na twarzy. - Był jednak pamiętnik Marie...

- Jak to? Gdzie? - wpatrywaliśmy się w niego z niedowierzaniem. Tadeusz zacisnął mocno dłonie na oparciu fotela, a ja aż wstałam z kanapy, żeby nie uronić ani jednego słowa z tego, co zaraz spodziewałam się usłyszeć. Przeoczyłam tylko ten czas przeszły...

- Był w zbiorach ojca, pamiętam go teraz doskonale. Widocznie to syn Marie przechowywał go po matce, dlatego nie było go na zamku - Paul opowiadał z ożywieniem. - Podniszczony, ale dość dobrze jeszcze zachowany gruby zeszyt, czy też książka z zapisanymi atramentem kartkami. Podpisany był na pierwszej stronie M. Perrault, więc wziąłem go kiedyś z pokoju ojca, myśląc, że to bajki Charlesa Perrault. Znacie, prawda? *Kopciuszek, Śpiąca królewna, Kot w butach...*

Przytaknęliśmy, a ja usiadłam z powrotem na kanapie, czując, że ta historia nie będzie miała raczej szczęśliwego zakończenia.

- Kiedy okazało się, że to jednak nie bajki - kontynuował - wykorzystywałem wolne kartki do rysowania na nich tych swoich ludzików-semaforów. Do momentu, aż przyłapał mnie na tym ojciec i zabrał zeszyt. Nieźle wtedy oberwałem. Pamiętam, jak ojciec krzyczał, że niszczę część naszej historii, ale byłem zbyt mały, żeby to wtedy zrozumieć. Później już nigdy nie widziałem tego pamiętnika.

- Może więc jest jeszcze gdzieś w domu? - Stanislas popatrzył z nadzieją na ojca.

- Wątpię. Ojciec schował go przy mnie do dużej, dębowej komody, która spłonęła podczas tamtego pożaru. Jestem tego, niestety, pewien.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Nadzieja i znów rozczarowanie. To przygniotło nas wszystkich.

- Słuchajcie. - Tadeusz pierwszy wstał ze swojego miejsca, przeciągając się szeroko. - Nie wiem jak wy, ale ja muszę teraz zapalić. Za duże napięcie. Idę do ogrodu, kto ze mną?

- Ja też chętnie zapalę. - Stanislas wstał i ruszył w ślad za nim.

- Idźcie, idźcie. - Sophie zrobiła gest wypraszający ich z biblioteki. - Trujcie się tam do woli, my tymczasem przygotujemy kolejną butelkę wina i też wyjdziemy trochę do ogrodu. Jak się już napalicie, przysiądziecie się do nas.

Z przyjemnością wyszłam na słoneczny taras. W starych murach zamku było jednak zimno, mimo ciepłej pogody. Zmarzłam trochę w bibliotece, więc teraz zatrzymałam się jeszcze na schodkach prowadzących do ogrodu i do stołu ustawionego pod wielkim drzewem. W kącie tarasu, pod krzakiem kamelii, spał zwinięty w kłębek szczeniak labradora. Chutney nie było w pobliżu, pewnie zmęczona zabawą poszła spać na „swoją” kanapę do salonu.

- Widział ktoś Cyrila? - Stanislas z papierosem w dłoni rozglądał się niespokojnie dookoła.

- Nic mu się tu nie stanie - uspokoiła go Sophie. - Brama jest zamknięta, nie wydobędzie się na zewnątrz. Basen jest ogrodzony, więc...

- Basen?! - Stanislas rzucił papierosa w trawę. - Matko boska! Ten chłopak przejdzie przez każde ogrodzenie, przez każdą dziurę w płocie.

- Rozdzielmy się! - Tadeusz przejął natychmiast prowadzenie. - Wy - wskazał na Stanisława i jego ojca - przeszukajcie ogród, a ja z Claudem i Sophie zajmujemy się basenem.

- Ja sprawdzę w domu - rzuciłam, pędząc już w stronę otwartych drzwi salonu.

Przebiegłam wszystkie, umieszczone w amfiladzie pomieszczenia na parterze. Nic. Przez otwarte okna dobiegało do mnie z różnych części ogrodu wołanie: „Cyril! Cyril!”. Szerokimi, marmurowymi schodami wyłożonymi czerwonym, grubym chodnikiem wbiegłam na pierwsze piętro. Tam jednak musiałam się na chwilę zatrzymać dla złapania oddechu.

I wtedy to usłyszałam. Piękne dźwięki muzyki dochodzące gdzieś z głębi korytarza.

To był Chopin, nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Grany niewprawną jeszcze ręką, ale to z pewnością jego muzyka. Poszczególne dźwięki już układały się w piękną melodię i wyszukane zwroty harmoniczne.

Starając się omijać skrzypiące deski podłogi, podeszłam cicho pod drzwi pokoju Nikolasa. Uchyliłam je lekko i wtedy go zobaczyłam.

Mały, drobny chłopiec, najwyżej pięcioletni, siedział przy klawiaturze bez reszty pochłonięty grą. Dźwięki wypełniały cały pokój, a ja już wiedziałam, że...

Stop. Chciałabym, żeby tak właśnie było...

Taka scena zamykałaby piękną klamrą romans, który wymyśliłam. Rzeczywistość była jednak zupełnie inna. W tym zwyczajnym, szarym świecie mały Cyril siedział przy klawiaturze komputera Nikolasa pochłonięty bez reszty jakąś grą. Piski, trzaski i odgłosy strzelania, rozbrzmiewające w całym

pokoju, w niczym nie przypominały muzyki Chopina. Nawet tej w formie jazzowej.

Wychyliłam się przez okno i odwołałam alarm. Zguba się znalazła...

Pożegnania zawsze są smutne. Nasza piękna przygoda we Francji dobiegała właśnie końca. Nadszedł czas powrotu do rzeczywistości. Muszę przyznać, że wszyscy robiliśmy to z ciężkim sercem. Sophie i Claude przyzwyczaili się już do tego, że niemal każdy dzień odkrywał jakieś nowe, zaskakujące szczegóły z życia Marie. I to u nich, w ich własnym domu. A Paul i Stanislas dopiero nabrali ochoty na odkrywanie rodzinnej historii.

Siedzieliśmy znów wszyscy w ogrodzie, wdychając pachnące już jesienią powietrze. Przedzierające się przez liście drzew słońce malowało na drewnianym stole ruchomą, kolorową mozaikę. Szkło, prawie już pustej butelki z winem, migotało zielenią. W pękatych kieliszkach budziły się rubinowe błyski. A może to sama Marie maluje dla nas to ostatnie popołudnie w Trigny?, pomyślałam, spoglądając na przycupniętego na brzegu stołu kolorowego motyla. Spłoszony ruchem czyjejś dłoni zerwał się i poruszając z gracją skrzydełkami odleciał w głąb ogrodu. Gdzieś z daleka dobiegły nas odgłosy ostatnich prac w winnicach.

Wróciłam myślami do stołu, przy którym od pewnego już czasu trwała rozmowa na temat odkryć na zamku.

- Szkoda, że tak późno dowiedziałem się o całej tej sprawie - Stanislas był niepokieszony. - Wiele bym dał za to, żeby być obecnym przy odkrywaniu tego kufra na strychu... To niemal jak zabawa w poszukiwaczy skarbów.

- Żebyś wiedział, że tak właśnie się wtedy czułem. - Twarz Claude'a rozjaśnił chłopięcy uśmiech. - Miałem wrażenie, że wracam do czasów dzieciństwa i bawię się z kolegami.

- Przestańcie, dobrze? - Sophie uderzyła otwartą dłoń w stół. - Zaraz mnie diabli wezmą... Kiedy wy się tu świetnie bawiliście, ja musiałam siedzieć na nudnych nasiadówkach w Nowym Jorku i nawiązywać kontakty z kłaniającymi się cały czas Japończykami.

- Spokojnie - zwróciłam się do nachmurzonej Sophie - założę się, że ten zamek kryje jeszcze niejedną tajemnicę. Pewnie są w nim zakamarki, do których nie zaglądaliście?

- Nie sądzę, przecież przeprowadzono tu liczne remonty - pokręciła przecząco głową. - Jakies nic nieznaczące schowki, pewnie na żywność. I to wszystko.

- Szkoda - westchnął Paul, który najwyraźniej zapalił się do poszukiwań. - A piwnice? Znacie je dobrze?

- Tylko tę część, gdzie składowane jest wino. Głównie Claude tam chodzi, bo ja od zawsze boję się ciemności. Oświetlenie jest tylko w kilku pomieszczeniach, reszta przypomina lochy. - Sophie otrząsnęła się gwałtownie. - Nikt mnie nie zmusi, żebym tam wchodziła, choćby nie wiem, co tam było ciekawego.

- A ja chyba do nich zajrzę. - W oczach Claude'a zapaliły się znane mi już ogniki. - Jak tylko chłopcy przyjadą na ferie, zorganizujemy wspólnie wyprawę do podziemi. Będą mieli potem co wspominać na starość. Mnie nie spotkały takie atrakcje w dzieciństwie.

- Szkoda, że musimy już wracać - westchnął z żalem Tadeusz. - Ja też nigdy nie miałem takich atrakcji.

- No, właśnie. - Sophie i Claude zareagowali niemal równocześnie. -
Może jednak zostaniecie na dłużej?

- Nie, nie - zaśmiał się Tadeusz. - Żartowałem. Muszę już wracać do
pracy, tym razem definitywnie kończy mi się urlop.

- Na mnie też już czas - uprzedziłam ich pytanie. - Zresztą, nie jestem
pewna, czy chciałabym wchodzić do ciemnych piwnic. Poza tym -
dodałam tajemniczo - mamy już pewne plany...

- Naprawdę?! - wykrzyknęli wszyscy, kiedy zdradziłam im nasz
sekret. - Gratulacje! Cudowna wiadomość! Czekamy w takim razie na
zaproszenie na ślub - powiedziała stanowczo Sophie. - Z tej okazji
będę musiała odświeżyć mój specjalny kapelusz.

Chwilę jeszcze rozmawialiśmy o ostatnich odkryciach, jednak w
końcu nadszedł czas pożegnań.

- To kiedy ostatecznie wyjeżdżacie? - spytał Paul, odstawiając pusty
kieliszek i wstając od stołu.

- Jutro, z samego rana. Mamy przed sobą długą drogę - westchnął
Tadeusz.

- To znaczy, że jak będziecie przejeżdżać obok mojej winiarni, będzie
jeszcze zamknięta - pokiwał w zamyśleniu głową. - Cóż... W takim
razie już teraz się pożegnamy. Dziękuję wam za wszystko. - Ukłonił się
gospodarzom. - A wam - zwrócił się znów do nas - za te wszystkie
rewelacje związane z moją prababką. Czekamy teraz na ekspertyzę
grafologa w sprawie tego liściku z modlitewnika. Mam nadzieję, że
dacie nam od razu znać?

- Ale to już Claude się tym zajmie - rozłożyłam ręce z żalem. -
Wygląda więc na to, że to wy pierwsi będziecie znali autora liściku.

- Racja. Zapomniałem. - Klepnął się otwartą dłonią w czoło. - Skleroza. W takim razie czekamy na książkę. Z dedykacją.

Dziki wrzaski Cyrila, siłą odciągniętego od komputera, uniemożliwiały nam rozmowę na zewnątrz, gdzie wyszliśmy, odprowadzając gości do bramy. Dzieci we Francji wychowywane są bezstresowo, dlatego też nikt nie zwracał na niego uwagi. Poza szczeniakiem, który każdy podskok swojego małego właściciela traktował jako zaproszenie do zabawy. Chłopiec rzucił się nagle gwałtownie na wysypane białym żwirem podwórze, wstał jednak jeszcze szybciej z wyrazem zaskoczenia na czerwonej ze złości twarzy. Żwirek był ostry i kłujący. Klaps był niepotrzebny.

Za bramą usłyszeliśmy Cyrila na nowo. Mały albo podjął przerwany wątek, albo dostał w końcu w skórę.

Po półgodzinie wrócił Paul, niosąc sporych rozmiarów kosz z wikliny.

- To dla was, w prezencie - powiedział, wręczając go Tadeuszowi. - Parę butelek szampana i naszej specjalnej ratafii. Claude mówił, że bardzo wam smakowała.

Podziękowaliśmy, wzruszeni tym gestem, i obiecaliśmy pierwszy toast wznieść za zdrowie naszych gospodarzy.

Wieczorem, po kolacji, nie siedzieliśmy już zbyt długo z Sophią i Cluadem. Tadeusz musiał się porządnie wyspać, ponieważ chciał sam prowadzić przez całą drogę.

Jedyną chyba rzeczą, jaką mój miły nigdy by się ze mną nie podzielił, był jego ukochany samochódzik. Nawet gdybym miała tylko prowadzić, a nie, nie daj Boże, pożyczyć go od niego. Kobiety i samochodu podobno się nie pożyczają. Miałam

więc jechać jedynie jako pasażer i ewentualny zmiennik, gdyby Tadeusz na przykład złamał w trasie nogę. Albo raczej obie nogi, bo nawet z jedną w gipsie pewnie próbowałyby prowadzić.

- Miłych snów. - Sophie odprowadziła nas do schodów. - A może tej nocy przyjdzie do was duch Marie? Czasami słyszę jakieś stukania, szurania...

- Będzie nam bardzo miło - powiedziałam głośno, rozglądając się wokół, jakbym zapraszała Marie. - Może jeszcze to i owo nam wyjaśni?

- A w którym pokoju mieszkała? - Tadeusz zmarszczył brwi. - W naszym?

- Tego niestety nie wiem. Ale obok waszego pokoju jest przejście do wieży, do jej pracowni malarskiej. Może zechce coś jeszcze namalować...? - Puściła do nas oko. - A tak całkiem już poważnie: wypijcie się dobrze przed jutrzejszą jazdą. Możecie mi wierzyć na słowo: żadnych duchów tu nie ma. Żartowałam tylko. Tadeus, odpręż się.

- Wcale się nie przestraszyłem. Dobranoc, Sophie.

W nocy zerwał się wiatr. Słyszałam jego wycie w kominku, z którego za każdym podmuchem roznosił się zapach spalonego drewna. Stare, rozsyhające się podłogi trzeszczały, gałęzie drzew rosnących tuż za naszym oknem stukały o szybę. Zwykle, nocne odgłosy starego zamku.

Nagle dobiegł do mnie jakiś hałas z głębi domu. Otworzyłam szeroko oczy i chwilę nasłuchiwałam, wstrzymując oddech. To pewnie wiatr otworzył jakieś okno. Spokojnie, pomyślałam, przytulając się mocniej do Tadeusza. Poruszył się przez sen, ale nie obudził.

I wtedy usłyszałam to bardzo wyraźnie: ktoś skradał się w stronę naszego pokoju. Cichym krokiem towarzyszyło leciutkie postukiwanie. Tajemniczy gość podszedł do naszych drzwi i zatrzymał się na chwilę. Znów drobne kroki i stukanie.

- Obudź się... - szepnęłam Tadeuszowi do ucha i potrząsnęłam go za ramię. - Ktoś jest pod naszymi drzwiami...

- Co? Gdzie?! - Zerwał się nagle i usiadł na wpół rozbudzony.

- Cii... - Położyłam mu dłoń na usta. - Ktoś jest pod drzwiami... - powtórzyłam szeptem.

Siedzieliśmy oboje nieruchomo na łóżku, wpatrując się w ciemny prostokąt drzwi. Na korytarzu znów coś się poruszyło.

- Co to za stukanie? - Tadeusz nadstawił bacznie ucha. - Coś mi to przypomina...

- Mnie chyba też...

Zaświeciłam stojącą na stoliku lampkę i cichutko, na palcach, podeszłam do drzwi. Tadeusz chwycił mocno latarkę, z którą wychodził wieczorem do ogrodu na papierosa i ustawił się po przeciwnej stronie.

Ostrożnie nacisnęłam ciężką, masywną klamkę. Drzwi zaskrzypiały przejmująco, przez powiększającą się szparę powiało chłodem. Zadrzałam z zimna i ze strachu. Na ciemnym korytarzu, tuż za naszymi drzwiami, ktoś siedział albo leżał bez ruchu.

- K... kto... - Tadeusz odchrząknął z wrażenia. - Kto tam jest? - zawołał półgłosem.

Odpowiedział nam cichy jęk, jakby bolesne westchnienie.

Pchnęłam mocniej drzwi i w powiększającej się plamie światła z naszego pokoju zobaczyliśmy siedzącą za drzwiami... Chutney.

Z pochylonym potulnie łbem łypała na nas niepewnym okiem. Mocny ogon stukał przepaszająco w deski podłogi na korytarzu.

- Chutney... - Z wrażenia aż usiadłam na podłodze, opędzając się od oblizującego mnie z entuzjazmem psa. Już wiedziała, że może wejść do pokoju, co też natychmiast, wymijając wciąż zaskoczonych Tadeusza, zrobiła.

- A to co znaczy? - wykrztusił w końcu. - Czego ona tu szuka?

- Przypomniała sobie, jak fajnie się ze mną sypia - zaśmiałam się, widząc znaczące spojrzenie Chutney, która spoglądała raz na mnie, raz na nasze łóżko. - Nie wolno. - Pogroziłam jej palcem.

Oblizwała się nerwowo i znów spojrzała na posłanie, jednak moja stanowcza mina pozbawiła ją chwilowo złudzeń. Obróciła się kilka razy wokół własnej osi i w końcu, z ciężkim stęknieniem, ułożyła się na dywaniku przed kominkiem.

- To ona sypiała w twoim łóżku? - Tadeusz kręcił z niedowierzaniem głową. - Przecież to ogromny pies, waży ze czterdzieści kilo.

- Co najmniej czterdzieści - przytaknęłam. - Wtedy była nawet grubsza. Wymyśliła sobie pewnie, że jest pieskiem kanapowym i nie zważając na swoje gabaryty, co noc wskakiwała na moje łóżko. Zajmowała je niemal całe, a ja musiałam spać na samym brzegu. Do tego wszystkiego chrapała jak niedźwiedź.

- Skoro jej na to pozwalałaś... Nie umiałaś być stanowcza.

- Jeśli chciałam się w ogóle wyspać, musiałam jej na to pozwolić, bo potrafiła być naprawdę namolna. Zresztą, czasami mi to nawet odpowiadało. Czułam się przy niej bezpieczniej.

Bywało, że zostawałam na zamku sama z małymi dziećmi. Sophie i Claude byli w rozjazdach, pan Singh mieszka w domku przy głównej bramie, a za ogrodem, z drugiej strony są już tylko winnice i pola. Gdyby ktoś chciał, z łatwością mógłby przeskoczyć przez mur i dostać się do środka od strony ogrodu właśnie.

- A zdarzyło się już to kiedyś? - Zaciekawiony Tadeusz poprawił poduszkę pod głową. Senność minęła nam zupełnie.

- Na szczęście nie, ale podobno w okolicy były przypadki włamań, więc cały czas byłam w strachu. Chutney jest bardzo czujna, zatem mając ją przy boku, byłam spokojniejsza.

Suka usłyszała swoje imię i z nadzieją podniosła łeb. Ogon zastukał pytająco.

- Nie - rzuciłam krótko.

Przez chwilę jeszcze patrzyła mi w oczy, żeby upewnić się, jak stanowcze jest to moje „nie”. Wreszcie, z westchnięciem, położyła łeb na podłodze.

- To jest stary zamek - kontynuowałam - i jak sam już zdążyłeś się przekonać, „gada” w nocy. Ciągłe coś stuka, puka, szura. Sama umierałabym ze strachu, ale patrzyłam w takich przypadkach na psa. Jeśli podnosiła czujnie łeb, ale za chwilę układała się znowu spokojnie do snu, wiedziałam, że nie ma się czym przejmować. Raz jednak napędziła mi strachu - uśmiechnęłam się na samo wspomnienie. - Kiedyś, w samym środku nocy...

- Kochanie. - Tadeusz ziewnął głośno. - Nie zapominaj, że jutro wstajemy rano. Opowiesz mi to w drodze.

- Ale ja tylko tak szybciotko...

- Kotku - mruknął, odwracając się na drugi bok. - Kłopot w tym, że ty nie potrafisz szybciotko.

- No wiesz...? - zachnęłam się oburzona. - Ale dobrze, nie będę cię już męczyć. Bez obawy. Dobranoc! - powiedziałam to trochę głośniejszym głosem niż zamierzałam i z impetem odwróciłam do niego plecami.

- No, skarbie. - Tadeusz zgasił lampkę i pogłaskał mnie przepraszająco po ramieniu. - Nie gniewaj się, ale straszna z ciebie gaduła, a tu noc *upływa*. No, chodź...

W ciemności rozległo się niecierpliwe sapnięcie.

- Co znowu? - Przestał mnie na chwilę głaskać.

Długo nie wytrzymałam i w końcu parsknęłam śmiechem.

- Wypowiedziałeś pewne magiczne słowo, które dla Chutney jest sygnałem, że może wskoczyć na łóżko. Czasami mówiłam do niej po polsku, to dwujęzyczny pies.

- To czemu nie wskakuje?

- Bo to nie był mój głos i nie jest pewna, czy naprawdę może.

Następne sapnięcie potwierdziło moje słowa. Niemal widziałam w ciemności jej uważne spojrzenie, wywiercające mi dwie dziurki w twarzy.

- Musimy jej pozwolić, kochanie, bo nie da nam spać.

- Te baby mnie wykończą - westchnął Tadeusz. - Trudno, skoro nie ma innego wyjścia... A co to było za magiczne słowo, bo jakoś nie kojarzę?

- „No, chodź” - powiedziałam półgłosem.

Ogromny baldachim zakołysał się niebezpiecznie nad naszymi głowami, sprężyny łóżka aż jęknęły. Zadowolona suka obdzieliła nas sprawiedliwie mokrymi liźnięciami i po denerwująco długich udeptywaniach legowiska ułożyła się między nami, rozpychając się bezceremonialnie. Po paru minutach do chrapiącego Tadeusza dołączyła Chutney.

Odwróciłam się na drugi bok i przez dłuższą chwilę leżałam wpatrzona w ciemność. Ciekawe, myślałam leniwie, czy Marie mieszkała w tym właśnie pokoju? A może to było nawet jej łóżko? Jest przecież wystarczająco stare...

- Dobranoc, Marie - szepnęłam w końcu, czując jak ogarnia mnie senność.

Wiatr poruszył gałęziami za oknem, z kominka znów powiało spalenizną. Jak zwykle przy takiej pogodzie. Tym razem jednak w pokoju dało się wyraźnie wyczuć coś jeszcze. Coś więcej oprócz woni dymu i starych mebli. Pokój zapachniał konwaliami.

To z pewnością było pożegnanie.

POSŁOWIE

Prawdziwy w tej książce jest niewątpliwie zamek w Szampanii, w którym urodziła się i zmarła Marie, apartament Sophie i Paula w Paryżu oraz tytułowy dagerotyp, czyli pierwsza w historii fotografia wykonywana na powierzchni posrebrzonej płytki miedzianej i wywoływana w oparach rtęci. Otrzymany obraz stanowił jednocześnie negatyw i pozytyw, efekt pozytywowo uzyskiwano poprzez oglądanie go pod odpowiednim kątem - kiedy w jego odbiciu widoczna była czerń. Sama sesja zdjęciowa była podobno ciężką próbą dla pozującego. Fotografowany musiał pozostawać w bezruchu przez piętnaście minut, niezbędnych do naświetlenia płytki, z głową umieszczoną w metalowej podpórce i wpatrywać się nieprzerwanie w kamerę przy oślepiającym świetle. Widoczne na twarzach tych, którzy tego doświadczyli cierpienie i stężałe miny sprawiały, że fotografowani w ten sposób ludzie wyglądali nienaturalnie.

Znany jest ówczesny dagerotyp kompozytora, powstały prawdopodobnie ok. roku 1846. „Mój” Chopin wspomina o nim Marie, mówiąc, że wyszedł tam „jak kretyn”. Faktycznie, zdjęcie nie przedstawia naszego kompozytora zbyt pochlebnie. Inna sesja fotograficzna, którą opisuję pod koniec mojej

powieści, miała miejsce w 1849 roku, a więc krótko przed śmiercią Fryderyka, w domu wydawcy Maurice'a Szlesingera. Zdjęcie, które tam wówczas powstało, mylnie podawane jest przez niektórych autorów jako dagerotyp. Prawdziwy natomiast jest dagerotyp przedstawiający Marie. Jest to fotografia jednej z przodkiń mojej francuskiej przyjaciółki, podobnie jak należący do rodziny portret młodej kobiety wiszący w paryskim apartamencie oraz portret babki na zamku w Trigny.

W latach dziewięćdziesiątych pracowałam krótko we Francji jako niania do dwójki adoptowanych polskich dzieci w bogatej i wpływowej rodzinie francuskiej. Początkowa znajomość z biegiem czasu przekształciła się w zażyłość i przyjaźń, które trwają nieprzerwanie aż po dzień dzisiejszy. Oni, z dorosłymi już dziećmi, przyjeżdżają w odwiedziny do Krakowa, ja od czasu do czasu spędzam swój urlop w ich zamku w Szampanii. To właśnie tam, w pięknych wnętrzach, wśród portretów przodków i pamiątek rodzinnych po raz pierwszy powstała myśl o napisaniu powieści, której akcja rozgrywa się w tej niezwykłej scenerii. Przez cały ten czas brakowało mi tylko tematu. Kiedy jednak przyszedł mi do głowy pomysł napisania książki o młodym Chopinie, postanowiłam wykorzystać znane mi miejsca. Wprawdzie nie mogłam w nich umieścić „swojego” Fryderyka, ponieważ nie znalazłam żadnej wzmianki świadczącej o tym, żeby kiedykolwiek przebywał w tych okolicach, ale przecież mogła tam mieszkać Marie. Dziewczyna, która związała się z tajemniczym muzykiem i urodziła jego dziecko.

Historia tajemniczej miłości Chopina została przeze mnie wymyślona, nie znaczy to jednak, że nie mogła się ona wydarzyć naprawdę. Pierwsze lata pobytu młodego kompozytora

w Paryżu nie są zbyt dobrze udokumentowane, pozwoliłam więc sobie wykorzystać tę lukę i popuścić nieco wodze fantazji.

W *Paryskich światach Fryderyka Chopina* Williama G. Atwooda czytamy: „Na początku pobytu w Paryżu 21-letni Chopin cieszył się niebywałym zdrowiem i krążył po mieście z frenetyczną energią. Jediną chorobą, jaka go wówczas trapiła, były, jak to umiejętnie zdiagnozował 'suchoty woreczkowe'. Natknął się tam na niejedną z 'panien miłosiernych' z ulic paryskich, które 'gonią za ludźmi'. Były one, jak to ujął, niczym śpiewaczki, które 'chciałyby duetów'. Po wcześniejszym, nieszczęśliwym spotkaniu z jedną z takich filles des rues o imieniu Teresa, Chopinowi pozostała 'pamiątka' (interpretowana przez niektórych biografów jako choroba weneryczna), która zniechęciła go do prób kosztowania 'owocu zakazanego'".

Nie znaczy to jednak, że nie korzystał z innych uciech paryskiego życia. Wręcz przeciwnie, robił to z całym swoim młodzieńczym zapałem. „Powoli lansuję się w świat, ale tylko dukata mam w kieszeni” - pisał w jednym z listów do przyjaciela w 1831 roku, wkrótce po przyjeździe do stolicy Francji. W relacji A. Orłowskiego czytamy również: „Zdrów i silny, wszystkim Francuzkom głowy zawraca, a w mężczyznach zazdrość wznieca. Jest on teraz w modzie i niedługo świat ujrzy rękawiczki a la Chopin”. Znamienne jest zamiłowanie kompozytora do modnych ubiorów i dobrej wody kolońskiej, której używał w nadmiarze. Był przewrażliwiony na punkcie własnego wyglądu. Z powodu opuchniętego nosa potrafił nie pokazywać się publicznie przez parę dni.

Chopin szybko zyskał podziw paryskiego towarzystwa, oczarowanego jego wdziękiem osobistym i talentem muzycznym. Młodzieniec rzucił się więc w wir nieustających soirees,

wizyt grzecznościowych, bali i kolacji, co, nawiasem mówiąc, bardzo martwiło jego ojca w Polsce. I właśnie po jednym z takich wieczorów „mój” Chopin poznał Marie. Wprawdzie nie wiemy, czy to rzeczywiście on był kochankiem młodziutkiej malarki, ale przyznam, że doskonale się bawiłam, snując takie przypuszczenia.

Cały ten hipotetyczny romans tak naprawdę był dla mnie tylko pretekstem do pokazania kompozytora od innej, mało dotąd znanej strony. Nie wszyscy bowiem wiedzą, że w tamtym czasie był to wesóły, skłonny do żartów i zabawy, chociaż zbyt często może korzystający z finansowej pomocy ojca, młodzieniec. Pozornie dandys, lekkomyślny bawidamek. Ale był on przy tym wszystkim geniuszem fortepianu, niepozobawionym również pozamuzycznych talentów. Wiadomo powszechnie, że miał ogromne zdolności aktorskie i literackie, potrafił też pięknie rysować. Prócz tego wykazywał również, o czym może nie wszyscy wiedzą, niewiarygodny wręcz zmysł do interesów. Chopin był sam dla siebie najlepszym menadżerem, potrafił twardo negocjować warunki u wydawców, wiedział też doskonale, co i przed jaką publicznością może zagrać, żeby się to spodobało. Był więc też „geniuszem inteligencji, refleksu, rozeznania wiatrów i koniunktur epoki”. Bawił się, owszem, ale umiał też przy tym zadbać o swoje interesy.

Wprawdzie romans, gdyby takowy istotnie miał miejsce, powinien zostać zauważony i wspomniany przez biografów, ale gdyby trwał zbyt krótko... Poza tym wiadomo, że część dokumentów z tamtego okresu zaginęło lub zostało celowo i na prośbę kompozytora zniszczonych. Może wśród niedokończonych dzieł znalazły się też i listy świadczące o jego znajo-

mości z Marie? W mojej książce wykorzystałam taką właśnie możliwość.

Podczas tworzenia powieści autorka korzystała z następujących utworów:

W. G. Atwood, *Paryskie światy Fryderyka Chopina; Chopin, Korespondencja*, 1.1;

A. Orłowski, *List do rodziny w Warszawie* (źródło: strona internetowa NIFC, *Kalendarium z życia Chopina*);

P. Wierzbicki, *Życie z muzyką*;

T. A. Zieliński, *Chopin. Życie i droga twórcza*;
oraz listy do przyjaciół i rodziny.

KALENDARIUM Z ŻYCIA CHOPINA

(obejmujące wydarzenia opisywane w książce)

1831 - Chopin przybywa do Paryża, zamieszkuje na Boulevard Poissonnière 27.

1831/1832 - koncertuje, jest zapraszany na salony, według relacji przyjaciół „zdrów i silny, wszystkim Francuzkom głowy zawraca”.

1832 - Paryż nawiedza wielka epidemia cholery. Zamykane są sklepy i miejsca publiczne. Ci, których na to stać uciekają do swoich wiejskich posiadłości i zapraszają tam przyjaciół.

1833 - 15 grudnia Chopin bierze udział w koncercie z Lisztem i Hillerem; gra *Koncert na 3 fortepiany* J.S. Bacha.

1849 - pozuje do fotografii w paryskim domu wydawcy Maurice'a Schlesingera, prawdopodobnie na parę miesięcy przed swoją śmiercią.

1849 - bardzo już chory, nakazuje spalić wszystkie niewydane i niedokończone utwory, z wyjątkiem szkiców do metody gry na fortepianie - planowanego przez niego podręcznika.

1849 - 17 października umiera w swoim mieszkaniu przy Place Vendôme 12.

1849 - 30 października uroczystości żałobne w kościele św. Magdaleny [*Requiem* Mozarta) i na cmentarzu Père Lachise.